Myszy króla Popiela.



Pożar Kumingi

MYSZY

KRÓLA POPIELA.

OPOWIADANIE PRZEDHISTORYCZNE,

przez autora

„KRÓLA KRAKA I KRÓLEWNY WANDY."

Z 6 rycinami.

WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

1888.

Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 17 Мая 1887 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krak.-Przedm. 66.

I.

Goście.

Przed dworcem swoim, na ławie czerwonem suknem krytej, za stołem na którym stały dzbany i kubki, pod cieniem olbrzymiej lipy, otoczony wojewodami, siedział król Popiel. Dworzec był duży, gontem kryty i przypierał z jednej strony do sadu, w którym drzewa obciążone owocami, bo to był wrzesień, szemrały pod lekkim wietrzykiem, ozłocone zachodzącem słońcem jesiennem. Z drugiej strony dworca rozlewały się wielkie wody jeziora Gopła. Ciemne fale z pluskiem głośnym lizały piasczysty brzeg, przy którym przywiązana łykiem do pala wbitego w ziemię, chwiała się obszerna łódź królewska, pomalowana jaskrawo.

Pod wieczór się miało, i białe mgły unosiły się z jeziora, otulając sobą niedaleką wyspę i na niej mieszczącą się wieżę, murowaną z wielkich głazów, którą król wznieść niedawno kazał niewolnikom Łużyckim. Ciemna, posępna ta wieża, o maleńkich okienkach, rysowała się na tle błę-

kitnego nieba, błękitnych wód jeziora i białej mgły wieczornej. Poza dworcem, z boku nieco, za zieloną łąką i za ścierniskiem niw, widniało kilkadziesiąt chat słomą krytych, rozrzuconych wśród sadów, otoczonych po większej części częstokołem i parkanem drewnianym. Z chat tych, z otworów na słomianych strzechach wznosiły się kłęby dymu, mieniąc się kolorami tęczy pod złote jesienne słońce. W dali, na wzgórzu błyszczała duża gontyna, okopana dokoła, otoczona częstokołem i mocnym z wielkich dylów parkanem. W gontynie tej stał sławny na całą polską ziemię posąg drewniany bożka Światowita, obrońcy Kruszwicy.

Król Popiel ubrany w krótki kubrak z niemieckiego czerwonego sukna, w trzewiki żółte, z gołą głową, o włosach długich, czarnych, rozstrzępionych niedbale, zarośnięty jak niedźwiedź, czarny cały, czerwony na twarzy, łyskał wielkiemi, dzikiemi oczami dokoła. Przed nim stał kubek pełen miodu, a obok niego oparty o ławę stał duży niemiecki miecz, z rękojeścią w kształcie krzyża. Po polach, po dalekich niwach, zakończonych sinem pasmem borów, włóczyły się wielkie nici babiego lata, wieszały po drzewach, i na kołpakach współbiesiadników królewskich.

Jeden z nich o głowie dużej ryżym włosem pokrytej, kołtunowatym i kędzierzawym, z twarzą gołą jak u kobiety, o oczkach maleńkich, zielonawych i niespokojnych, wielkim czerwonym

nosie i ustach szerokich, ubrany w płócienną koszulę, rozwartą na piersiach i pasem rzemiennym przepasany, miał właśnie uczepioną u włosów taką nić babiego lata. Była ona długa i za każdem wstrząśnieniem głowy, chwiała się śmiesznie.

— Hej, Zając! zawołał grubym głosem król, zdejmże sobie tę pajęczynę ze łba!

Zając podniósł się na nogi, ale pijany zaraz ciężko usiadł na ławie.

— Jaką pajęczynę, Popielu? zapytał głosem cienkim, piszczącym, co śmiesznie wyglądało przy jego postawie, bo był wielki i gruby, a ręce miał ogromne, obrośnięte i potężne.

— Ha! ha! ha! zaśmiał się ktoś z pomiędzy siedzących, Zając nie wie, czy żyje.

— Nie wie, czy żyje! zapiszczał Zając, otóż wiem! i więcej niż ty Bolku, chocieś mądrala i na Niemcach bywałeś.

Wyciągnął swą wielką, kosmatą rękę, chwycił dzban z miodem i przyłożył go do szerokich swych ust. Pił długo, a wypiwszy westchnął głęboko, obtarł rękawem od świty usta i rzekł:

— A wiesz ty Bolku i ty Popielu co się święci ty u nas w Kruszwicy?

— No, co? mruknął ponuro Popiel.

— O! jakiś ty król, kiedy nie wiesz, co się dzieje u ciebie pod nosem. Malowany król, żebym tak zaraz pękł! Ja się zawżdy dziwię, żeś ty królem został. Mówiłem twoim stryjcom, i Zbiszkowi,

i Leszkowi, i Mieszkowi, i Ziemkowi i wszystkim, żeby ciebie królem nie robili, jeno mnie, Zająca!...

— Ha! ha! ha! zagrzmiał śmiech między zebranymi; Popiel tylko się nie śmiał, ale patrzał ponurym, pełnym błyskawic wzrokiem w pijanego Zająca.

— I czego wy się śmiejecie? obrócił się Zając do zebranych, co to za głupi naród ci twoi wojewodowie, Popielu!... ach! jaki głupi naród! Siedzą tu i piją kiepski, chociaż królewski miód, a nie wiedzą, że dzisiaj o dwa stajania ztąd, wspaniała odbędzie się uczta.

— Jaka uczta? zapytał Popiel.

Zając wytrzeszczył na niego swe maleńkie oczka, mrugnął niemi kilkakrotnie i począł się śmiać, a śmiał się tak, że mu się tłusty podbródek i tłuściejszy jeszcze brzuch trząsł:

— Hi! hi! hi! i to mi król. Nic nie wie, nic nie wie! Ty, Popielu, twoich wojewodów powinieneś poobwieszać i potopić w Gople jak szczenięta, bo do czego oni są i biednych kmieciom wydzierają ostatnią miarkę krup i ostatnie jagnię z obory zabierają! I po co ty ich trzymasz?

Teraz wojewodowie się nie śmiali, a król patrzał na nich i szydersko się uśmiechał. Zając dalej zaś mówił:

— Ja nie jestem żaden wojewoda a wszystko lepiej wiem od nich.

Popiel uderzył niecierpliwie pięścią w stół,

aż dzbany i kubki zadzwoniły i zawołał swym grubym głosem:

— Do biesa, co wiesz? gadaj mi zaraz!

— O! o! o! piszczał Zając, król się sierdzi, będzie źle.

To rzekłszy nachylił się nad stołem, wlepił swe ruchliwe, maleńkie oczki w Popiela i rzekł:

— Mój robaczku, mój Chościaku, mój Popielu, nie sierdź się, bo jeszcze królowa usłyszy, piękna złotowłosa i niebieskooka Hilderyka i przyjdzie do nas, a wiesz, że nas nie lubi. Zaszkodzi ci to Chościaku, zaszkodzi.

Wyprostował się, podniósł z czoła włosy, odetchnął głęboko i mówił:

— No, kiedy się sierdzisz Popielu, to ci powiem. Dziś u kołodzieja Piasta postrzyżyny jego synka i wielka uczta. Wszystkich zaprosił: i Sobiesława i Władyboja i Bolka Jaszczurkę i kapłanów z gontyny, i mnie Zająca. Zaraz tam idę, zaraz, bo tu niema co robić. Miód kiepski i jeść nie ma co. A Piast zabił wołu i trzech baranów, i gęsi sześć i kur co niemiara, i dwa cielaki i w puszczy ubił żubra i jelenia, i ma trzy beczki miodu i trzy beczki piwa. Ho! ho! to mi uczta. Cała Kruszwica tam będzie. Rzepicha napiekła podpłomyków i chleba przaśnego i barszczu ugotowała.

Popiel słuchał tego w milczeniu, potem rzekł ponuro:

— Piast niech sobie wyprawia uczty. Wła-

dyką jest, a mnie co do tego? Powiedz mu tylko Zającu...

Nagle przerwał i wpatrzył się w gościniec, wijący się śród pól i patrzał tak z otwartemi na pół ustami, szepcząc:

— A to co?...

Wszyscy odwrócili głowy i patrzą ciekawie na drogę, przysłaniając sobie oczy od słońca, które coraz bardziej chyliło się ku zachodowi. Promienie jego padały ukośnie i złocista kurzawa unosiła się nad drogą, którą postępowało wolno, oglądając się na wszystkie strony dwóch mężów, w długich białych szatach. Szli oni, mając wysokie kaptury nadziane na głowy, wspierając się na długich laskach, w tym blasku zachodzącego słońca, ozłoceni jego promieniami, otoczeni pyłem świetlnym, wyglądali jak jakieś cudowne, nieziemskie zjawiska. Posuwali się wciąż ku dworcowi Popielowemu, a na ich długich, białych szatach słońce zapalało oślepiające blaski.

— Co to? powtórzył Popiel powstawszy z za stołu i wpatrując się w idących.

— Hm! mruknął któryś z wojewodów, czy ja wiem? jacyś obcy mężowie, podróżni... Bóg ich tam wie.

— Idą tu, to zaraz się dowiemy! zauważył inny.

Jakoż dwaj mężowie zbliżali się coraz bardziej i już weszli w rozwarte na oścież wrota obejścia dworskiego. Teraz można im było lepiej się przy-

patrzyć. Mieli więc na sobie długie białe suknie, z grubego sukna przepasane białym, cienkim sznurkiem, u którego wisiały paciorki i wielki krzyż czarny. Nogi mieli bose, jeno w trepki drewniane obute i rzemieniami do nóg przytwierdzone. Z pod kapturów wyglądały twarze ogorzałe od słońca, chude, zawiędłe i wielkie brody. Jeden z nich, młodszy, miał brodę jak len złocistą, drugi śnieżnej białości. Szli wspierając się na długich laskach, u szczytu których widniały takież krzyże, jakie zwieszały im się u pasa. Wszedłszy w obejście dworskie zatrzymali się, spoglądając dokoła; a właśnie z poza domu wypadło kilka psów i ujadając zawzięcie, poskoczyło ku podróżnym. Jeden zwłaszcza olbrzymi, kudłowaty pies, ulubieniec Popiela, z rozwartą paszczą, ujadając zajadle, biegł ku podróżnym, gotów ich rozszarpać. Ale w tejże chwili, starszy, ów siwobrody zwrócił się twarzą ku psom, podniósł z powagą rękę i psy skomląc przywarowały do ziemi. Właśnie Zając, który się opamiętał pierwszy, skoczył z ławy i chwyciwszy jakiś kij na podwórzu leżący, począł psy odpędzać, okładając je niemiłosiernie. Skomląc, naszczekując ciągle, rozżarte zwierzęta uciekły.

Podróżni tymczasem zbliżyli się do stołów pod lipą, gdzie Popiel i jego wojewodowie stali, wszyscy w milczeniu ciekawie poglądając na przybyłych. Ci zatrzymali się wprost króla, zsunęli kaptury i wtedy biesiadnicy ujrzeli ich głowy

obnażone, z włosem krótko ostrzyżonym, wygolonym tak, że okrągłą czapeczkę tworzył.

— Pokój temu domowi i ludziom dobrej woli, rzekł starszy głosem drżącym i poważnym. Mowa jego nie była taka jak wszystkich i widać było, że to obcy. Jeden nawet z młodszych wojewodów począł śmiać się z wymowy starca i szepnął do ucha sąsiada:

— Jak on gada? ni to Niemiec, ni Czech!...

Popiel tymczasem, który nie spuszczał ani na chwilę wzroku z podróżnych, zapytał:

— Kto jesteście, mężowie?

— Mnichy zakonu św. Benedykta! odparł starszy.

— Co to za naród mnichy? jeszczem nie słyszał o takim narodzie! zauważył Popiel.

— To nie naród żaden, ale ludzie poświęcający się Bogu i niosący światło prawdziwej wiary.

— Wiary? a to wy może Niemcy i niemiecką wiarę tu niesiecie? Czegóż wy chcecie!

— Prosić cię chcemy o gościnę. Noc jest bliska, a przez dwa dni i dwie noce błądziliśmy po puszczy co tę ziemię oddziela od Szlązka, i zdrożeni jesteśmy wielce. O gościnę prosimy...

Popiel już miał coś odrzec, gdy nagle odsunęło się okienko we dworze i ukazała się w niem głowa niewieścia, o złotych włosach, krótko ostrzyżonych i czepcem nakrytych, i rozległ się głos niewieści:

— Popielu! Popielu!

Popiel odwrócił się żywo i zawołał:

— Czego chcesz?

— Chodź tu do mnie!

Tedy Popiel mruknął coś niechętnie i krokiem wolnym wszedł do dworu. Z sieni, która przedzielała cały dworzec na dwie połowy, pchnął drzwi na prawo, przekroczył przez wysoki próg i znalazł się w dużej świetlicy o dwóch okienkach, zamykanych na drewniane zasuwy. Świetlica była wielka, o ścianach wapnem bielonych, o kominie z dużym okapem i zapieckiem, wylepiona gliną, zawieszona kilku czerwonemi płatami sukna, na których świeciły zbroje, hełm, miecze, łuki, topory i wielka błyszcząca tarcza, na której namalowany był misternie biały orzeł zrywający się do lotu, w czerwonem polu. Do koła ścian stały ławy drewniane, suknem niebieskiem kryte, duży stół a na nim kubki srebrne i talerze. Na środku świetlicy, w czepcu na głowie, w białej lnianej świtce, w czerwonych butach i krótkiej modrej spódnicy, z mnóstwem paciorków na piersiach stała kobieta. Wysoka była i piękna, a jej duże niebieskie oczy niecierpliwie wpatrywały się w Popiela.

— Popielu, rzekła, gdy ten tylko wszedł, nie przyjmuj w gościnę tych mężów, jeżeli nie chcesz nieszczęścia na swój dom i na całą krainę sprowadzić.

— A to czemu, Hilderyko? Podróżni są, jakże ich nie przyjąć?

— Oto mi mąż! oto mi król! załamała ręce Hilderyka, ty nie masz w głowie ani krzty mózgu. Nie widzisz-że, że to są Niemcy? mnichy niemieckie? Przyszli tu twe bogi wypędzić, wiarę niemiecką wprowadzić, na zatracenie ciebie i wszystkich zawieść. Znam ja ich. Wszak z rodu Obotrytów idę i wiem co to wiara niemiecka. Wypędź ich, wypędź ich jak najprędzej, psami wyszczuj, żeby ci nie kalali powietrza. O! gdybym ja była królem i mężem, wiedziałabym co zrobić.

— Cóżbyś zrobiła? zapytał Popiel markotno.

— Co? kazałabym im kamienie do szyi przywiązać i potopiłabym ich w Gople.

— Ale, co ty mówisz, Hilderyko! zawołał z uśmiechem Popiel. Goście są i pod mój dach weszli, włos im z głowy spaść nie może.

— Goście są! goście! tobie kądziel prząść i barszcz gotować a nie mężem być i królem! Mówię ci, potopić ich, potopić!

— Nie! zawołał Popiel — tego nie uczynię. Bogowie by mię za to pokarali. Nie uczynię!

— Ha! jęknęła, załamując ręce, Hilderyka i dodała: to przynajmniej nie przyjmuj ich na noc. Nieszczęście ci sprowadzą, niech sobie idą, dokąd chcą, gdzie ich oczy poniosą.

Mówiąc to zbliżyła się do Popiela i białą rączką gładzić go poczęła po twarzy i złotą główkę kładąc mu na ramieniu, szeptała:

— Mój Popielku, moje złotko, wypędź ich, wypędź jak najprędzej, bo życie stracisz i tron.

— Dobrze, Hilderyko, nie przyjmę ich do domu, niech sobie gdzieindziej szukają gościny.

I gniewny trochę, mrucząc coś pod nosem zawrócił i ciężkim krokiem wyszedł ze świetlicy. Hilderyka patrzyła za nim a gdy drzwi zamknął, skoczyła do okienka i nadstawiając uszów nadsłuchiwała, co się dzieje na podwórzu.

Gdy Popiel znalazł się pod lipą, mężowie wciąż jeszcze stali rozmawiając z Zającem, a obok nich spostrzegł nową osobę. Był to mężczyzna niski, krępy, zbudowany jak dąb, z gołą głową o jasnych wypłowiałych od słońca włosach, ubrany w białą szatę czerwonym rzemiennym pasem objętą, w postoły lipowe rzemieniami do nóg przymocowane. Twarz nie młoda już, ogorzała od słońca i wichrów, okolona była długą, jasną, siwiejącą gdzieniegdzie brodą. Dwoje siwych oczów, przysłoniętych wielkiemi brwiami patrzało przed siebie śmiało i rozumnie. Gdy Popiel się pokazał, podszedł do niego, pokłonił mu się do kolan.

— Jak się macie władyko Piaście? rzekł Popiel i nie czekając odpowiedzi Piasta, zwrócił się do dwóch podróżnych i nie patrząc im w oczy, rzekł swym grubym, ponurym głosem:

— Mężowie, jam jest tu królem i nie mogę was przyjąć pod swój dach. Idźcie gdzie indziej szukać gościny.

Między wojewodami rozległ się szmer niezadowolenia, a starszy z podróżnych nadziewając kaptur na głowę, odezwał się:

— Bądź zdrów, królu Popielu. Nawet psu daje się schronienie a cóż człowiekowi! Pokój niech będzie temu domowi. Pójdź Rodrygu, zawrócił się do towarzysza, Bóg dał nam namiot swój gwiaździsty i pod namiotem tym spoczniemy. Niegościnna to ziemia i oby Pan nasz Jezus Chrystus zlał na nią Swą najwyższą łaskę i oświecić ją raczył światłem wiary prawdziwej.

Już mieli ruszyć, gdy nagle władyka Piast zatrzymał ich i rzekł:

— Mężowie, noce są teraz zimne i nie dobrze jest spać pod gołem niebem. Chata moja ztąd nie daleko i dziś sprawiam postrzyżyny memu najstarszemu synowi. Raczcie zajść do mnie i spożyć co Bóg dał. Gość w dom, Bóg w dom.

A zwracając się do Popiela i wojewodów dodał:

— I do ciebie królu Popielu i was cni wojewodowie i do ciebie Zającu przyszedłem, byście zaszli do mnie na uroczystość postrzyżyn mego syna. Rzepicha napiekła chleba i podpłomyków, jam nawarzył miodu i piwa, zabiłem jagniąt kilka i wołu — raczcie mię, proszę, nawiedzić.

— Dobrze! rzekł Popiel—przyjdziemy z Hilderyką.

Więc Piast pokłonił mu się jeszcze raz do kolan i wziąwszy starszego podróżnego za rękę, powiódł ich do swej chaty.

II.

Postrzyżyny u Piasta.

Chata Piasta oddalona była od dworca Popielowego o trzy przeszło stajania i wznosiła się na końcu osady, nad strumykiem, który wpadał do Gopła. Była niewielka, słomą kryta i składała się z jednej świetlicy i komory. Obok stała obórka, stodoła, wielki stóg siana i bróg zboża. Całe obejście otoczone było częstokołem mocnym, i gdy bramę na noc zamknięto a psy spuszczono, można było w niej spać spokojnie, tak była warowna.

Gdy Piast z dwoma podróżnymi zbliżył się do chaty, już robiło się ciemno i od jeziora szły wielkie mgły białe, które rozłażąc się po polach i niwach, ogarniały wszystko powoli. Słońce skryło się za bory i niebo nad temi borami gorzało purpurą. Wieczór był chłodny bo jesienny, ile że się wiatr zerwał od wschodu.

Do chaty ciągnęli już gromadnie goście ze wszech stron, a na podwórzu, na ławie pod lipą

siedziało już kilkunastu kmieci i niewiast i gwarzyło. Przez drzwi od chaty padał snop jasnego, migotliwego światła; widocznie na kominie się paliło i zabiegała łechcąca podniebienie woń pieczeni. Piast zaraz gdy przyszedł i swoich gości wprowadził do świetlicy, zawołał żony swej Rzepichy, która w komorze z synkiem Ziemowitem się pieściła, gdyż według obyczaju wychodził teraz z pod jej opieki a szedł już pod opiekę ojca.

Wyszła Rzepicha, kobieta niemłoda, w modrej zapasce świątecznie przybrana i w krótkim kożuszku i chustce czerwonej na głowie.

— Rzepicho, rzekł Piast— oto mamy nowych gości, których Bóg nam dał na postrzyżyny naszego chłopca.

Rzepicha pokłoniła się do kolan podróżnym, fartuchem obtarła ławę i poprosiła ich siedzieć. Zaraz też do świetlicy weszło kilku kmieci i ciekawie poczęli przypatrywać się podróżnym, ich strojom, paciorkom i krzyżykom i wypytywać zkąd są, co znaczą te krzyże? Piast tymczasem wyszedł na podwórze, gdzie kazał rozpalić parobkom wielkie ognisko, stawiać dzbany i kubki z miodem i piwem i miski z mięsiwem. Kmiecie przysiadali na ławach, a parobczaki i dziewuchy stały pod ścianami i częstokołem, i chichotały się i przekomarzały z parobkami. Gwarno było i wesoło, a nowi goście wciąż nadchodzili. Kto żył w Kruszwicy i okolicy ciągnął do Piasta na postrzyżyny, bo Piast był bardzo szanowany i łubiany. Nawet

z pod Gniezna, wielkiego grodu, przybyło kilku kmieci z żonami. Nadjechali też konno i zbrojno stryjowie królewscy, których było dwunastu. Wszyscy byli bogato ubrani, w żupany czerwone lub modre, w kołpaki lisie, bobrowe, niedźwiedzie, w buty czerwone i żółte. U boków mieli krótkie miecze, i witali się z Piastem, który wyszedł na ich spotkanie aż przed wrota, i kłaniał im się do kolan i zapraszał do środka.

Najstarszy z tych stryjów, Sobiesław, mąż wielkiego wzrostu a chudy jak szczapa, z dużą siwą brodą, zszedłszy z konia i oddawszy go parobkom, witał się z Piastem i patrząc na dziedziniec natłoczony gośćmi, rzekł:

— Ho! ho! Piaście, to tu u was widzę gości mnóstwo. Ba! kochają cię, to i schodzą się. No, a Rzepicha gdzie jest?

Więc Piast chciał już wołać Rzepichy, gdy Sobiesław go wstrzymał, mówiąc:

— Nie wołaj, nie wołaj! Małoć to ona ma do roboty by tylu ludzi nakarmić. Powiedzże mi, mój Piaście, a kapłani z gontyny Światowida prędko przyjdą?

— A niedługo, jeno patrzeć—mieli być o zachodzie słońca.

— A cóż, Popiel będzie?

— Prosiłem go z wojewodami i Zającem.

— A Hilderyka?

— A jakże, i ona będzie.

— No, no! mruknął Sobiesław, kiwając głową i szedł dalej, a kmiecie wstawali i kłaniali się stryjcom królewskim.

W tejże chwili wpadł na podwórko Zając, w kapeluszu słomianym, w kożuszku zarzuconym na plecy, ze łbem jak zawsze rozczochranym, zataczając się i przyśpiewując sobie:

— Oj danaż moja dana! Hu! ha!

A krzycząc jak puszczyk: hu! ha! przytupywał sobie nogami i brał się pod boki i śmiał się głośno. Zobaczywszy Piasta wołał:

— Piaście daj jeść, bo u króla Popiela człek z głodu może umrzeć. Żebym tak pękł, jak prawdę mówię. Nicem dziś od rana w gębie nie miał. Miodek i miodek wodą rozcieńczony, bo Hilderyka innego nie daje. Pi! pi! pi! co to za baba, jej być królem a nie Popielowi.

I znowu brał się pod boki i przyśpiewywał sobie i przytupywał nogami i krzyczał: hu! ha! a wszyscy się śmiali.

— Hej! cóż to, grajków niema? Piaście każcie grać, bo oto dziewuchom i parobkom przykrzy się tam pod przyzbą. Hej! piszczałki i fletnie!

W tem wpadło na dziedziniec małe pacholę krzycząc:

— Król Popiel idzie! król Popiel idzie!

Więc Rzepicha wybiegła z izby niosąc na białym, lnianym ręczniku wielki podpłomyk i sól w króbce z kory brzozowej i oboje z Piastem po-

deszli do wrót. Wszyscy się też ruszyli i wielka cisza zapanowała.

Król Popiel szedł w bobrowym kołpaku na głowie, z czaplem piórem, spiętem wielką złotą spinką. Na sobie miał żupan długi czerwony, przepasany złotym łańcuchem, u którego zwieszał się maleńki puginał ze srebrną rękojeścią. Na nogach świeciły mu śliczne buty czerwone. Szedł groźny i milczący, łyskając swemi czarnemi oczami, a za nim małe pacholę niosło wielki, prosty, niemiecki miecz.

Królowa Hilderyka ubrana także była odświętnie. Na głowie miała czółko bogato złotem sadzone, modry spencerek na sobie, na który zwieszał się sznur wielkich korali i paciorków bursztynowych. Zapaskę miała z purpury i żółte buty, a na ramionach zwieszał jej się płaszcz białem futrem podbity. Szła dumna, strojna i poglądała z powagą i spokojem dokoła.

Za królewską parą postępowało kilkunastu wojewodów, w kołpakach i wściekliczach lisich, bobrzych, niedźwiedzich, wszyscy w butach, po większej części ze skóry niefarbowanej, w kożuszkach, lub żupanach, z mieczami i bez mieczy.

Piast z Rzepichą pokłonili się królowej i królowi do kolan i ofiarowali im sól i chleb i ręcznik biały. Popiel wziął to, powitał Piasta i oddał podarki pacholęciu, co szło za nim z mieczem. Zaraz też wszyscy kmiecie kłaniali się parze królewskiej,

gdy szła do świetlicy przez podwórze, a Zając wykrzykiwał swoje hu! ha!

Znowu dano znać, że kapłani idą. Było ich sześciu, wszyscy biało ubrani, w takichże kołpakach, z wieńcami z jemioły i bluszczu na głowach, z wysokiemi laskami, zakrzywionemi u góry. Jeden z nich niósł wielkie nożyce bronzowe. Starcy to byli o długich, siwych brodach, poważni i milczący. Zatrzymali się obok ogniska na podwórzu, a kmiecie otoczyli ich do koła. Zaraz też Piast i Rzepicha, poprzedzani przez Popiela i Hilderykę, wyprowadzili swego synka.

Parobcy podsycili ognisko nasypawszy nań suchego chrustu i wielki płomień buchnął, oświecając całe podwórze jak w dzień. Czerwone blaski tego ognia migotały się po białych brodach i szatach kapłanów, po świtkach kmieci, żupanach stryjów królewskich i wojewodów, zapalały oślepiające błyskawice na spince królewskiej, na koralach Hilderyki. Przed tym ogniem stał i synek Piastowy, Ziemowit, zestraszony trochę i trzymając się oburącz fartucha matczynego.

Było to małe, siedmioletnie chłopię, o wielkich, aż na ramiona mu spadających, jasnych jak len włosach, twarzyczce rumianej. Niestety! oczy od urodzenia miał zamknięte i nic nie widział. Stał w swej białej świtce i w lipowych postołach, z ustami na pół otwartemi, chwytając uchem gwar do koła go otaczający, nie rozumiejąc bardzo czego od niego chcą.

Gdy się gwar nieco uciszył i wszyscy się już ustawili jak należy, najstarszy z kapłanów zdjął kołpak i został tylko w wieńcu z jemioły i bluszczu na głowie, co także zaraz za nim inni uczynili. Potem szepcząc jakieś modlitwy wziął wielkie nożyce bronzowe i począł niemi strzydz włosy chłopczyny, które rzucał na ogień. Gdy pierwszy pukiel tych jasnych, złocistych włosów padł na płomień i zgorzał z sykiem, kobiety poczęły głośno zawodzić, mężczyźni śmiać się i wydawać okrzyki radości. Znaczyło to, że niewiasty płaczą, iż młody Ziemowit wychodzi już z pod ich czułej opieki, a przechodzi pod męzką. Dla tego też mężczyźni cieszyli się, że przybywa im jeden więcej dzielny w przyszłości mąż.

Tymczasem arcykapłan strzygł ciągle chłopca i rzucał pukle na ogień, dopóty, dopóki włosy nie były króciótko obcięte. Potem podniósł dziecko w górę i zawołał głośno:

— Zwać się będziesz Ziemowitem i oby twoi nieprzyjaciele tak szczeźli, jak te włosy szczezły!

Więc mężowie wszyscy, kmiecie, wojewodowie i stryjowie królewscy dobyli mieczy, oszczepów, włóczni i poczęli niemi potrząsać i wołać:

— Ziemowit! Ziemowit! Ziemowit!

Wężowe błyski mieczów od ogniska, które purpurowem światłem oblewało całe to zgromadzenie, i płaczące niewiasty, i kapłanów i wojowników, dziwnie uroczysto wyglądały wśród

nocy ciemnej, jesiennej, pod niebem gwiazdami usianem. W dali, w progu chaty, krwawy blask ognia padał na białe szaty dwóch podróżnych, którzy stali z rękami złożonemi na piersiach, z oczami w górę podniesionemi i słowa jakieś szeptali.

Teraz arcykapłan oddał przerażonego tem wszystkiem chłopca ojcu, i rzekł:

— Masz, Piaście, twego syna i wychowaj go na dzielnego męża, któryby bronił bogów ojczystych i ziemi ojczystej od wrogów wszelakich. Oby wielki Światowid dał, by dziecię to przejrzeć mogło!

Wtem przez tłum przepchnął się starszy z pomiędzy podróżnych, odrzucił kaptur z głowy i stając przed ogniskiem cały oświecony, podniósł rękę w górę i rzekł:

— Królu Popielu, i wy wojewodowie i wy kmiecie i władyki i wy kapłani pogańskiego bożka, słuchajcie co wam powiem.

W całem tem zgromadzeniu zrobiła się naraz wielka cisza, jakby na wszystkich padło sen-ziele. Każden z okiem wlepionem, z ustami na pół otwartemi oczekiwał końca tej dziwnej, niezwykłej sceny. Wielu z pomiędzy zebranych nie widziało jeszcze podróżnych, którzy od chwili przybycia swego siedzieli w chacie i dla tego nagle zjawienie się nieznanego męża, całego biało ubranego w szaty jakieś dziwne, zdawało im się, że jest czemś nieziemskiem, czemś nadzwyczajnem,

Tymczasem podróżny mówił:

— To dziecię, któreście przezwali Ziemowitem, nie widzi, ma oczy zamknięte na wszystkie cuda Boże. I jeżeli kiedy przejrzy, jeżeli kiedy źrenice jego otworzą się, by ujrzeć otaczający go świat, to nie uczyni tego żaden Światowid, który jest niczem innem, jak bałwanem z kamienia wyciosanym, ale Bóg Wszechmogący, który mieszka w niebiosach i syn Jego Jezus Chrystus, Pan nasz.

Wtem Hilderyka stojąca obok Popiela, rzekła:

— Czyż niema tu mężów, którzyby temu puszczykowi, temu szpiegowi niemieckiemu zamknęli usta? Jeżeli tego nikt nie uczyni, to ja, wstydząc was mężowie, to uczynię. Dajcie mi oszczep, niech go wbiję w tę pierś przeklętą i serce wydrę i na ofiarę złożę Światowidowi!

Wysunęła się naprzód przed ognisko i stała tak ciskając błyskawice z oczów, jasno oświetlona, miotając rękoma w bezsilnej złości. Między zgromadzonymi rozległ się szmer i głosy:

— Tak! tak! dobrze mówi Hilderyka! zabić tego szpiega, tego Niemca!...

Podróżny stał nieruchomy, z rękami złożonemi, z oczami w niebo zwróconemi, jak gdyby zatopiony był w modlitwie i nie zważał wcale na grożące mu śmiercią okrzyki. Ale Piast nie chciał, by uroczystość postrzyżyn krwią była splamiona, by gość jego poniósł szwank jaki na ciele. Wysunął się naprzód, zasłonił sobą podróżnego, podniósł swe olbrzymie dłonie i rzekł:

— Gość w domu, Bóg w domu. Zapowiadam, że włos z głowy pod moją strzechą temu starcowi nie spadnie i biada temu, kto go się dotknie!

Słowa Piasta wywarły silne wrażenie. Oszczepy i miecze się pochowały i tu i owdzie poczęto się odzywać:

— Dobrze mówi, to gość jego. Jakże można taki wstyd Piastowi robić? Co tam babskich słów słuchać! Baby do kądzieli a nie do rozkazywania mężom!

Hilderyka cała krwią spłonęła. Obróciła się do Popiela, który stał niemy z oczami w dół spuszczonemi i rzekła doń:

— Ocknijże się ty tchórzu! Daszże twą żonę obrażać!

— Hilderyko! rzekł Popiel, milcz.

— O! żebym ja była mężem! załamała ręce —czemuż bogowie mi dali ciebie za małżonka?...

W tejże chwili stryj królewski Sobiesław zbliżył się do podróżnego i Popiela i coś im szepcząc z uśmiechem na ustach, wziął pielgrzyma pod rękę i wyprowadził go z koła. Hilderyka nie spuszczała go z oka, i gdy zniknęli rzekła do Popiela:

— Widziałeś Sobiesława?

— Widziałem—mruknął niechętnie Popiel.

— Widziałeś i stoisz tu niemy jak słup. Czyż w tobie krwi nie ma, czyż ci serce mezkie nie bije w piersi?

— Czego ty chcesz odemnie niewiasto?

— Chcę byś mię pomścił, jeżeli jesteś mężem!

— Za co cię mam pomścić?

— O! ślepy jesteś chyba, jak to chłopię Piastowe! ale nie, ty widziałeś, jeno w tobie nie ma nic mezkości; pozwalasz, by z twej żony szydzono!

Podniosła fartuszek biały, naszywany prześlicznie i zasłoniwszy niem oczy płakać poczęła gorzko i utyskiwać:

— O! ja nieszczęśliwa, o, ja biedna, opuszczona! Wszyscy się nademną znęcają! wszyscy mną gardzą, bo mam nie męża, ale niewiastę, gorzej niż niewiastę!

Szczęściem, że mówiła cicho a płacz jej uważano za płacz obowiązkowy dla kobiet przy takiej uroczystości, więc nikt na to nie zważał, zwłaszcza, że najstarszy kapłan po krótkiej przerwie spowodowanej zjawieniem się podróżnego, rozpoczął dalej swój obrządek.

Przyniesiono mu klatkę z dwoma białemi gołębiami, z których lotu miał wywróżyć przyszłość świeżo postrzyżonego Ziemowita. Ptaki te umyślnie były chowane na tę uroczystość. Wszyscy teraz baczną zwrócili uwagę, żeby wśród nocy nie stracić z oczów lotu gołębi, co byłoby złym znakiem, znakiem blizkiej śmierci postrzyżonego.

Kapłan bardzo wolno i poważnie otworzył klatkę i wypuścił jednego najprzód gołębia. Ten, zrazu olśniony blaskiem i mnóstwem oczów w niego wlepionych, zatrzymał się na brzegu swego więzienia, potem nagle zerwał się do lotu i jak

strzała puścił się w górę. Biegł prosto, dopóki nie zniknął w cieniach nocy.

Więc w zgromadzeniu wzniosły się radosne okrzyki:

— Dobry znak! dobry znak! wołano.

Gdy się uciszono, arcykapłan rzekł:

— Wieszczba jest dobra. Ten lot gołębia znamionuje, że syn Piastowy, Ziemowit, wzbije się wysoko ponad wszystkich w tej ziemi. Oby bogowie to spełnili!

Radość ogromna w zgromadzeniu zapanowała. Poczęto krzyczeć, ciskać kołpaki w górę, dopóki kapłan nie dał znaku, by się uciszono. Wypuścił z klatki drugiego gołębia.

Ten wzbił się w górę, obiegł kilkakrotnie całe obejście Piastowe i siadł w końcu na strzesze, z nastroszonemi piórami.

— I to dobra wieszczba, rzekł kapłan. Znamionuje ona, że syn Piastowy, Ziemowit, strzedz będzie ojczystej strzechy i bogów ojczystych. Piaście, niechże ci się syn chowa zdrowo!

To rzekłszy nałożył kołpak na głowę i poważnie ruszył ku chacie. W zgromadzeniu rozległy się znowu okrzyki, poczęto się rozchodzić od ogniska, a zaraz też zagrały trąby i fletnie i piszczałki, i ogólna rozpoczęła się zabawa..



Uczta u Piasta.

III.

Uczta.

Po dokonaniu postrzyżyn, na dziedzieńcu chaty Piastowej zrobił się ruch ogromny. Parobcy poczęli wynosić i ustawiać na ławach misy z gorącem mięsiwem, wytaczać beczki miodu i piwa, do których kto żył to się rzucił. W świetlicy zaś zasiadła do uczty starszyzna, kapłani, król Popiel z żoną Hilderyką, stryjowie królewscy, wojewodowie i dwaj goście. Ciasno tam było ogromnie. Gdy arcykapłan uczynił objatę bogom, t. j. odłączył cząstkę każdego jadła i napoju i odstawił je na bok, zabrali się wszyscy do jedzenia. Znikały misy za misami i Piast chodził jeno i zapraszał, gdy nagle ujrzał w progu chaty Rzepichę, dającą mu jakieś znaki tajemne. Podszedł ku niej i spytał cicho:

— Czego chcesz?

— Piaście, nie wiem co czynić, rzekła Rzepicka — gości się tyle naszło, że nie starczy ani jadła, ani napoju. Jużem wydała wszystko mię-

siwo i wszystek chleb, a beczkę piwa ostatnią parobcy wytoczyli. Powiedz co czynić?

Piast zasmucił się tem mocno, załamał ręce i zawołał:

— Czy ja wiem? Ostatnie cielę już zabili i ostatniego barana! Bogowie widocznie są na mnie gniewni!

Stał tak w progu świetlicy z załamanemi rękami, błędnym wodząc dokoła wzrokiem, niepewny co czynić i jak sobie radzić. Spostrzegł to najstarszy ze stryjów królewskich, Sobiesław, i zbliżywszy się do Piasta zapytał:

— Co wam to Piaście?

— Sobiesławie, rzeknie Piast, wielkie na mnie przypadło zmartwienie. Oto bogowie dali mi tylu gości, że zabrakło dla nich jadła i napoju.

— Hm! mruknie zamyślając się Sobiesław — co do jadła nic ci pomódz nie mogę. Ale co do napoju... oto widzicie Piaście, u mnie jest pięć beczek miodu, lipcowego miodu... poślę mego pachołka, on je tu zaraz przyniesie.

Rozjaśniło się oblicze Piasta.

— Zaprawdę Sobiesławie, rzeknie, nie wiem jak wam dziękować za waszą łaskę. Te pięć beczek oddam wam przyszłego lata, jak tylko miód w pasiece podbiorę. Oby wam Bóg za to zapłacił.

— Nie dziękujcie Piaście, nie dziękujcie! Jesteście zacnym kmieciem i pomnijcie tylko, że w naszej ziemi źle się dzieje. Białogłowy tu rzą-

dzą, miasto mężów... No, no, idę dać nakaz memu pachołkowi.

Wyszedł z świetlicy, ścigany podejrzliwym wzrokiem Hilderyki. Pochyliła się ku mężowi, który pił dużo i czerwony był jak burak i szepnęła:

— Popielu!

— No cóż tam nowego? mruknął Popiel.

— Widziałeś jak Sobiesław szeptał coś do ucha Piastowi?

— Nie, nie widziałem, cóż mię to zresztą obchodzi?

— Ach i ty mężem jesteś? Tyś głupszy jak ten Ziemowit, którego dziś postrzygano!

— Do biesa! Hilderyko, miarkuj twój język! zawołał Popiel a oczy mu się zaświeciły jak u kota.

— Nie będę się miarkowała, nie będę! Spiski knują obok ciebie, a ty pijesz jeno... No! już nic nie powiem, i ty milcz, bo na nas patrzą.

Tymczasem Piast wciąż stał w progu świetlicy rozmyślając nad tem, zkąd tu wziąć jadła. Z podwórza dochodziły odgłosy fletni i piszczałek i głos Zająca, który rozochocony przyśpiewywał różne piosenki i wykrzykiwał ciągle: hu! ha! Piast słuchał tego i widział, że na długą zabawę się zanosi, a tu już wszystko jadło, jakie było, wydano.

W tem zbliży się do niego starszy z pielgrzymów i spyta:

— O czem myślicie Piaście?

— Ach mój ojcze, odezwie się na to Piast—

oto wszystko jadło, jakie miałem w chacie, wydałem gościom i nie mam już nic...

— Nic już nie macie? no! bo i nie potrzeba więcej — wszyscy najedli się do syta.

— Ej, gdzie tam nie znacie naszych obyczai. U nas będą się całą noc bawili i trzeba im ciągle jeść dodawać. Oto, co mię smuci, i nie wiem, co czynić.

— Ufajcie Bogu Piaście, on wam dopomoże.

— Ba! mruknął Piast.

— I żeby wam pokazać, jak Bóg Chrześcijański jest dobry, ja wam dopomogę.

To rzekłszy obrócił się do swego towarzysza i zawołał:

— Rodrygu!

Rodryg wstał z ławy i zbliżył się do swego starszego, a ten mu coś w obcym języku począł opowiadać. Rodryg wysłuchał, kiwnął głową i ruszył ku drzwiom chaty.

— Piaście, rzecze starszy, dajcie dwóch parobków uzbrojonych, memu bratu, by mu towarzyszyli w drodze, by ich nikt nie napadł, ani zły człowiek, ani zwierz dziki.

— A na co to? pytał Piast nic nie rozumiejąc.

— Na to, że będziecie mieli zaraz jadła w bród. W puszczy koło strzaskanego przez burzę dębu, prawie tuż przy gościńcu, ostawiliśmy nasze wozy, lękając się, by nam ich tu u was nie zabrano, bośmy nie wiedzieli jeszcze, co wy za lud

jesteście. Na wozach tych jest mąki dziesięć worów, tyleż krup, sarna i żubr, oraz napój mocny, zwany winem. Oto Rodrygus, mój brat, to wszystko tu dostawi, a Rzepicha niech zwoła służebne, by piekły chleb i sarnę i żubra! Rozumiecie teraz, Piaście?

— Rozumiem! rozumiem! niech was Bóg za to wynagrodzi. Zaraz wysyłam pachołków. Biegnę do Rzepichy.

Gdy wyszedł ze świetlicy a pielgrzym powoli zwrócił się ku ławie, Hilderyka, która śledziła ich rozmowę z Piastem, znowu pochyliła się do ucha na pół pijanego już Popiela i syknęła:

— Popielu, widziałeś jak ten mnich niemiecki knuje coś z Piastem?

Popiel wytrzeszczył na żonę błędne oczy i zapytał:

— Jaki mnich niemiecki?

— Ano ten... gość... coś go dziś odpędził od dworca.

— Idź do biesa niewiasto! daj mi pokój! Hej! jest tam kto? Nalej mi miodu do kubka, bo mi w gardle zaschło.

Hilderyka zaczerwieniła się cała od gniewu i syknęła:

— Pij, pij, przeklęty opoju, aż ci twą koronę ze łba zedrą! pij! pij! bo wiesz, że ja czuwam nad tobą, ty niewieściuchu, ty żabo!...

Ale Popiel nie słyszał tego wszystkiego, bo

właśnie do izby wtoczył się Zając, krzycząc swym piskliwym głosikiem:

— Gdzie Piast? gdzie Rzepicha? Co mi to zapostrzeżyny, gdzie nic ani jeść, ani pić nie ma? Popielku! robaczku! daj no mi miodu, niech sobie przepłuczę gardło, bom całkiem z sił opadł od ciągłego śpiewania.

Pijany był zupełnie i zataczał się po świetlicy, a w ręku trzymał róg bawoli, z którego widać pił. Na kołtunowatej głowie nie miał nic, jeno na pół rozlatujący się wieniec z dębowych liści.

— Siadaj Zajęcze! rzekł któryś z wojewodów robiąc mu miejsce na ławie.

Zając ciężko usiadł i odetchnął głęboko:

— Uf! jęknął — alem się też wytańczył! Ho! ho! stary Zając młodego jeszcze przeskoczy.

A obracając się dokoła i poglądając na wszystkich obecnych zapytał:

— A gdzie Sobiesław? Hę, Popielu, wiesz ty gdzie jest Sobiesław, twój stryjec?

— Nie wiem, alboż to ja jestem stróżem Sobiesława?

— A! a! a! robaczku, Popielku!... kiwał palcem Zając — tyś król a więc stróż wszystkich. Sobiesława nie ma i ja widziałem jak poszedł do dworca. No! a gdzie Piast? i gdzie oto jeden z tych niemieckich gości?...

Popiel obrzucił wzrokiem całe zgromadzenie

i nie spostrzegłszy w istocie jednego z pielgrzymów, zapytał drugiego.

— Gdzie wasz towarzysz?

— Zaraz wróci! odrzekł mnich spokojnie.

— Widzisz — poczęła szeptać do ucha Popiela Hilderyka — tu się coś knuje — zdrada jakaś niecna!

Ale Popiel był zanadto pijany, by mógł rozumieć doniosłość tego oskarżenia, a przytem Zając wziąwszy się pod boki począł tańczyć po świetlicy, przytupywać sobie i przyśpiewywać:

„Stanę się stanę siwym kaczorem,
Popłynę sobie bystrem jeziorem,
Twoją miłą nie będę,
Wedle ciebie nie siędę
Hu! ha!“

Wszyscy się śmiali, bo Zając tańcząc zataczał się, a że w świetlicy było ciasno, więc potrącał tego lub owego. Właśnie, wśród tej wrzawy, wszedł Sobiesław, i Zając spostrzegłszy go, zaraz zapytał:

— Sobku, a gdzieżeś ty bywał?

— Nigdzie! odrzekł spokojnie Sobiesław i usiadł koło pieca na ławie.

— Nie chodź synku, nie chodź, bo Hilderyka za tobą tęskni i ciągle się o ciebie dopytuje.

Rzekłszy to znów zaczął śpiewać swym piskliwym, jakby niewieścim głosem:

„A mam ci ja takie sidełka,
Złapię ja kaczkę za jej skrzydełka;

Moją miłą musisz być,
Mnie tę wolę uczynić.
Hu! ha!“

Z podwórza dochodziły wciąż tony fletni i piszczałki, hałas i wrzawa bawiących się dobrze. Tam przy ognisku gorejącem na środku, młodzież zabawiała się tańcem. Zwykle dziewczęta stawały rzędem, a przed nimi z batami w rękach przechodzili parobcy, wybierali, którą chcieli i puszczali się w pląsy. Śmiechu, wesela tu było bardzo wiele, choć jadła już nigdzie ani krzty znaleść nie można było, a beczki po piwie i miodzie wypróżnione były do dna. Szczęściem od Sobiesława przyniesiono pięć beczułek miodu, wyjęto z nich czopy i pito znowu. Pić więc było co, ale jeść nic. Ten i ów z parobków, spostrzegłszy Rzepichę, która z niepokojem co chwila wychodziła za bramę, na drogę i czegoś pilnie upatrywała, podchodził do niej i gadał:

— Rzepicho niemacie tam co jeść?

— Alboś to nie jadł?

— No... jadłem, ale widzicie przy tańcu, to człek ciągle głodny — odpowiadał drapiąc się po głowie.

— Czekaj! zaraz będzie...

Wiedziała ona, że Piast posłał po wozy pielgrzymów, ale była niespokojna i te ciągle nagabywania gości dręczyły ją. Nakoniec przecież bystre jej ucho, zasłyszało turkot wozu i wkrótce przed bramę zajechały skrzypiąc trzy wielkie

wozy plecione, kryte płótnem, a z nich zeskoczyli wysłani parobcy i pielgrzym. Zaraz wzięto się do wyładowywania olbrzymiego żubra, prawie całego i sarny. Pielgrzym też dobył dwie beczułki z winem, duży bochenek chleba i serów kilka, i oddał to wszystko gospodyni. Gdy żubra wniesiono na podwórze, powitały go okrzyki rozradowanych gości.

Zkąd? kto? jak? poczęto się dopytywać, i zaraz rozniosła się wieść, że to dar pielgrzymów. Wielu niedosłyszawszy dobrze, dziwiąc się, zkąd się wziął żubr, który koło Gopła był już rzadkim, poczęli dziwy opowiadać, że pielgrzymi czarami owego żubra tu przywiedli, że i owe pięć beczek miodu to oni z wody zrobili, i tym podobne rzeczy. Odtąd wszyscy poczęli patrzeć na pielgrzymów z bojaźnią, połączoną z przestrachem, a gdy młodszy mnich, po wydaniu rozkazów swej służbie, zeszedł na dziedzieniec niosąc pod pachą jakąś maleńką puszkę, wszyscy mu się usuwali z drogi, wielu nawet pokornie do kolan kłaniało. Piast wziąwszy beczułkę z winem, zaniósł ją do świetlicy i ponalewał w kubki i rogi.

— Co to? zawołał Zając spróbowawszy — to nie miód jeno wino! Hu! ha! Piaście!

I pił.

— Wino? wołał Popiel — dawajcie wina! To jest napój, wart ust królewskich. Dawaj wina!

Tymczasem na podwórzu ćwiartowano już żubra i sarnę, podsycono ognisko i pieczono przy

wesołych okrzykach wszystkich obecnych, którym nadzieja nowego pożywienia dodawała radości i otuchy. Rodrygus zaś, z puszką pod pachą, zbliżył się do swego starszego towarzysza i coś z nim długo mówił. Ten wziął puszkę, otworzył, wyjął z niej jakąś maść w drewnianej króbce i zawołał:

— Piaście!

A gdy gospodarz się zbliżył, pielgrzym rzekł:

— Przywołajcie tu do mnie Ziemowita, synaczka waszego. On jest niewidomy od urodzenia?

— Nie... jeno później zaniewidział.

— Przywołajcie go tu. Oto jest balsam cudowny, z wątroby rybiej zrobiony, ze wschodu sprowadzony. Nim Tobiasz ojcu swemu przywrócił wzrok, i ja jeżeli mi Bóg pozwoli, przywrócę wzrok waszemu synaczkowi.

Gdy to mówił, cisza wielka i poważna zaległa świetlicę. Popiel jeno wypiwszy odrazu dużo wina, zwalił się z ławy i mrucząc głośno, zasnął na polepie. Hilderyka przyklękła przy nim i podniósłszy mu głowę, położyła ją na swych kolanach i siedząc tak patrzała na to, co się działo w około niej.

Piast trochę przestraszony, trochę niepewny, przywiódł przed pielgrzyma Ziemowita. Chłopię z głową nisko ostrzyżoną, stało poglądając swemi szklistemi oczyma, w białej świtce i w lipowych

postołach milczące i niepojmujące, co się koło niego dzieje.

Pielgrzym powstał, poczem ukląkł i szeptać coś począł, złożywszy ręce jak do modlitwy. A gdy ukończył swe szeptanie, balsamem owym potarł mocno oba oczy chłopcu, zawiązał je białą szatą i kazał iść spać.

— Gdy słońce zaświeci, mówił, i ty dziecię moje ujrzysz światło Boże i wszystkie cuda na ziemi, jakie Bóg szczodrą ręką rozsypał dokoła. A teraz idź w pokoju.

Mówiąc to starzec, był tak poważny i taki jakiś niezwyczajnie wspaniały, że nikt najlżejszym szmerem nie śmiał przerwać milczenia.

— A teraz bracia moi, mówił pielgrzym, czemu się nie bawicie? Bawcie się, byście pamiętali tę noc, w której Bóg Piastowemu domowi okaże swą łaskę.

Bawiono się więc wesoło do rana. A gdy świt zaróżowił wschód i wspaniałe złote jesienne słońce zajaśniało na błękicie, wyprowadzono z komory Ziemowita, który klaskał w ręce z radości, że wszystko widział...

Tedy wielka groza opanowała gości Piastowych, w obec pielgrzymów. Ale tych już nie było. Przed świtem, wsiedli na swe wozy i niewiadomo gdzie pojechali.

IV

Hilderyka.

Króla Popiela zupełnie pijanego i nieprzytomnego zaniesiono nad świtaniem do jego dworca, gdzie go Hilderyka ułożyła do spania. Gdy się obudził, już było południe. Przy jego łożu siedziała żona, przędząc kądziel, zamyślona mocno z brwiami zmarszczonemi.

— Obudziłeś się przecie, rzekła gdy mąż otworzył oczy—wcale nie szanujesz twojej godności królewskiej. Upiłeś się wczoraj u Piasta, jak prosty kmieć.

— Ba! odezwał się na to Popiel ziewając głośno—wino było dobre. Zkąd u biesa ten Piast dostał takiego wina?

— To też pijąc to wino zapomniałeś o całym świecie, nic nie wiedziałeś, co się koło ciebie dzieje.

— A cóż się koło mnie działo? Wszyscy się bawili i jedli i pili i nic więcej...

Hilderyka upuściła kądziel, załamała białe ręce i swe duże niebieskie oczy wlepiła w męża.

— O! Popielu! Popielu! zawołała—tyś bardziej ślepy niż był nim wczoraj Piastowy syn Ziemowit.

— Jakto był wczoraj? czyby Ziemowit przewidział? spytał Popiel siadając na łóżku.

— To sam nie wiesz?

— Nic nie wiem.

— Przeklętym niech będzie taki mąż! krzyknęła z gniewem Hilderyka zrywając się z ławy, który mając przed sobą dzban z napojem, jego tylko widzi!

— No! no! Hilderyko — rzekł Popiel — nie sierdź się, ale powiedz lepiej co się stało.

— To się stało, że Ziemowit dziś rano przewidział. Cała Kruszwica o tem wie, całe opole nawet, jeno ty król polski nic nie wisz.

— Ziemowit przewidział? a to jakim sposobem?

Hilderyka westchnęła ciężko i siadając znów na ławie rzekła usiłując głosowi swemu nadać spokojność:

— Takim sposobem, że starszy z mnichów niemieckich przyłożył mu na oczy jakiś balsam cudowny...

— Starszy z mnichów? patrzajcie! a to dziwo!...

— O! gdybyś był trzeźwy, gdybyś nie był zajęty wczoraj jeno jadłem i napojem, więcej byś był widział dziwów i to takich dziwów, żeby cię mrowie przeszło i włosy na głowie się podniosły!

— Ejże, Hilderyko, co ty gadasz?

— Gadam to, co jest prawdą, co wszyscy widzieli prócz ciebie jednego.

— Ale cóż takiego, co się stało do stu biesów?

Hilderyka znów się zerwała z ławy, poszła do okienka, odsunęła zasuwę i wyjrzała, potem skierowała się ku drzwiom, uchyliła i zamknąwszy starannie, pobiegła do zdziwionego tem wszystkiem Popiela, nachyliła mu się do twarzy i syknęła:

— Spisek jest przeciw tobie! stracisz królestwo a może i życie!

Popiel, który dotąd siedział na łóżku na pół jeszcze nieprzytomny, ziewał i przeciągał się leniwie, nie bardzo rozumiejąc, czego żona chce od niego, na ostatnie jej słowa zerwał się na równe nogi, a wielkie jego czarne oczy poczęły rzucać błyskawice:

— Do stu piorunów, białogłowo! krzyknął, gdzie, kto? żywcem go w ziemię zakopać każę! na gałęzi obwieszę, w Gople jak szczenię utopię.

— Cicho! cicho! syczała żona, chceszże wszystko zdradzić? nie jak mąż, ale jak dziecię miotasz się wtedy, kiedy właśnie spokojnie i cicho

działać trzeba. Cóż? kogóż utopisz, kogo powiesisz, kogo zakopiesz? Wieszże kogo?

— No, nie wiem, obuknął się Popiel.

— Więc czegóż się sierdzisz i krzyczysz? chyba na to, by zdrajców ostrzedz, żeby się mieli na baczności i lepiej ukrywali. Tu nie krzykiem, nie groźbą zrobić cokolwiek można, ale rozumem i chytrością. Oni chytrzy, bądźże i ty takim, bo nic nie wiesz, co się dzieje.

— Cóż więc się dzieje? gadaj mi zaraz!

— A! żebyś nie pił wczoraj, jak ostatni parobek, ale patrzał na wszystko, jak królowi przystoi, tobyś wiedział.

Popiel zżymnął się i strasznym wzrokiem wpatrzył się w żonę. Ta widząc, że mąż jest gniewny, spostrzegła się, że go drażnić dalej nie należy. Rzekła więc:

— Widziałżeś-li jak wczoraj Sobiesław ciągle szeptał z Piastem? Pamiętasz-li, co arcykapłan Światowida przepowiadał Piastowi i Ziemowitowi?

— Aha!... tak... tak..., pamiętam... coś gadał mu, że będzie wywyższon nad wszystkich.

— A! widzisz... a cóż to znaczy? to znaczy, że będzie królował!

— Oho! nie doczekanie jego — dziś jeszcze każę utopić to szczenię.

— Nie czyń tego! nie możesz tego uczynić! Całe opole dziś jeno mówi i myśli o Ziemowicie

i o jego cudownem przewidzeniu. Teraz Piasta i Ziemowita trzeba ostawić w pokoju, a uderzyć gdzieindziej.

— Nic nie rozumiem, Hilderyko, o kim mówisz?

— O! ja wiem, że ty nie rozumiesz! Wiem ja dobrze. Ja mówię o Sobiesławie i o twoich stryjcach.

— A cóż oni winni?

— Co winni? załamała ręce Hilderyka—o ty niewiasto, nie mężu, co zamiast mózgu masz sieczkę w głowie. A któż to podburza kmieci i władyków? Kto siedzi w Gnieźnie na gródku, jak król jaki? Sobiesław to, zawsze Sobiesław i jego bracia. Kto wczoraj krzyczał najgłośniej, gdy kapłan przepowiadał Ziemowitowi panowanie? Sobiesław i jego bracia! Kto mię wczoraj zobelżył, mnie, Hilderykę, córkę króla Kruka Obotryckiego, mnie, żonę króla polskiego, Popiela? Sobiesław i jego bracia. O! żeby zamiast wody, krew w twych żyłach płynęła, krew prawdziwego męża, jużby dawno Sobiesław i jego bracia gryźli ziemię. Zkądże się wczoraj wzięli, niby kruki wietrzące ścierwo, ci dwaj mnisi niemieccy? Zkądże zaraz taka gwałtowna przyjaźń z Sobiesławem i Piastem, że synowi wzrok przywracają, że winem go obdarzają, że ciągle ze sobą szepczą?

— To oni dali wino? zapytał Popiel.

— Oni! oni! Nad świtaniem samem odjechali, i przed odjazdem, jak mi dziś opowiadał Zając,

który, chociaż pije, nie traci jednak nigdy przytomności, długo za częstokołem szeptali coś z Piastem i Sobiesławem. Co mówili? nie wiadomo. To pewna, że nic dobrego.

Wstała, przeszła się po izbie i dalej mówiła:

— I wieszże dokąd owe mnichy niemieckie pojechali? Oto na północ, tam gdzieś ku Gniewkowu, ku Noteci czy Wiśle. Jestem pewna, że pojechali do Gniewkowa, do gródka drugiego twego stryjca Mieszka, bo i Mieszek zaraz siadł na konia. jak powiada Zając, dognał ich i razem już puścili się w podróż...

— Hm! hm! mruczał Popiel szarpiąc brodę i przygryzając wąsa—tu się coś święci, to pewna... ten Mieszek to szczwany lis.

— I jeszcze ci jedno powiem—dodała Hilderyka — czy ty pamiętasz o tem, że to jesień już u nas?

— Więc co?

— A myszy?

— Jakie myszy?

— Cóż to, czyś stracił głowę? Czyż nie w jesieni zwykle napady czynią owi zamorscy ludzie, co się sami zwą Normanami, a my ich zwiemy myszami?

— Zapomniałem o nich... tak dawno już u nas nie byli, i nie słychać nic o nich. Zkądże ci znowu te przeklęte myszy do głowy przyszły?

— Zkąd przyszły? Bogowie! miejże zastanowienie, Popielu! pocóż na północ owi dwaj mni-

chowie pojechali? i dla czego tak prędko pojechali? Wszak wiesz o tem dobrze, a ja jeszcze lepiej od ciebie, bo u mojego ludu mnichy niemieckie to nie nowina, że jeżeli gdzie przyjadą, to osiadają na długo, uczą swej wiary, objaty Bogom swym czynią, a ci? wczoraj przybyli a dziś ich już nie ma. Cóż to znaczy?

— Hm! to prawda... mruczał Popiel zamyślony.

— Ale ja wiem, co to znaczy? ja wiem... stryjowie twoi i Piast przyrzekli im, że ich wiarę przyjmą, jeżeli ciebie z tronu zrzucą. A jakże cię z tronu zrzucić? Przy pomocy myszy zamorskich. Mieszek ma gródek niedaleko wód i tam pojechali, by Myszy sprowadzić. Jeno ich patrzeć...

— Hej! krzyczał Popiel, chwytając za miecz, wici każę zapalić, beczki smolne, powołam wszystkich pod broń i zdrajców uśmiercę!...

Ale Hilderyka poskoczyła do niego, wyrwała mu miecz z ręki i syknęła:

— Pst! Pst! ani słowa więcej!

— A to czemu? puść mnie niewiasto!

— Nie, nie puszczę, bo w ten sposób ich nie pokonasz i sam zginiesz marnie. Na chytrość trzeba chytrości, na podstęp, podstępu, na zdradę, zdrady! Tak czynią mężowie dojrzali. Nim ty wici roześlesz, to oni spostrzegą, że się wszystko wydało, uciekną i z Myszami tu wrócą. Albo to daleko do morza? Kto wie czy okręty Myszów już nie płyną Wisłą? I choćby nawet Myszy nie przyszły,

toć Sobiesław siedzi w Gnieźnie w mocnym gródku, Mieszko w Gniewkowie, jak wydra wśród wód czuwa, Ziemko w Żninie drwić sobie z ciebie i mnie, Bolko w Inowrocławiu jak w niemieckim burgu się kryje, Leszek w Poznaniu jest daleko i ma więcej kmieci niż ty... Co im zrobisz?

— Co ty wiesz? tyś niewiasta... opola muszą stanąć do boju na mój rozkaz!

— Nikt nie stanie, chyba kilku Kruszwickich władyków i kmieci, a i to jest wątpliwe... Pójdź, obacz, co się dzieje.

Wzięła go za rękę, wywiodła z świetlicy na ganek i kazała mu patrzeć na chatę Piastową.

— Czy widzisz? spytała.

— Hm... co oni tam robią? pytał Popiel przysłaniając oczy ręką od słońca.

— Przypatrz się dobrze. Oto utwierdzają swą chatę i gródek z niej robią. Zając mi opowiadał, że od świtu, ledwie goście się rozeszli po postrzyżynach, Piast zwołał kilkunastu parobków, i rowy kopie naokoło chaty i wodę w nie chce wpuścić.

— Hm! hm! to mi się wcale niepodoba. Oni coś knują...

— O! przecie się przekonałeś, Popielu.

— Tak, przekonałem się i strasznie ich pokarzę, jakem Popiel. Zaraz wici roześlę, a Piasta chatę z ziemią zrównam a jego szczenię w jeziorze utopię. Będzie królował, ale nad żabami!

Gdy to mówił, oczy mu błyskały piorunami i pięścią się odgrażał chacie Piastowej.

— Sprawię ja ci postrzyżyny, ale krwawe!

— Jeszcze raz ci mówię Popielu, nie czyń tego! wtrąciła Hilderyka.

— Cóż więc mam uczynić? Twój rozum nie do tego, ty jeno patrzeć umiesz, co ludzie czynią i patrz sobie, ale mnie zostaw czyn. Czyn do mnie należy!

— Tak, czyn, ale niechże ten czyn będzie rozważny i mądry. Już raz ci powiedziałam, że mocą nic nie zrobisz, jeno się na większe nieszczęście narazisz. Oni idą chytrością i ty trzeba żebyś szedł chytrością.

— Cóż więc mam robić? Mów!

Obejrzała się dokoła trwożliwie i schwyciwszy Popiela za rękę wciągnęła go znów do świetlicy. Tu nachyliwszy się do ucha męża, szeptała:

— Czy nie wiesz, że są takie zioła, z których napój zrobiony ma taką moc, że człowieka odrazu zabija?... Zioła takie są, ja ich nie znam, ale zna je znachor Wilk, co mieszka za jeziorem, wśród puszczy. Trzeba z Wilkiem się zobaczyć.

— Nic cię nie rozumiem, Hilderyko!

— A przecież ja wyraźnie mówię. I czego tak krzyczysz, Popielu? Nie możesz-że ciszej mówić? I ściany mają uszy.

Oczy jej świeciły się jak dwa ogniki, a rękę męża tak silnie ściskała, że ten aż wyrwać ją musiał. Hilderyka była blada, oglądała się dokoła

trwożliwie i pot zimny, kroplisty wystąpił jej na czoło.

— No, dobrze, dobrze, Hilderyko. Ale pocóż my się mamy z Wilkiem widzieć? Ja go się boję, to jest znachor, i ma z boginkami do czynienia...

— Właśnie dla tego. Zna on różne zioła i da nam... da... trucizny.

Ostatni wyraz szepnęła do samego ucha Popiela.

— Trucizny? a cóż nam po truciźnie?

— Pst! przez Bogów wszystkich, cicho! syczała Hilderyka, rzucając dokoła błędnym wzrokiem. I znowu, pochyliwszy się do ucha męża, szeptała:

— Trucizna jest nam potrzeba, jeźli chcemy królować i spokojnie siedzieć na stolcu w Kruszwicy.

— Nic nie rozumiem, co ma za związek...

— Słuchaj, Popielu, jestżeś mężem czy nie?

— Jestem mężem!

— A więc, twoich stryjów trzeba... słuchaj Popielu... trzeba wytruć... wszystkich, wszystkich dwunastu!

Popiel zbladł jak trup i cofnął się wstecz:

— Niewiasto! co tobie w głowie! zawołał.

— Tak jest, Popielu, trzeba ich wytruć. Wilk nam da takiego napoju, co zabija prędzej, niż piorun. Udasz chorego, położysz się do łóżka i poślesz do twych stryjów posła, że czując blizki swój koniec, chcesz się z nimi naradzić, kto ma po tobie

królować... Pst!... nie przeszkadzaj mi! Gdy się zjadą wszyscy, wyprawisz im ucztę i potrujemy ich, jak psów wściekłych, i wtedy będziesz spokojny i niczego się już lękać nie będziesz...

— Ale to straszne!

— Straszne? straszniejszą będzie twoja dola i ludu polskiego, jeśli tego nie uczynisz. Jeno patrzeć jak twoi stryjowie Myszy sprowadzą, lub Niemców i staniesz się niewolnikiem niemieckim i twój lud będzie sługą Niemców. No! Popielu, bądźże mężem!

I póty mówiła, póty podburzała Popiela, póty malowała mu piękną przyszłość, jeśli na tę zbrodnię się zgodzi, że Popiel uległ i przyrzekł o zachodzie słońca, popłynąć łodzią przez jezioro do chaty Wilka.



U czarownika Wilka.

V.

Chata znachora.

Znachor wilk, zwany tak ztąd, że chodził zwykle w wilczym kożuchu, mieszkał za Gopłem, w wielkiej puszczy, która tam rosła i ciągnęła się aż do Noteci i za Noteć jeszcze ku Pomorzanom. Znany on był na kilkanaście mil w około, jako wielki guślarz i czarownik.

Do niego to nad wieczorem wybrała się królewska para, Popiel i Hilderyka w towarzystwie jednego tylko Zająca, który wiosłować umiał, i choć lubiał żarty stroić, przecież przywiązany był do Popiela i umiał milczeć. Nie chciano zaś w dzień jechać dla tego, by ktoś nie widział i ztąd zaraz wniosków rozmaitych nie snuł. Za dworcem, za niewielkim sadem i pasieką, w częstokole otaczającym królewski dom, a przypierającym do samego Gopła, tak że z wiosną lub jesienią gdy wody przybiorą, to jezioro przedziera się przez

częstokół i dostaje do sadu, były małe ukryte drzwiczki, a przy drzwiczkach tych, zasłonięta gęsto rosnącym w tem miejscu sitowiem, stała niewielka łódź królewska. Do tej łodzi, cichutko niepostrzeżenie wyszedłszy ze dworca, Popiel, i Hilderyka i Zając siedli. Zając przyniósł ze sobą dwa niedźwiedzie futra i rozesłał je na ławie, mówiąc:

— Siądźcie Hilderyko, będzie wam mięcej.

Sam ubrany był w dostatni długi kożuch, bo noc się zbliżała, chłodna, chmurna i wietrzna, a na jeziorze nad wodą zimniej jest, niż na ziemi. Popiel też otulił się w piękne sobolowe futro, to samo i Hilderyka. Siedli w milczeniu do łodzi. Zając chwycił za wiosła, a Popiel za rudel i wypłynęli na fale, marszczące się pod wiatrem.

Noc jesienna szybko zapadała. Nad jeziorem, błyszczącem pod zachód jak mglisto-biała tafla, unosiły się wielkie mgły szare i mętne, kłębiły i przewracały, smagane wiatrem, który w miarę zapadania nocy wzmagał się co chwila. Przez tę mgłę okrywającą powoli świat, nic nie było widać, tylko w dali na wieży, na wyspie błyszczało światełko, które umyślnie tu co noc zapalano, by wskazać drogę żeglującym po Gople w nocy, a w dzień stała tam straż i pilnowała czy nie płyną znani korsarze Normandcy zwani Myszyngami, Myszami. Ztąd też i nazwa była miasta, Gródświeca co z czasem przerobiono na Kruszwicę.

Mgła była taka wilgotna, że przenikała do kości. Zając ciężko pracując wiosłami nie czuł chłodu, ale Popielowi, a zwłaszcza Hilderyce bybylo dość zimno. Przytem wśród tej szybko zapadającej nocy, takiej wietrznej, tego nieba zakrytego nieprzejrzaną bielą mgły, podróż do chaty znachora Wilka i do tego jeszcze po truciznę, którą najbliższych krewniaków truć miano, przerażała. Wszyscy siedzieli w milczeniu. przerywanem tylko miarowym pluskiem wioseł, skrzypnięciem rudla, czasem głuchym szumem falującego coraz mocniej jeziora, i krzykiem złowróżbnym mewy, zapóźnionej i lecącej do swego gniazda. Im dalej wypływano na jezioro, tym fale szły gęstsze i silniejsze i łódź po nich skakała jak piłka, a Hilderyka w duszy klęła się przed boginkami wodnemi, że im objatę sprawi gdy na ląd wróci, głośno bowiem wstydziła się ze swą obawą odezwać.

— Zając! przerwał milczenie Popiel, swym grubym, chrapliwym głosem.

— He? czego chcesz Popielu?

— Pilnuj się światła na wieży, bo mgła taka gęsta, że można miasto na brzeg przeciwny, gdzie indziej zajechać.

— Ee! czy to ja nie znam Gopla, czy co? oburknął się Zając i robił wiosłami z coraz większą energią.

Światło na wieży, stawało się też coraz większe i jaśniejsze. Z poza mgły wyglądało ono

jak kula czerwona, jarząca, zawieszona gdzieś w obłokach. Fale jeziora od światła tego łamały się w kolor krwi i pryskały w brzegi łodzi krwawą pianą.

— Popielu, szepnęła Hilderyka — trzebaby wieżę zdala ominąć.

— Dla czego?

— Może nas Wojsław lub jego syn Zbigniew, lub ta stara wiedźma Białka zobaczyć i będą się pytali kto my i dokąd jedziemy.

— A niech się pytają, to im nie odpowiemy.

— Wszelako lepiej będzie dla uniknienia gadania próżnego, ominąć zdala wieżę.

— Ha! niech i tak będzie!

Zaskrzypiał rudel i skręcił w bok.

— He! Popielu! a czego skręcasz? spytał Zając.

— Trzeba ominąć zdala wieżę.

— Aha! i to dobrze; jeno za późnośmy się do tego wzięli. Ten stary lis Wojsław ma dobre uszy.

Ominięto jednak bez żadnych przeszkód wieżę i wyspę, i łódź płynęła dalej, szybko prując falujące jezioro. Noc czarna, nieprzejrzana, bez gwiazd i bez światła, owładnęła przestrzenią. Wkrótce i czerwony blask ogniska, gorejącego na wieży, zniknął w nieprzejrzanej mgle i nic już widać nie było. Było tak ciemno, że Hilderyka tylko przy niepewnym odbłysku, jakie dawały pieniące się fale, mogła dojrzeć

miarowo pochylającą się naprzód i w tył postać Zająca. Wszyscy milczeli, przejęci swemi ponuremi myślami a może trwogą zabobonną. Słychać było tylko plusk fali i szum wzmagającego się coraz bardziej wichru. Wkrótce drobny, zimny, nieznośny jesienny deszcz padać począł.

To posępne milczenie przerwał Zając, kładąc wiosła na poręczy łodzi, odwrócił się, odetchnął głęboko i rzekł:

— Niech sobie odpocznę trochę. Zmęczyłem się. Wiatr i tak pcha nas do przeciwnego brzegu. Uf!...

Nikt mu nie odrzekł na to nic, po chwili więc znowu począł mówić:

— Już wiem, kto namówił Piasta, żeby umacniał swą chatę i rowy dokoła kopał.

— No, kto? zapytała z wyraźnem zaciekawieniem Hilderyka.

— Sobiesław.

— Słyszysz Popielu? zawołała Hilderyka, słyszysz?

— Słyszę! wykopę ja mu rów...

— A nie wiesz Zającu dla czego mu kazał się tak umacniać? spytała znów Hilderyka.

— Ba!... trudno to wiedzieć, co oni tam między sobą gadali, bo gadali długo. To pewna, że mu Sobiesław dał wszystkich parobków ze swego dworca w Kruszwicy i obiecał mu niewolników pomorskich przysłać z Gniezna, żeby robota prędzej poszła.

— Patrzajże! klasnęła w ręce Hilderyka.

— Jeden z parobków, cem go się przepytywał, powiadał, że dla tego Piast tak się umacnia, że jeno patrzeć jak Myszy na Kruszwicę napadną. Powiadają, że już na swych okrętach przypłynęli z wielką mocą na Pomorze. Ja też myślę Popielu, że i nam się trzeba zbroić.

— Nic mi oni nie zrobią. Albo to nie mam wieży murowanej na Gople? Niech mię sprobują teraz wziąć. A mój dworzec w Kruszwicy? Dobrze sobie zębów nałamią, nim go ugryzą. Nie boję ja ich się. Zresztą słyszałbym ja o tem, żeby Myszy przypłynęły. To są wierutne bajki!

— Hm! rzekł Zając, może to i bajki. Ale zawżdy lepiej się mieć na baczności. Piast słyszę kamienie zwozi, łuki i oszczepy sporządza, wielką kuszę buduje.

— A niech buduje! mruknął niechętnie Popiel i po chwili dodał:

— Ale ty gadasz Zającu a czas ucieka. Weź się do wioseł, bo jak się spóźnimy, to nas Wilk do chaty swej nie wpuści.

Zając splunął w obie ręce i zamaszyście jął wiosłować. Łódź popychana wiatrem mknęła jak strzała. Płynęli tak dobrą godzinę, gdy przez mgłę poczęła się czernić puszcza i wiatr przynosił szum drzew i ryki dzikiego zwierza.

— Otóż i jesteśmy u celu, odezwał się Zając — zaraz zobaczymy chatę Wilkową. O! o! o!

słyszę już naszczekiwanie jego psa. Alem się też zmachał! Uf!

Przybili do brzegu, który trochę stromo się wznosił, a nad samym brzegiem stała maleńka chatka, sklecona z nieociosanych berwion, mchem utkana, z dachem słomą krytym. Przez otwory błyszczało w niej światełko i z otworu w dachu dym się unosił.

— Wilk jest w chacie, bo się świeci! rzekł Zając wychodząc leniwie z łodzi i przywiązując ją do drzewa. A! psisko ujada!

Jakoż wielki pies wyszedł nad brzeg z jakiegoś ukrycia i wściekle szczekał.

— Cicho Kruczek, cicho! mówił Zając — nie wieszże psiajucho, że to król i królowa!

Ale Kruczek na to nie zważał, tylko dalej ujadał.

— Trzeba, żeby Zając został przy łodzi, rzekła Hilderyka stając na brzegu, a my, Popielu, chodźmy do chaty. Maszże ze sobą broń?

— Mam oszczep.

— A złoto?

— I złoto mam.

— To chodźmy.

Poczęła iść szybko pod górę odpędzając psa i wołając na niego:

— A leżeć Kruczek! a leżeć!

Popiel szedł za nią ciężkim, wahającym się krokiem, oglądając się dokoła trwożliwie i spluwając co chwila szeptał:

— Na psa urok! na psa urok!

Deszcz padał ciągle i strome wzgórze oślizgło, tak że Hilderyka i Popiel potykali się często, nim na szczyt się wydostali. Wicher wył jak potępieniec, piszczał i płakał żałośliwie po puszczy, która szumiała posępnym, jednostajnym szmerem. Masy liści uschłych już w skutek późnej jesieni, strąconych przez wiatr, kręciło się po ziemi z szelestem głuchym. Mgła opadła i leżała na jeziorze jak biała, mętna płachta, tu zaś na brzegu widać już było czarne chmurne niebo. Z głębi puszczy dochodził huk puszczyka, krakanie kruków, krzyk żórawi i ryk oddalony dzikiego zwierza. Pies wciąż naszczekiwał zajadle, a głos jego chwytany przez wiatr rozlegał się daleko i ginął gdzieś w nieprzejrzanych ciemnościach boru. Jakaś złamana przez wiatr brzezina, bielejąca wśród ponurej nocy swą białą korą, skrzypiała niemiłosiernie, a zabobonny Popiel ciągle spluwał i szeptał:

— Na psa urok! na psa urok! zgiń! przepadnij!

Gdy stanęli przed samą chatą, drzwi były zamknięte od wewnątrz, a na drzwiach czerniał przybity osikowemi kołkami, z rozpostartemi skrzydłami wielki puchacz. Hilderyka śmiało do drzwi zapukała i nadsłuchiwać pilnie poczęła jakiego głosu z wewnątrz.

Ale wewnątrz było cicho. Gdy poraz wtóry zapukała mocniej, zaszeleściało coś, rozległ się

łopot jak gdyby skrzydeł ptasich, czyjeś ciężkie stąpanie, i głos chrapliwy, gruby i ponury:

— Kto tam?

— Swój! odrzekła Hilderyka.

— Jać wiem, żeś swoja nie obca, bo niewiastą jesteś i wiem ja dobrze kto ty jesteś, ale czegoż ty zakłócasz mój spokój? Czy i w nocy, i to w takiej nocy kiedy wszystkie biesy, jak stado psów ze sfory spuszczone, szaleją po boru, nie dacie mi spokoju?

— Otwórzcie Wilku, otwórzcie! Na dworze zimno i deszcz pada, a nam też jest pilno.

Popiel podczas tej rozmowy stał przytulony do ściany chaty i drżał z zimna a może i z trwogi. Gdy Wilk mówił o biesach szalejących po boru, obejrzał się trwożliwie do koła i szeptał jakieś zaklęcia.

Tymczasem rozległ się trzask zasuwy, drzwi się otworzyły i na tle czerwonego ogniska, które gorzało na polepie w środku izby, ukazała się ciemna, zgarbiona postać, okryta wilczą skórą, włosem do góry. Kudły wilczury znać było, jak sterczały nastroszone, krwawo oświetlone od ogniska. Z pośrodka tych kudłów, wychylała się wielka, kołtunowata głowa, nakryta na ciemieniu łbem wilczym, ze szklistemi, szeroko rozwartemi ślepiami, z szeregiem białych zębów... Stał tak w tym strasznym i dziwacznym stroju, oblany blaskiem ogniska, przygarbiony mocno, oparty jedną ręką na zasuwie drzwi, drugą na wielkim

oszczepie, którego brzeszczot ciskał błyskawice od ognia.

Gdy Hilderyka przekraczała wysoki próg, Popiel schwycił ją za futro i pociągnął mocno.

— Czego chcesz? spytała.

Nachylił się jej do ucha i drżąco szepnął:

— Spluń Hilderyko, spluń na urok!

Hilderyka mruknęła coś niechętnie i weszła do izby, a gdy Popiel się ociągał, Wilk rzekł:

— Wchodź królu Popielu, wchodź! bo chocieś król Polski, to mi ciepła niedasz. Stary jestem a na dworze zimno.

Popiel jeszcze bardziej przestraszony tem, że go Wilk poznał, z wahaniem przestąpił przez próg i wszedł do środka. Zaraz też Wilk zamknął drzwi z trzaskiem na zasuwę.

Izba była niewielka, niska, kurna i na pół ciemna. Z ogniska gorejącego na środku, w wydrążeniu w glinianej polepie, rozłaził się po całej komorze gryzący dym i u góry pod strzechą tworzył niby czarną chmurę, leniwie ulatując przez otwór w dachu. Niedaleko drzwi, na półce do ściany przybitej błyszczało kilka wielkich mis i garnków, drewniane łyżki i naczynie bronzowe. Dalej był stół z prostych sosnowych tarcic zbity, a na stole siedział ogromny czarny kot, przypatrując się błyszczącemi swojemi ślepiami nowo przybyłym. W chwili, gdy ci weszli, w ciemnym kącie izby załopotało coś, i na ławę przy stole

wskoczył kruk i stał na jednej nodze, dziób ocierając o ławę.

— Cóż wam to trzeba królestwo? spytał Wilk patrząc na obojga małżonków z pod swego kudłatego nakrycia. Był to już starzec z wielką siwą brodą, zawiędły, suchy, kościsty, o maleńkich, siwych, niezmiernie jednak bystrych i ruchliwych oczkach, nakrytych wielkiemi, jak mleko białemi, krzaczastemi brwiami.

— Hę? zapytał poraz wtóry — może ci piękna królowo lubczyku się zachciało? i do starego znachora Wilka przyszłaś? hę? mam ja go tu, mam, z żabiej skrzeli, z wróblich serduszek, z motylich skrzydeł, z koguciej juchy na nowiu puszczanej. Hę? a może nie lubczyku, może czego innego? gadaj królowo, nie sromaj się. Stary Wilk to jak grób, bo sam też już grobem cuchnie. Pamięta on, jak król Lech tu przyszedł z kroackiej ziemi i jak wojował Duńczyków. Dawne dzieje, bardzo dawne! No gadaj Popielu czego chcesz, bom zmęczony i spać mi się chce, a biesy po boru szaleją...

Na wspomnienie biesów Popiel znów się trwożliwie obejrzał, a Hilderyka zbliżywszy się do Wilka szepnęła głosem urywanym, drżącym...

— Nie lubczyku mi trzeba Wilku, nie lubczyku, ale...

— Trucizny! przerwał jej Wilk i wpatrzył się w nią swemi bystremi oczami i śmiał się ukazując szereg czarnych zębów.

— He! he! he! zgadłem, wiem ja dobrze, co się święci, wiem jak trawa rośnie. O! o! o! tyś Obotrytów córa, a tam dziewki i mieczem i trucizną wojują!

— Ciszej Wilku, ciszej! szeptała Hilderyka błagalnie.

— A czemu mam być ciszej? że bies mię usłyszy? a niech słyszy. On i tak wie, po coś tu przyszła królowo polska i dawno ty jesteś jego służebnicą. No! no! dam ci trucizny, dam! Mam tu taką, com ją zrobił z trupiej główki umęczonego dziecka, ze śliny wściekłego wilka, z wątroby padłego węża, z języka upieczonej żywcem żmii, ze ślepi zakłutego puszczyka, z juchy padalca, z kwiatu szaleju zebranego o północku przed sobótką... Dam ci jej, dam, truj kogo chcesz. A wpuść jeno kroplę w puhar i nalej na to miodu, to miód będzie burzył się i pienił jak żubr dziki, jak Gopło podczas wichru. Hę? a co mi dasz za to Popielu?

— Dam ci trzy sztuki złota, com je od kupców niemieckich dostał.

— Pokaż Popielku, pokaż!

Popiel wydobył trzy błyszczące pieniądze złote i podał je Wilkowi. Ten je obejrzał starannie przy ogniu, uśmiechnął się do nich, schował w zanadrze, i utykając na nogę a stękając głośno i kaszląc szkaradnie powlókł się w ciemny kąt izby. Szukał tam czegoś długo, potem wrócił

z maleńkim rożkiem starannie korą zatkanym i dał go Popielowi

— Naści, na! możesz tem wytruć choćby dwunastu swoich stryjów.

Popiel zadrżał i pobladł i zawahał się, czy wziąć ten rożek, ale Hilderyka schwyciła go prędko, schowała za kaftan na piersi i rzekłszy:

— Dziękuję ci Wilku! szła ku drzwiom.

Ale Wilk ją zatrzymał:

— He! he! he! rzekł śmiejąc się, czekaj no królowo, niech ci coś powiem.

A gdy stanęła dodał:

— O! o! o! tobie chodzić przy mieczu a nie kądziel prząść, tobie być królem a jemu królową. Obotrytów białogłowa! Wilcze plemię! Czekaj no, czekaj. Mówię ci, nalej do puhara jeno kroplę, na to trochę miodu, nie pełno, to miód pienić się będzie i wylać się może. Piana ta nie truje, ale sam miód truje. Pianę ty możesz pić Popielu, ale miodu samego nie tykaj, i to jest umyślnie tak, bo jak się napijesz piany to każdy będzie myślał, żeś wypił pół puhara i resztę bez obawy wypije, rozumiesz mię?

— Rozumiem! mruknął Popiel wciąż trupio blady.

— No! to teraz idźcie sobie. A uważajcie, by was tam Kruczek nie poturbował. Idźcie sobie. O! o! o! jak dziś biesy szaleją. Czyby się kto powiesił? A może nie długo w tej krainie

coś strasznego dziać się będzie! He! he! he! idźcie sobie, idźcie!

Otworzył drzwi, wypchnął ich prawie na dwór i z trzaskiem za nimi zamknął.

Milcząc dowlekli się do łodzi, gdzie Zając siedział i przyśpiewywał sobie cicho.

VI.

Zaprosiny stryjów.

Nazajutrz Popiel spał długo, zwłaszcza, że późno w noc wrócili ze swej wyprawy do Wilka, bo wiatr był przeciwny. Zając go dopiero zbudził, mówiąc, że ważne są wieści.

— Jakie wieści? spytał Popiel, zrywając się z łoża i przecierając oczy.

— Ważne Popielu, bardzo ważne.

— No, to gadaj, nie zwłócz!

— Od Mieszka z Gniewkowa przyjechał konny samym świtaniem...

— No i cóż?

— Ano... przyjechał z doniesieniem, że Myszy się pokazały.

— Co ty gadasz? porwał się Popiel naprawdę przestraszony, szeroko roztwierając swe duże czarne oczy.

— Tak mówi ów poseł.

— Dawajże mi go tu! zawołał stając na nogi

i nadziewając na siebie płaszcz. Gdzie się Myszy pokazały?

— Na Wiśle i nawet na Noteci!

— Do stu biesów! wołaj tego posła!

Zając wyszedł, a zaraz od wewnątrz dworca otworzyły się drzwi i ukazała się w nich Hilderyka.

— Słyszałaś co mówi Zając? spytał Popiel gorączkowo przechadzając się po świetlicy, chwytając to za hełm, to za tarczę, to za miecz, które zaraz potem kładł na stole, jak człowiek, który nie wie, co czyni.

— Słyszałam wszystko i wiem wszystko; jeno, mój Popielu nie trać głowy.

— Co mi tam gadasz! oburknął się Popiel— niby ja nie wiem co to są Myszy! tu nie ma żartów! trzeba wici rozesłać i beczki smolne pozapalać, zwołać junaków z całej dzielnicy!

— Czekajno czekaj! nie tak gorąco... bo skądże ty możesz wiedzieć czy to wszystko prawda?

— Jakto, czy prawda?

— Czy to nie jest czasem jaki podstęp twoich stryjów? ..

— Hm! zastanowił się Popiel — a może i to być!

— I jest zapewne; trzeba owego posła zręcznie wybadać, choć to szczwany lis.

— Któż to jest?

— Wojewoda Zbiszek.

— Zbiszek? sam przyjechał?

— Samoczwart z pachołkami. Gnał widać całą noc, bo konie mają strasznie pomęczone.

Właśnie w tej chwili uchyliły się drzwi i ukazała się w nich głowa Zająca.

— Królu! rzekł, oto poseł od Mieszka.

I usuwając się na bok wpuścił do świetlicy męża olbrzymiego wzrostu, tak, że głową sięgał pod powałę. Miał zaś na sobie długi niedźwiedzi kożuch, przepasany czerwonym rzemieniem u którego wisiał prosty, niemiecki miecz. Na plecach zwieszał mu się łuk i kołczan pełen strzał. Nogi obute miał w buty ze skóry nie czernionej. Wszedł, zdjął kołpak bobrowy i pokłonił się królowi do kolan.

— Z Bogiem wojewodo Zbiszku! rzekł Popiel, co nam przynosicie?

— Miłościwy królu, ozwie się Zbiszek, złe wam wieści przynoszę od stryjca waszego, Mieszka.

— No, cóż to za wieści?

— Już od kilku dni chodziły po naszych opolach pogłoski, że Myszy na Pomorzu się ukazały, aleśmy tam temu nie bardzo wierzyli, bo to zawżdy na wiosnę i w jesieni tak gadają. Ale wczoraj, samiśmy na własne oczy widzieli jeden ich okręt, kuningę jak to oni nazywają, która wpłynęła na Noteć jakby na zwiady. Żagle miała i siedziało w niej dziesięciu mężów, zakutych w żelazo, w wielkich hełmach i pancerzach. Rzuciliśmy im kilkanaście strzał i zaraz zawrócili, ale to pewna, że ich jeno patrzeć.

— Do biesa! mruknął Popiel markotny—i na pewno to są Myszy?

— Ba! znam jać ich przecie, nie od wczoraj żyję, i nieraz już wojowałem z nimi.

— I dużo ich jest?

— Nie wiadomo. Książę Mieszek wysłał kilkunastu parobków na zwiady, a mnie kazał do was, miłościwy panie, jechać z objaśnieniem, byście radzili...

Popiel usiadł na ławie i głowę oparł o obie ręce, pogrążony w myślach. Tymczasem Hilderyka wysunęła się naprzód i spytała miękkim, pieściwym głosem:

— Powiedzcie mi wojewodo Zbiszku, czy sami widzieliście ową kuningę?

— Sam, niesam! Ja, jak wiecie, miłościwa pani, mam gródek w borze, o milę od rzeki, i gdy mi dano znać o pojawieniu się Myszy, nim dopadłem konia, nim zwołałem moich wojaków, upłynęło kawał czasu. Ale, gdym przyjechał nad Noteć, Myszy już były daleko, jeno bielał ich żagiel w oddali.

— Aha! a książę Mieszko ich widział?

— Jakże miał widzieć, kiedy Gniewków od Noteci jest jeszcze dalej, jak mój gródek?

— Więc któż ich widział?

— Mnie dał znać o nich mój syn Bolko, który polował z drużyną w puszczy nad Notecią.

— A książę Mieszek od was się dopiero dowiedział?

— Nie, on już wiedział.

— Ale zkądże? przecie, jak sami powiadacie, Gniewków jest bardziej od Noteci oddalony, niż wasz gródek?

— Hm! zmięszał się trochę Zbiszek, tego ja już nie wiem.

— Powiedzieliście na początku, żeście puścili kilkanaście strzał do kumingi Myszy, a potem, że gdyście dopadli do rzeki, to oni już byli daleko, jeno żagiel ich bielał.

— Ja nie puszczałem strzał cale, jeno mój syn Bolko. Myszów było dziesięciu, a Bolko miał dwudziestu wojaków, więc chciał się z nimi spróbować.

— Aha! uśmiechnęła się Hilderyka i spojrzała z ukosa na Popiela, który wytrzeszczywszy oczy słuchał z wielkiem zajęciem tej rozmowy.

Hilderyka tymczasem znów mówiła:

— Powiedzcież nam, cny wojewodo Zbiszku, cóż książę Mieszek czyni w obec tak groźnego niebezpieczeństwa?

— To czyni, co czynić powinien. Zwołał wojaków, kują miecze, włócznie, zbierają w gródku żywność, zbroją się i gotują do odporu. Prócz tego książę nakazał nam, wojewodom, na pierwsze wici stawić się pod Gniewków. Rozesłał dalej posłów wszędzie...

— A gdzie mianowicie?

— Najprzód do was miłościwa pani.

— A potem?

— Do Gniezna, Poznania, Inowrocławia,... wszędzie.

— Aha!... dobrze wojewodo Zbiszku! Powiedzcie księciu Mieszkowi, by zostawiwszy komu ze swych wiernych obronę Gniewkowa, zjechał tu do nas pojutrze na wielką naradę, co czynić w obec takiego niebezpieczeństwa. Będą i inni nasi stryjowie...

Zbiszek skłonił się i rzekł:

— Miłościwa pani, książę Mieszek może rozkazy tylko od króla Popiela przyjmować...

Hilderyka spłonęła cała krwią, a potem zbladła i odwracając się do siedzącego wciąż nieruchomie Popiela, rzekła:

— Popielu, powtórz to Zbiszkowi!

Popiel wstał i rzekł:

— Tak, taką jest nasza wola. Pojutrze Mieszko ma tu się stawić w Kruszwicy, w naszym dworcu, na naradę. Musimy w obec takiego niebezpieczeństwa zasięgnąć rady naszych stryjów, żebyśmy się bronić lepiej mogli. A teraz, wojewodo Zbiszku, zanieście nasze pozdrowienie królewskie księciu Mieszkowi.

Zbiszek skłonił się i ciężkim krokiem wyszedł. Ledwie drzwi się za nim zamknęły, gdy Hilderyka wybuchnęła strasznym gniewem. Potrząsając i wygrażając pięściami, wołała:

— Czekaj, hardy zbóju, dam ja ci! przypiekę ja ci boków! Popamiętasz mię długo, z twoim księciem Mieszkiem. Psy przeklęte, padalce, węże!...

Poczem obracając się do Popiela, rzekła:

— Widzisz, widzisz, nie omyliłam się. Wszystko jest kłamstwo, Myszom ani się śni nas napadać.

W tej chwili wszedł Zając i stanął przy drzwiach, słuchając ostatnich słów królowej.

— Ale co też gadasz, Hilderyko! ozwie się Popiel, gdzieżby tak niecnie łgali.

— Łżą, łżą! chyba głuchy jesteś i głupi! wołała w uniesieniu — nie słyszałżeś rozmowy mojej z tym wisielcem Zbiszkiem? Wszystko jest łgarstwo, wynalezione po to, by czemś upozorować zbrojenie się. Te miecze, łuki, włócznie, te posły do wojewodów i książąt, to nie na Myszy, tylko na ciebie!

— Hm! rzekł Zając, toż łatwo się o tem przekonać.

— Jak? jak?

— Wysłać kikunastu ludzi, cichaczem na zwiady nad Noteć i Wisłę, niech przepatrzą i doniosą, co się święci... I powiem, że i mnie się to widzi łgarstwo, bo zkądże kuminga wzięła się na Noteci, skoro Myszy płyną Wisłą, przecież Noteć nie łączy się z Wisłą.

— Ach! zapomniałam o tem! zawołała, klaszcząc swoim zwyczajem w ręce, Hilderyka. Zapomniałam! no! teraz to oczywiste jest łgarstwo. I gdyby tak na mnie, tobym tego zbója Zbiszka schwycić kazała i na pytki go wzięła. Zaraz by wyśpiewał wszystko...

— No! no! królowo!... Zbiszek jest wojewodą... uśmiechnął się Zając.

— Wojewodą! och, gdybym ich wszystkich wywieszać mogła na tych oto gałęziach! zawołała z wyrazem niewysłowionego gniewu i uniesienia.

Popiel milczał wciąż i coś głęboko rozważał.

— Cóż Popielu, zwróciła się do niego Hilderyka, czy wątpisz jeszcze, że to wszystko, co tu o Myszach gadał Zbiszek, jest kłamstwem?

— Hm! może i kłamstwo a może i nie!

— Nie?... ależ zkądże się wzięła kuminga na Noteci?

— Ej, czy to nie wiesz, że Myszy jak im gdzie wody zabraknie, to swoje kumingi całemi milami przenoszą?... Przenieśli i tę na zwiady...

— Co tu gadać po próżnicy! ozwie się Zając, wysłać na przeszpiegi kilku ludzi i koniec. Bocian jest do tego jak stworzony. Jego trzeba wysłać... i kilku innych.

— A ty, pojedziesz?

— Hm!... ja już stary, brzuszysko mam duże, gdzie mi tam tłuc się po puszczach!... Wczoraj takem się napracował tem wiosłowaniem, żem dziś czkawki dostał. Żebym tak skisł, jeżeli łżę. Zgaga mię piecze a tu pić nie ma co. Nie macie tam czem królu Popielu, przepłukać gardła?...

— Tylko żadnych pijatyk! zawołała Hilderyka. Czasy są bardzo ważne, pić nie pozwalam. Zając zaraz niech siada i jedzie do Gniezna do Sobiesława i zaprosi go na pojutrze na naradę.

— Hilderyko, piękna królowo! prosił się Za-

jąc, złożywszy ręce jak do modlitwy — gdzie ja na taki psi czas będę jeździł do Gniezna? Albo to innych nie ma? Mało to tu darmozjadów? Zając wszędzie! Zając i wiosłem robi, i na posły służy, i do rady, wszędzie. Ja już nie czuję skóry na grzbiecie, żebym tak skisł. Hilderyko, złotko moje, kapeczkę miodu, jeno kapeczkę!

— Dobrze, dam ci miodu, ale musisz jechać. Sobiesław chytry wąż, wie jak trawa rośnie. Trzeba do niego zręcznie się wziąć, bo jak zwącha co się święci, gotów nie przyjechać — mówiła Hilderyka.

— A czemużby nie miał przyjechać? Cóż to takiego się święci? pytał Zając, udając głupiego. Czy to co złego, że król go wzywa na radę w chwili takiego niebezpieczeństwa?

Hilderyka znowu się zarumieniła mocno, i odwracając się do okna, rzekła z udaną obojętnością:

— Oczywiście, że to jest proste. Ale wiesz, Zającu, że stryjowie coś knują przeciwko nam, więc z obawy, żeby się nie wydało, może nie będą chcieli zjechać. Ale co to o tem gadać! Gotuj się do drogi!

Rzekłszy to, wyszła. Popiel zaraz zajął się wysłaniem kilkunastu ludzi na zwiady nad Noteć, bo był przekonany, choć Hilderyka inaczej twierdziła, że doniesienie Zbiszka o Myszach jest prawdziwe. Między wysłanymi był Bocian, chłop wysoki jak tyka, chudy, na cienkich i długich nogach,

ztąd nazwany Bocianem. Z nim udało się sześciu innych ludzi wytrawnych w tem trudnem rzemiośle. Popiel przykazał im surowo, żeby dotarli do Noteci i do Wisły, i żeby jak najprędzej z pewnemi wieściami wracali. Uczyniwszy to, począł oglądać swój dworzec. Otoczony on był palisadą i parkanem z grubych belek i nie łatwy był do wzięcia. Z tyłu wznosiła się wysoka wieża, zbudowana także z grubych bali i chcąc się dostać do niej trzeba było drabinę dostawiać. Na tej wieży, z której daleki był widok, postawił straż i kazał jej pilnie baczyć. Do strażnika w murowanej wieży na wyspie na Gople, Wojsława, posłał także, by się miał na baczności.

Gdy to czynił Popiel, Hilderyka rozesłała znowu posłów do stryjów królewskich, zapraszając ich na pojutrze na radę. Zając, choć się wypraszał, płakał i narzekał, musiał także jechać. Potem kazała bić barany i piec podpłomyki i beczki z miodem wytaczać, by było czem stryjów ugościć.



Śmierć Stryjów.

VII.

Straszna uczta.

Nazajutrz po całej Kruszwicy rozeszła się wieść, że król Popiel jest chory. Wieść ta smutkiem i przerażeniem wszystkich napełniła, zwłaszcza, że wiedziano już o pojawieniu się na Noteci kuningi normandzkich Myszy. Z jednego okrętu, jak to zwykle u ludzi bywa, potworzono zaraz tysiące i opowiadano sobie, że cała owa północna kraina wyroiła się ze swej ludności, by Polskę zawojować. Dziwy opowiadano o ich zbrojach, których strzała nie ima, o ich hełmach ustrojonych w łby jakichś nieznanych, potwornych zwierząt, o ich mieczach i wzroście olbrzymim. Strach więc padł na wszystkich, i właśnie w takiej chwili, wódz polski, król leży chory obłożnie.

Tłumy też ciągnęły przed dworzec, żeby się coś dowiedzieć o zdrowiu królewskiem, i każden pachołek, który się we drzwiach ukazał, był bada-

ny i pytany. Niestety! coraz gorsze przynoszono wieści. Król jest bardzo chory i z każdą godziną mocniej zapada. Widziano, jak paru parobków siadłszy do łodzi, popłynęło Gopłem po znachora Wilka, jak ten przybył, siedział długo w świetlicy królewskiej, a gdy wyszedł, obstąpiono go do koła, pytając się, co słychać?

— He! he! he! zaśmiał się Wilk — to wy tak kochacie Popiela? Psy jesteście nie naród.

— Ale, mój Wilku, ozwie się jakiś stary kmieć, tu nie o to idzie, jeno kto nam będzie przewodził jak Myszy napadną, gdy Popiela nie stanie?

— Lepiej, żeby was Myszy zjadły.

To rzekłszy nacisnął wilczy łeb, otulił się w swój skudłowany kożuch i odszedł nie mówiąc już ani słowa, choć go o to i owo nagabywano.

Jakoż w rzeczy samej Popiel leżał w łóżku w świetlicy, nakryty wielką niedźwiedzią skórą i udawał chorego, choć był zdrów jak ryba. Hilderyka, ów zły jego duch, namówiła go do tego, a nawet chcąc by źle wyglądał, mąką pszenną wybieliła mu twarz i był blady dzięki temu, jak płótno. Leżał więc Popiel, czekając na stryjów, i przykrzyło mu się to bardzo. Zając jeszcze nie wrócił z Gniezna i nie miał kto króla rozweselać. Hilderyka, zajęta przygotowaniami do jutrzejszej uczty, rzadko zaglądała, a jeżeli przyszła, była chmurna i gniewna.

— Leż, leż Popielu, mówiła — jutro się wszy-

stkie ich zamysły wydadzą, gdy zobaczą, że umierasz. Zaraz będą gadali o twoim następcy i ujrzysz przyszłego króla. Król! zaśmiała się strasznym śmiechem—będzie on królował, ale nad rybami i żabami w Gople!

Nazajutrz koło południa poczęli się zjeżdżać stryjowie. Najprzód przybył Mieszko z Gniewkowa i wielce się zasmucił, ujrzawszy Popiela chorym, który był trupio blady od mąki i stękał ciągle, lub jęczał. Mieszko opowiadał, że o Myszach nic nie słychać, ale widzi mu się, że ich jeno patrzeć, a Popiel załamywał ręce i wołał:

— Czemuż zdrów nie jestem? czemu was kochani stryjowie i ludu mego nie mogę poprowadzić na tych zbójów przeklętych!

Potem przybył Sobiesław z Gniezna i inni koleją przybywali, tak że przed wieczorem w dworcu Popiela, znaleźli się już wszyscy jego stryjowie. Popielowi było coraz gorzej. Leżał na łóżku otulony w niedźwiedzie futro i oddychał ciężko, mówiąc że mu zimno, choć w świetlicy na kominie napalono mocno. Hilderyka chodziła po izbie i zalewała się łzami i łamała ręce i głośno zawodziła:

— Dolaż moja, dola! Co ja teraz nieszczęśliwa zrobię, gdzie mnie głowę schronić, gdy mój król, mój pan i mąż mnie opuści..

Gdy już zmrok zapadł i po świetlicy włóczyły się wielkie cienie, których ognisko gorejące na kominie rozjaśnić nie mogło, Popiel, le-

żący dotąd cicho, nagle zerwał się usiadł na łożu i patrząc strasznym wzrokiem przed siebie w ciemny kąt izby, a rękę wyciągając jakby kogoś odpychał, zawołał okropnym głosem:

-- Idź już! idź już, zaklinam cię na wszystkie bogi!

Wśród zebranych. przerażonych tym jego głosem, zapanowała zrazu martwa cisza i wszyscy z zabobonną trwogą spoglądali w ciemny kąt izby, gdzie zresztą nic nie widzieli. Aż nareszcie Sobiesław, zebrał się na odwagę i zbliżywszy się do Popiela, zapytał:

— Co się stało? z kim wy gadacie, Popielu?

Popiel tymczasem padł na łóżku i począł oddychać ciężko. Po chwili rzekł cichym. stłumionym, osłabionym głosem:

— Widziałem, z woli Bożej, widmo jakieś.

— Widmo? zawołali wszyscy, oglądając się z bojaźnią dokoła.

— Tak, widmo! powtórzył Popiel—stało tam, w kącie świetlicy w białych jak śnieg szatach, i jasność wielka od niego biła.

Umilkł. wciąż oddychając ciężko.

— Widmo to, począł znowu, powiedziało mi, że już jutro słońca wschodzącego nie ujrzę, że umrę tej nocy!

Hilderyka słyszawszy to, poczęła krzyczeć, zalewając się łzami. szarpiąc na sobie ubranie, tłukąc się o ściany świetlicy.

— Hilderyko! rzekł Popiel—nie płacz, moja

niewiasto ukochana, nie płacz! A wy stryjowie, posłuchajcie co wam powiem. Zbliżcie się tu do mnie, bom słaby bardzo i głośno mówić nie mogę.

Więc wszyscy stryjowie, zalewając się łzami, tak ich bowiem wzruszył głęboki żal Hilderyki, choć byli to już mężowie przeważnie siwowłosi, zbliżyli się do łoża królewskiego i stanęli koło niego. Zając, który także był w izbie, przykucnął sobie przy ogniu i patrzał z pod oka na Hilderykę i szeptał:

— Co za białogłowa! I ci głupcy myślą, że ona naprawdę płacze, że ten lis tam na łóżku naprawdę umiera, i że to wszystko prawda. He! he! he! śmiał się cicho—to mi widowisko!

Tymczasem Popiel głosem słabym począł mówić:

— Stryjowie moi, gdy mnie już nie na długo stanie na tej ziemi, gdy nie mam dzieci i nikogo, coby po mnie na stolec królewski wstąpić winien, do was należy o następcy stanowić. Mnie powołuje moje przeznaczenie i dość mi będzie pociechy, gdy się tak nieśmiertelnym z waszej łaski ujrzę, jak z waszej łaski rządziłem. Stanowcież tedy, kto będzie moim następcą!

Wszyscy w milczeniu spojrzeli po sobie i nikt nie śmiał się odezwać pierwszy, co widząc Popiel, rzekł:

— Sobiesławie, chodź-no tu do mnie.

A gdy Sobiesław się zbliżył, dodał:

— Nachyl się powiem ci coś do ucha.

I gdy Sobiesław zadość uczynił woli Popiela, ten mu szepnął:

— Któż jest godniejszym tronu nad ciebie? Najstarszy jesteś, uczyń tak, byś siadł po mnie na stolcu. Ja każdego wezwę tu do siebie i powiem, by ciebie wybrano.

A gdy Sobiesław chciał coś odrzec, dał mu znak, by milczał i wezwał do siebie Mieszka.

— Mieszku, szepnął mu do ucha, tyś najdzielniejszy z nich wszystkich, twój gród Gniewkowski jest mocny, ty bądź królem i uważaj pilnie na Sobiesława. Ja każdemu powiem, by ciebie obrano.

I po kolei tak każdego wzywał i każdemu mówił, że on jest najgodniejszy być królem i by miał na oku innych. Tak rzuciwszy między braci zarzewie podejrzeń i niezgody, rzekł:

— No, obierajcie króla.

Ale znowu spojrzeli po sobie i nikt jakoś nie zaczynał. Wtedy Sobiesław wystąpił naprzód i odezwał się:

— Królu Popielu, to sprawa ważna, trzeba się nad nią namyśleć.

— Tak! tak! potwierdzili inni.

— Ha! niech i tak będzie! jęknął Popiel — namyślajcie się, kiedy chcecie. Teraz, stryjowie kochani, gdy mi już życia nie długo starczy, zjedzcie ze mną, dawnym zwyczajem ojców naszych, stypę pogrzebową. Nie będzie mi się bo-

wiem zdawało, że umieram, jeżeli obaczę waszą ku mnie przychylność, jeżeli z wami odprawię mój własny obchód pogrzebowy; bo i cóż mógłbym się spodziewać od tego, któryby żyjącemu odmówił, co umarłemu winien?

Słowa te wypowiedział tak żałośliwym głosem, że wszyscy uczuli łzy w oczach, nawet Zając pod piecem, a Hilderyka poczęła ręce łamać i zawodzić głośno:

— Dolaż moja! dola! o ja nieszczęśliwa! o, ja biedna!

I rzuciwszy się z jękiem do łóżka Popielowego poczęła mu ręce całować jęcząc i narzekając. Stryjowie wzruszeni tem także płakali głośno, a kilka służebnych niewiast Hilderyki z krzykiem rozdzierało swe suknie i rwało włosy. Hilderyka, w uniesieniu rozpaczy, zerwawszy się od łoża królewskiego, poczęła rzucać się na szyję stryjom, wołając:

— Nie opuszczajcie mię! nie pogardzajcie nieszczęśliwą wdową!

I cała świetlica napełniła się łkaniami i płaczem, jękami, rozpaczliwem rąk łamaniem. Wszyscy mieli łzy w oczach, jeden tylko Zając, siedząc nieruchomie pod piecem, patrzał na to z pod oka i kiwał tajemniczo głową. Gdy zaś Hilderyka ciągle łzy lała i głośno zawodziła tłukąc się o ściany świetlicy, Popiel rzekł:

— Królowo, czemu gorzkiemi zalewasz się łzami? Czemu cię smutek trawi? czy lękasz się wdo-

wieństwa? Dopóki ci żyją, tu wskazał na stryjów, nie poczujesz się wdową. Owszem, wśród tak licznego grona pozostałych krewnych, niech ci się zdaje, że i ja jeszcze żyję. Teraz, tu zwrócił się do swych stryjów, najprzedniejszych ojców, najczulszych przyjaciół, których ostatnim widokiem, jakby promieniami gwiazd się pokrzepiam, uprosićbym pragnął, ażeby w tobie moją przechowali pamięć a mianowicie wiedzieli, żeś jako resztka szczęścia mego, duszy mojej połową.

Sobiesław na te słowa wystąpił naprzód i rzekł ze łzami w oczach:

— Przysięgam w imieniu wszystkich moich braci, że żywcem damy się pogrzebać, niżbyśmy mieli zapomnieć o twojej żonie, Popielu.

— A więc, zawołał z uśmiechem Popiel — Hilderyko, otrzyj łzy i zajmij się tem, by jak należy ugościć naszych stryjów.

Hilderyka skinęła na swe służebne i wnet zastawiono w tejże samej świetlicy, gdzie Popiel leżał, stoły pełne jedzenia. Podano barszcz z rurą i pieczenie rozmaite, jako to: z wołu, barana i cieląt, nie licząc świniny. Beczki z miodem i piwem stały na uboczu i wszyscy jedli i pili, a Hilderyka ze służebnemi swemi, dawnym obyczajem usługiwała gościom. Zając najadłszy się także i podpiwszy sobie, począł żarty stroić, mówiąc:

— Popielu, tak cię rozweselimy tą ucztą, że zmożesz choróbsko i wstaniesz zdrów jak ry-

ba. Ja ci to powiadam. A szkoda, że nie umrzesz, bo ja widzę, że nikogo innego, jeno mnie stryjowie obiorą królem. Pi! pi! pi! co ja będę za król! ho! ho! Zaraz się ożenię z Hilderyką i będę sobie jeno jadł, pił i spał.

A zwracając się do stryjów, gadał:

— I czemu ja nie mam być królem? Albom ja to gorszy lub głupszy od was? Że tam nie lubię wojen i zabijania się tego, bies wie po co i na co—no to cóż? Toć i nieboszczyk... a! co też plotę, przecie jeszcze żyje—Popiel nie był wielkim wojakiem i jeno raz z Myszami się bił i to kiepsko. I ja to potrafię, a może lepiej. Czemu nie? I powiadam wam, jak zostanę królem, to wam wszystko pozwolę czynić. Odzierajcie sobie kmieci, jak jeno żywnie się wam spodoba, napadajcie zamorskich kupców, którzy jeżdżą tędy z towarami, róbcie co chcecie, bylem ja siedział w dworcu Popielowym spokojnie.

Śmiali się wszyscy i Popiel się jakoś rozweselił. A gdy już zjedli i nasycili się, rzekł do nich:

— Pójdźcie tu do mnie i pijcie stary miód wraz ze mną.

Tedy wszyscy przysunęli się do łoża królewskiego i zabawiali się piciem. Miód był dobry i wielu z czupryn się kurzyło. Więc Popiel się odezwał:

— Wasze miłe zgromadzenie się jest mi w chorobie prawdziwem lekarstwem i życia ostat-

ki spędzam wesoło, zamiast żebym się smutkiem dręczył. Jestem tak szczęśliwy teraz, że wam niczego odmówić nie mogę. Mam w loszku beczułkę osobliwszego miodu, com go dostał od jednego księcia mazurskiego, gdym wojował Łęczycan. Miód to z pszczół, co w puszczy mazurskiej ule mają. Żaden z was takiego nie pił. Gdy go się naleje w puhar, to szumi i pryska, jakby się gotował a w smaku jest przedni. Hilderyko! każ przynieść tego miodu i mój puhar złoty! Pożegnam nim wszystkich, i nawzajem pożegnalnym złączymy się pocałunkiem, i z tego puhara każden za moim przykładem się napije.

Zając, który sobie znowu usiadł pod piecem i grzał się, pokiwał głową i mruknął:

— Otóż i koniec!

Przyniesiono beczułkę owego osobliwego miodu i wielki puhar szczerozłoty i Hilderyka, wtoczywszy ową beczułkę w kąt ciemny świetlicy, sama z niej miód toczyła. Odwróciwszy się tyłem do wszystkich, wydobyła z poza szaty rożek z trucizną Wilka i kilka kropel wpuściła jej do kielicha, a gdy potem nalała miodu, to burzyć i pienić się począł. Taki pieniący się puhar podała Popielowi. Wszyscy ciekawie patrzyli na ów pieniący się miód i Popiel podniósł go w górę i zawołał:

— Piję do ciebie, Sobiesławie!

I przytknął puhar do ust i dmuchnąwszy weń nosem, piana zaraz opadła. W puharze zo-

stała jeno połowa napoju, który król podał Sobiesławowi. Ten nie podejrzywając nic, zwłaszcza, że był przekonany, iż król połowę puhara wypił, wysączył go do dna i rzekł:

— Hm! miód jest przedni, ale z goryczką jakąś!

— Ba! takie są mazurskie miody, bo tam pszczoły dużo jedzą jałowcu! — ozwie się na to Popiel.

I wziąwszy znowu puhar, w ten sam sposób napełniony przez Hilderykę, pił do Mieszka i do wszystkich dwunastu koleją.

Gdy wypili, król rzekł:

— A teraz, ukochani moi stryjowie, raczcie mię opuścić, bo czuję potrzebę snu. Dla was przygotowano tam w drugiej świetlicy posłania.

Tedy wszyscy poczęli powstawać, ale wielu nie mogło już tego uczynić o własnych siłach. Inni powstawszy zataczali się jak pijani.

— Hm! rzekł Mieszko — mam dobrą głowę a upiłem się kapką miodu. Osobliwszy miód! osobliwszy miód!

I szedł, chwiejąc się na nogach i opierając się o ścianę. Bolkowi oczy wylazły na wierzch i czerwony się stał cały i ruszyć się nie mógł z ławy. Sobiesław powstawszy szedł ku drzwiom zataczając się, ale nie doszedł do drzwi, gdy chwycił się gwałtownie za piersi i ze strasznym krzykiem padł na ziemię. Tu począł się wić i piana mu szła z ust i krzyczał ciągle nieludz-

ko, aż rzuciwszy się kilka razy, skonał. Inni to samo poczęli padać. Wielu już na dworze i słychać było jeno jęki okropne i miotania się nieszczęśliwych.

Popiel siedział na łóżku i patrzał na to wszystko oczami szeroko rozwartemi a włosy mu na głowie podniosły się, jakby je wicher szalony wzburzył. Po czole spływał mu pot kroplisty strumieniem, i jego ślady zostawały na twarzy ubielonej mąką. Zając wtulił się w kąt świetlicy i wystraszony z okropnym wyrazem na twarzy, przypatrywał się śmierci stryjów. Ci umierali jeden po drugim. Bolko przed skonaniem, zerwał się z ziemi, ukląkł i wyciągając trzęsącą się rękę, zawołał strasznym głosem:

— Popielu, potrułeś nas. Obyś był przeklęty, oby cię święta ziemia nie nosiła długo, oby prochy twoje w niej nie spoczęły!

Wyrzekłszy to, padł z jękiem nieludzkim i skonał. Wielu z boleści gryzło do krwi ręce, wielu włóczyło się po ziemi, rycząc jak dzikie zwierzęta. Noc już była późna i głucha, i gdy wszyscy skonali, wtedy Hilderyka, która siedziała w kącie świetlicy i w milczeniu patrzała na straszny zgon stryjów, wysunęła się naprzód, popchnęła nogą ciało Sobiesława i rzekła:

— Masz tobie psie jakiś królowanie i spiski i zdrady z Niemcami. Będziesz królował ale u żab w Gople.

I obróciwszy się do siedzącego wciąż nieruchomie na łóżku Popiela, zawołała:

— Dalej, Popielu. trzeba tych psów potopić w Gople, póki noc jest jeszcze. Niedługo świtać będzie.

— A gdzie Zając?

Ale nikt się nie odzywał. Wtedy dostrzegłszy go w kącie, wywlokła ztamtąd bladego i drżącego, rzekła:

— Co? i tyś stchórzył! I to są mężowie! Dalej, bierzmy te trupy i topmy.

Powstał w milczeniu Popiel i we troje z Hilderyką i Zającem brali każdego trupa po kolei i nieśli go przez sad do furtki, co wiodła w częstokole do Gopła. Tu wiązali kamienie do nóg i ciskali trupa do wody.

Szary świt się robił, gdy ostatnie zwłoki utopili. Popiel wciąż blady śmiertelnie i milczący, patrzał długo jak za ostatnim topielcem, na cichych wodach jeziora tworzyły się koła coraz większe i coraz szersze, aż gdzieś znikły w mgle jesiennego poranku. Potem obtarł ręką spocone czoło, westchnął głęboko i w milczeniu powlókł się za żoną do dworca.

Zając zaś siedział długo nad jeziorem, patrząc na nie szklistemi oczyma, potem się zerwał, zaśmiał głośno i uciekł. Dostał pomieszania zmysłów.

VIII.

Bocian na zwiadach.

Tymczasem, gdy się te straszne sceny działy w dworcu Popielowym, gdy ciche wody Gopła pokryły swemi mętnemi falami niesłychaną zbrodnię, Bocian wysłany na zwiady nad Noteć, wędrował przez bory i bagniska ze swymi towarzyszami. Bocian, który od młodości trudnił się jeno myśliwstwem i przeszpiegami, czy gdzie nieprzyjaciel do kraju nie wkracza, znał się dobrze na tem i wiedział jak chodzić, jak się skradać, jak ukrywać i gdzie czego szukać. Miał ze sobą sześciu dzielnych parobków, także trudniących się myśliwstwem i wyszukiwaniem barci po puszczach, zahartowanych na wszelkie niewygody i wiedzących jak po borach i wertepach chodzić. Wszyscy siedmiu pieszo szli, i ubrani byli w krótkie baranie kożuchy, w lipowe postoły i w kołpaki albo wilcze, albo niedźwiedzie lub też bobrowe. Na plecach mieli przewieszone kobiałki z trochą chleba i sera, kołczany pełne strzał, doskonałe łuki i krót-

kie za pasem toporki. Jeden tylko Bocian, który swemi długiemi nogami śmigał jak wiatrak, miał u boku piękny żelazny oszczep. Mieli też sidła, pęta, stryczki i niewody.

Tak zaopatrzeni i uzbrojeni puścili się w ową niebezpieczną podróż. Ponieważ Bocian był między nimi najstarszy i najdoświadczeńszy, więc słuchali go jak wojewody swego, choć on mało gadał, bo był zawsze chmurny i mrukliwy.

Dnie były ładne i słoneczne. Wielkie puszcze, które zaraz za Kruszwicą się poczynały, dochodziły do Noteci, przekraczały ją i ciągnęły się nieprzerwanem pasmem aż do Pomorskiej ziemi, na jesień czerwieniały już i lada wiatr strącał z drzew mnóstwo liści. Wielka też cisza i smutek leżał teraz w tych nieprzejrzanych borach. Ptactwo powoli wynosiło się do dalekich, ciepłych ziem, dziki zwierz nasycony obfitością pożywienia drzemał po jarach, i cisza była senna, tylko liście z szelestem spadały, tylko szumiały drzewa, tylko szedł od dębów do dębów, od świerków do świerków jakiś szept tajemny. Niekiedy z mokradeł, z bagnisk, których tu było mnóstwo, podróżni nasi spędzali mnostwo żórawi, które z żałosnym krzykiem wzbijały się w górę, pod blady, czysty jak łza błękit jesiennego nieba, by zniknąć wkrótce gdzieś w dali... Czasami, z głębi boru ozwał się głos kukułki i podawany przez drzewa, rozlegał się swym melancholijnym tonem daleko po lesie. Zresztą nic więcej nie przerywało poważnego milczenia

przedwiecznej puszczy. Rzadko bardzo, bystre oczy wędrowców lub bystrzejszy ich słuch, zachwycił krzyk białego orła, których wtedy tu była dość znaczna liczba, lub spostrzegł wiszącego na jesiennym błękicie polskiego nieba, niby naciągnięty łuk, lub plamka szara. Pewnego dnia znowu, wyszedłszy na obszerne bagniska spostrzegli gromadę bocianów, poważnie stojących na jednej nodze, klekoczących głośno i widocznie naradzających się nad przyszłym swym odlotem w ciepłe kraje. Na jeziorkach, stawach, po za gęstwiną nieprzebytej trzciny, widniały domki bobrów, wrzało znów inne, niemniej jednak senne życie. Gromady sokołów, rybołowów unosiło się nad wodami, spadało w nie jak strzała i zrywało się znów w górę, unosząc zwykle w dziobie jaką nieostrożną rybę, która wypłynęła na powierzchnią, by pogrzać się na jesiennem słońcu. Tu i owdzie brodziły po trzcinie wielkie czaple i żórawie, pływały kurki wodne, gromady szpaków obsiadały nadbrzeżne olchy, by za lada podejrzanym szelestem zrywać się ze świergotem głośnym ruchliwą chmurą i zapadać gdzieś w trzcinę. Wszystko to, to życie, te drzewa olbrzymie, całe wieki pomnące, ogłuszało, pochłaniało człowieka. Podróżni nasi szli borem jak senni jacyś, ogłuszeni, maleńcy wśród tego rojnego, skrzętnego życia, wśród tej natury będącej tu samowładną, niezależną panią.

Bocian zwykle idący na przedzie, z wielkim kosturem w ręku, wyciągający swe długie, cienkie

nogi, zgarbiony trochę, zawsze chmurny i milczący, prowadził ich środkiem boru, gdzie śladu drogi nie było, gdzie las zarośnięty był ogromnie, a bagnisk, rzeczułek i jeziorek mnóstwo. Wszyscy młodzi towarzysze Bociana nigdy w tej stronie puszczy nie byli, dla tego nie opuszczali ani na chwilę swego przewodnika, żeby nie pobłądzić. Bocian zaś szedł, jakby po ulicy w Kruszwicy; niekiedy tylko zatrzymywał się, oglądał drzewa, macał mech na nich, spoglądał na słońce na niebie, lub spostrzegłszy klucz gęsi odlatujących, bacznie badał kierunek ich lotu. Zresztą milczał i nie wdawał się w rozmowy z młodymi swymi towarzyszami. Czasami znowu kazał im wszystkim zatrzymywać się, chodził od drzewa do drzewa, pilnie oglądał jego korę i spostrzegłszy na któremkolwiek z nich głębokie nacięcie, jakby siekierą zadane, mruczał coś pod wielkiemi swemi wąsiskami i obracając się do parobków, gadał:

— Dobrze, chodźwa dalej!

Gdy noc się zbliżała, gdy słońce zaszło gdzieś za drzewa boru, jeno niebo na zachodzie gorzało jakby wielkim ogniem, gdy w boru mrok zapadać począł i szybko noc się zbliżała, wówczas Bocian wyszukiwał jakiego jaru, jakiegoś zacisznego kącika, kazał rozpalać wielkie ognie i na nocleg się rozkładać. Noce zwykle były zimne i niekiedy nad ranem przymrozki brały, więc tulono się do ognisk, których zawsze pilnował jeden z parobków, czuwając i zmieniając się co jakiś czas. Kiedy już

ognie porozpalano, wyszukano wody, którą w wielkich garnkach glinianych przystawiano do ognia i gotowano, drobiąc do niej chleba. Bocian leżąc na wznak na ziemi i patrząc w wielki namiot niebieski, który gdzieś wysoko, ponad najwyższemi drzewami puszczy się rozwijał, zasiany tysiącem gwiazd, stawał się rozmowniejszym. Gadał wówczas parobkom to i owo, a zawsze tylko o boru. Kiedy raz jeden z nich zapytał, dla czego nie idą zwykłym gościńcem jeno bokami, gdzie łacno zabłądzić mogą, Bocian odrzekł nieco markotno:

— Ty, smyku, stul gębę, kiedy nie wiesz. Zabłądzić w boru, w puszczy!... Już ty się nie bój, ja nie pobłądzę! I choćbym zabłądził, to co? Hej! hej! lepiej pono w puszczy żyć, słuchać jak cię do snu szum drzew kołysze niby śpiewka matuli, jak gwiazdy nocą mrugają do ciebie, a dniem słońce ci patrzy w oczy, niż tłuc się między ludźmi, gdzie jeno ucisk, zdrada i niecnota. Puszcza to jak dom, jak gród niezdobyty, jak druh najlepszy. Ona cię nie zdradzi!...

Czasami w drodze ubito jakiego ptaka lub zwierza, zająca, lisa lub sarnę, to wieczorem pieczono ją na ognisku i wieczerzę miano sutą. Zdarzało się, że w dziupli starego dębu lub świerku spotykano barć pszczolną, więc miód wybierano i raczono się nim wieczorem. Potem, gdy się nasycono, gdy naznoszono dostateczną ilość suchego chrustu, by było czem przez całą noc podtrzymywać ognie, kładziono się spać na trawie, lub na

liściach jesiennych, jak na bisiorze i purpurze, i nie uważając na nocny rozhowor boru, na ryk dzikiego zwierza, na posępne hukanie puszczyków, zasypiano spokojnie aż do świtu.

Tak wiódł Bocian swych towarzyszy przez trzy dni, a czwartego dnia, dobrze już ku południowi, bór się rozwidnił i ujrzano duże jezioro zarosłe gęsto sitowiem, ozłocone ślicznem jesiennem słońcem, pełne liści płynących po niem, które wiatr zrywając z drzew niósł aż tutaj. Z pośrodka trzciny chwiejącej się z głuchym szelestem swemi pierzastemi kiściami, wypływała na czyściejszą wodę czasem kaczka dzika, czasem czapla biała z czubem, czasem zwierz jakiś, bóbr albo wydra zamąciła wodę, błysnęła pod słońce grzbietem i znowu cisza... Wielkie czarne robaki ścigały się pod słońce, a ponad wodą unosiły się gromady orlików i mew, polujących na ryby. Jezioro dokoła otoczone było czarną puszczą, ale szła od niego, bystra i dość szeroka rzeczka, zagłębiająca się w bór.

— Tu staniemy, rzekł Bocian do swych towarzyszy — macie niewód to nałówcie ryb, bo jeziorko to jest bardzo rybne, jeno wrzawy nie róbcie i sprawiajcie się cicho. Ja zaraz wrócę.

To rzekłszy zawrócił w bok i zniknął wkrótce w gęstwinie wikliny i olch, rosnących na brzegach jeziorka.

— Hm! mruknął Bogusz, chłopak młody, wysoki, jak tyka cienki, o bystrych czarnych oczach;

hm! Bocian musiał coś zwąchać, kiedy sam udał się na zwiady, a nam każe się cicho zachowywać.

— Ba! odpowie na to Przemko, inny z towarzyszy Bociana, kusy, gruby, nabity jak pień, ale za to olbrzymiej siły i wielkiej zręczności, choć liczył zaledwie jakie dwadzieścia lat — ba! zawołał — widzi mi się, że jesteśmy niedaleko Noteci. Tak! tak! ja znam to jezioro, ja tu już byłem. Tu, gdzieś niedaleko mieszka sławny kmieć i pasiecznik Bożywój. Ma gródek gdzieś nad jeziorem, ale gdzie, to nie wiem, bo się jakoś nie mogę połapać.

— Więc Noteć blisko? spytał któryś inny.

— Tak mi się widzi, odrzekł Przemko—i dla tego to Bocian kazali nam być cicho. I wiedzą oni co czynią. Człek to mądry, dużo widział i nie z jednego pieca chleb jadł.

— To pewna.

— No, Bocian kazał nam ryby łowić, więc łówmy! zawołał Bogusz.

Rozebrało się więc kilku i rzuciło się do wody, płosząc stada kurek, do których inni z łuków strzelali, a psy, których mieli ze sobą trzech, skoczyły do wody dla wydobycia zabitych. Rozwinięto niewód i gdy go po niejakim czasie wydostano, to ryb w nim było aż czarno. Radość była wielka między drużyną, bo zapowiadało im to obfity obiad, zwłaszcza, że w ostatnim dniu przymarli trochę głodu, bo zwierzyny żadnej nie ubili, a chleba już mieli nie wiele.

Właśnie zajęci byli wszyscy wybieraniem ryb z niewodu, gdy nagle, gdzieś daleko, w głębi boru rozległo się głuche naszczekiwanie psów. Polot, jeden z psów, jakiego drużyna miała ze sobą, kundel ogromny i silny, położył mordę na ziemi i warczał głucho i gniewnie.

— A to co? spytał Przemko.

— Hm! czy ja wiem? mówisz, że tu jest niedaleko grodek Bożywoja, więc u niego psy tak szczekają, zoczywszy Bociana.

— Może i to być, ale czegoż Polot tak warczy?

— Bo głupi.

Istotnie psy ujadały na Bociana i Polot jeżeli warczał to dla tego, że mu się czemś nadzwyczajnem wydawał głos psiego rodu w puszczy. Bocian opuściwszy swoją drużynę, zagłębił się zaraz w gęste krzaki wikliny i olszyny, która bujnie rosła nad jeziorem, na mokrym i bagnistym gruncie. Ze zręcznością, jaką tylko nadaje znajomość boru i życie pełne niebezpieczeństw, Bocian przesuwał się prawie bez najmniejszego szelestu, wśród tej gęstej roślinności. Tak idąc przez jakiś czas wydostał się na pole, na którem rżysko było: dowód, że w pobliżu ludzie mieszkają. Zatrzymał się tutaj, i ze zręcznością wiewiórki wdrapał się na wysokie drzewo, stające tuż przy wykarczowanem polu. Z drzewa tego obszerny rozwijał się widok. I oto, co ujrzał Bocian:

W pobliżu jeziora, nad wgłębieniem jego, wchodzącem w ląd, na sztucznem usypisku z ziemi wznosił się niewielki gródek, dokoła gęstym częstokołem otoczony, z wysoką bramą, zrobioną z grubych bali dębowych. Z poza częstokołu widać było strzechy kilku zabudowań. Więc najprzód chaty, potem obory, stodoły, i dach mocnego spichrza, który stał na uboczu przy częstokole i tworzył rodzaj wieży. Wzniesiony był z ogromnych kłód drzewa dębowego i otwór miał bardzo wysoko od ziemi, tak, że doń dostać się tylko można było po drabinie. Koło śpichrza stał stóg siana. Na dziedzińcu całego tego otoczenia rozwijał się spokojny, sielski ruch. Jakaś niewiasta rozkładała na murawie na słońcu len i konopie, inna wieszała świeżo wyprane chusty na płocie, jeszcze inna doiła kozę. Niedaleko bramy, na szubienicy umyślnie urządzonej, wisiał ogromny dzik, z rozpłatanym brzuchem i dwóch parobków, w słomianych kapeluszach na głowie, w płóciennych koszulach i boso, zajętych było oprawianiem odyńca. Olbrzymi pies leżał na ziemi i łakomie przypatrywał się tej operacyi, chwytając rzucane mu od czasu do czasu ochłapy. Po podwórzu przechadzały się kury z kogutem na czele, kilka prosiąt ryło ziemię pod częstokołem, a od jeziora długim sznurem ciągnęły gęsi. Parę małych chłopiąt przewracało się i swawolilo po piasku. Na to wszystko jasne, jesienne słońce rzucało snopy światła jarzącego, oblewało złotem i strzechy ciemne, i białogłowy, i dzika

wiszącego i jasne główki chłopiąt. Gromady gołębi unosiły się w górę, rozsypywały po czystym błękicie nieba i osiadały znów na dachach lub częstokole.

Temu wszystkiemu, tej sielskiej ciszy i spokojowi przypatrywał się z drzewa dość długo Bocian, poczem zeszedł na ziemię, mówiąc:

— Wszystko jest dobrze.

Potem śmiało wystąpił na otwarte pole, na rżysko i skierował się ku chacie. Brama była na pół uchylona i widać było przez ten otwór mordę owego olbrzymiego psa i jego wielkie krwawe ślepie. Bocian szedł śmiało naprzód, a suche rżysko trząskało mu pod nogami.

Pies pierwszy go spostrzegł, zerwał się na równe nogi, wpatrzył uważnie w idącego i w jednym, gwałtownym skoku dopadł do bramy ujadając zawzięcie. Na ten głos parobcy z krwawemi nożami w rękach, rzucili dzika i wyjrzeli poza bramę, a spostrzegłszy idącego samotnie przez pole jakiegoś męża, gwałtownie i z trzaskiem bramę zamknęli.

Bocian szedł naprzód i słyszał, jaki powstał w gródku hałas, zmieszane głosy męzkie i kobiece i wołanie:

— Bożywoju! Bożywoju!

Właśnie gdy stanął Bocian pod okopiskiem z poza częstokoła wysunęła się głowa w kołpaku, głowa z brodą siwą.

— Bóg z wami, Bożywoju! rzekł Bocian.
— A! to wy, Bocianie?
— A ja! puśćcież mnie do gródka!
— Hej, Jarosław! wołał Bożywój, otwórz tam.
Z łoskotem uchyliła się brama i Bocian wszedł do wnętrza okopiska.

IX.

Gródek Bożywoja.

Bożywój był kmieć stary i szpakowaty mocno, ale trzymał się jeszcze krzepko i znać było, że jest silny jak tur. Powitał się szczerze z Bocianem i powiódł go zaraz do świetlicy. Bocian był tu znany i szanowany widać bardzo, bo parobcy kłaniali mu się do kolan, niewiasty także.

Gdy weszli do świetlicy, gdzie na kominie gorzał ogień i garnki przy nim stały, żona Bożywoja, Ofka imieniem, radośnie powitała gościa i starła fartuchem ławę, prosząc by usiadł.

— Ofko! rzekł Bożywój, przynieś no nam miodu, napijemy się ze starym przyjacielem Bocianem.

Ofka wyszła a Bożywój ozwał się:

— Zkądeś się tu wziął? czy polujesz w naszych stronach?

— Hm! mruknął Bocian, poluję ja, poluję, ale na innego zwierza.

— O? zadziwił się Bożywój — zkądże ci to przyszło? co to za zwierz?

— Wiecie o tem lepiej odemnie Bożywoju. Co wam gadać!

Bożywoj spojrzał bystro w oczy Bociana i po chwili zapytał:

— Czy nie o Myszach ty myślisz Bocianie?

— A może i o Myszach.

— Hm! zadumał się gospodarz — toć to widzę prawda, kiedy i ty o tem gadasz.

— Ja nic nie gadam. Jam zaszedł do ciebie, żeby się czegoś dowiedzieć.

— Aaa! ozwał się Bożywoj, a cóż ty chcesz odemnie wiedzieć?

— Ej! machnął ręką Bocian — co tu po próżnicy gadać? Słyszeliście co o Myszach?

— Hm! słyszeć co prawda nic nie słyszałem, ale był tu jeden znak, który mi dał dużo do myślenia.

— No? cóż to za znak?

— Czekajno... czekaj... nie od razu! powiedz ty najprzód, co wiesz?

— Co ja wiem! Trzy dni temu, przypadł do króla Popiela w Kruszwicy, goniec Mieszkowy z Gniewkowa i doniósł, że widziano na Noteci kuningę Myszów.

— Jedną?

— A jedną podobno!

— Aha! no, i co więcej?

— Mówił też, że wieści chodzą, jakoby ogromna moc kuming była na Wiśle.

— Hm! mruczał Bożywój zamyślony.

— Więc król Popiel, wysłał mię na zwiady, bo wie, że ja dobrze po puszczach chodzę, ile że nie dowierza Mieszkowi i boi się, czy on jakiej zdrady nie knuje. Dał mi sześciu parobków i chodzimy od trzech dni po puszczy.

— A gdzież są ci parobcy?

— Zostawiłem ich nad jeziorem, a sam na zwiady ku twemu gródkowi wyszedłem, bom się bał, czy Myszy cię nie wzięły.

— A dla czegóżby mnie miały zaraz wziąć?

— Ej! gadacie Bożywoju tak, jakbyście mleko mieli pod nosem a nie siwe wąsy i jakbyście nie widzieli nigdy Myszów i nie znali ich obyczaju. Jeżeli Myszy chcą pójść dalej na Gopło, toć koniecznie o was otrzeć się muszą, bo jeno tem jeziorem dopłynąć mogą do Kruszwicy.

— Ano tak! rzekł Bożywój — ale ja dotąd nic o Myszach nie słyszałem. Jesień co prawda już jest i pora to zwykła ich napaści. Ale dotąd nic nie słyszałem. Powiedże mi, a ty dowiedziałeś się co w puszczy?

— Nic... żadnego śladu... nie byli jeszcze w puszczy, i nie mogli być, kiedy u was cicho.

Weszła właśnie Ofka i postawiła dzban z miodem na stole. Tedy Bożywój nalał do dwóch kubków i trącił się z Bocianem.

— No, Bożywoju! rzekł Bocian obcierając rękawem od kożucha swe wielkie jak wiechcie wąsiska, powiedzcież mi teraz, jaki to znak macie, że Myszy są u nas?

— Czy Myszy są u nas, to nie wiem, ale będzie temu ze cztery dni woda przyniosła na brzeg i rzuciła w trzcinę kawał ułamanej strzały. Moje chłopaki polowali na wydry i znaleźli tę strzałę.

Mówił wolno, popijając miód i obcierając co chwila wąsy i brodę.

— I cóż ta strzała? pytał z ciekawością Bocian.

— Hm! wiesz dobrze Bocianie, że ja znam Myszów, byłem przecież u nich w niewoli przez trzy niedziele, gdym był jeszcze parobkiem, i znam ich obyczaje i ich uzbrojenie. Otóż ta strzała jest strzałą Myszy!

— A widzicie! a widzicie Bożywoju. To doniesienie Mieszka jest prawdziwe. Ale poczemże poznaliście, że to strzała Myszów?

Bożywój nie odpowiadając na to pytanie, obrócił się do żony, która kręciła się koło komina i doglądała garnków, rzekł:

— Ofka, poszukajno tej strzały.

Ofka poszła do komory i zaraz wróciła niosąc w ręku kawał drzewca strzały, złamanej we środku i pozbawionej żelezca, a za to opatrzonej u dołu w pióra mocno zbrudzone, zmięte i połamane.



Śmierć Zająca.

Bożywój wziął tę strzałę do ręki i pokazując ją Bocianowi, który aż powstał z ławy, żeby się lepiej przypatrzyć, rzekł:

— Spojrz Bocianie na te pióra. Ptaka, który ma takie pióra, u nas niema. Są to gęsi jakieś, które jeno w zamorskim Myszów kraju żyją. Gdym był w niewoli u tych zbójów, tom widział, jak na kumingach robili strzały, i zaopatrywali je w takie pióra, których całe worki wożą z za Wisły ze sobą. Tak! tak! dodał po chwili, Myszy są u nas i jeno ich patrzeć, jak na mnie spadną!

Ofka pod piecem westchnęła żałośliwie, a Bocian pilnie ogląda strzałę, a obejrzawszy kładąc ją na stole, rzekł:

— Cóż więc myślicie czynić Bożywoju?

— Ja nie myślę, ale czynię już... zbroję się, i będę się bronił do ostatka, a jak będzie źle ucieknę w puszczę. Albo mnie to puszcza nie obroni? He! he! znam ja takie jary, gdzie nikt z naszych, a cóż dopiero zamorski wróg nie trafi. Zresztą Myszy nie umieją chodzić po puszczach, jeno po wodach...

Napił się miodu, obtarł usta i prawił.

— Dwóch parobków pilnuje, ztąd dwie mile Noteci, a synaczkowie polują po boru, żeby było co jeść w czasie oblężenia. W nocy ubili odyńca, którego widziałeś, i mam już zwierzyny nasolonej dużo, ale trzeba więcej. Dziś niewiasty piec będą chleb, jeno się zboże w żarnach zmiele... Ho! ho!

dam ja sobie radę z Myszami. Znam ja ich, jak stary grosz czeski...

Gadał tak jeszcze długo, a potem odwrócił się do żony i spytał:

— Ofka, prędko będzie obiad?

— A niedługo.

— Zjesz z nami Bocianie, co Bóg dał, rzekł Bożywój, odpocznij sobie, a jutro idź dokąd chcesz na zwiady.

— Bóg wam zapłać Bożywoju, ale cóż ja zrobię z moją drużyną, co tam ryby łowi na jeziorze?

— A! a! a! mruknął Bożywój, dużo ich jest?

— Sześciu.

— Hm! a wierzysz że im? nie knują jakiej zdrady?

— Ale cóż też gadacie Bożywoju? Dobre chłopaki, jeno trochę głupie. Niby to myśliwi a kroku nie umieją zrobić po puszczy. Zwyczajnie młodzi, to i pstro we łbie.

— Hm! zamyślił się Bożywój i począł motać na palce swą długą brodę.

— Oni zkąd, z Kruszwicy? zapytał znowu.

— Z Kruszwicy.

— I ręczysz że za nich?

— Jak za siebie samego.

— No, to dobrze. Ofko każ zabić ze trzy gęsi i upiec je, bo to głodne być musi, chodzą po puszczy przez trzy dni. A ty Bocianie idź ich sprowadź tutaj, jeno mi powiedz, że u mnie czuj

duch, i że ja tu gospodarz. Kto mnie nie posłucha, to won z chaty!

— Oho! nie bójcie się — zaśmiał się Bocian — ja ich trzymam krótko. Kazałem im nałowić ryb, musieli ich tam na wieczór nabrać dużo, bo jezioro jest bardzo rybne.

— Tym lepiej, będą i ryby na obiad. No, idź Bocianie!

Wyprowadził go na podwórze i żegnał się z nim, gdy jeden z parobków oprawiających dzika zbliżył się i rzekł:

— Bożywoju, dym widać z puszczy.

— Gdzie?

— Ot tam! i wskazał ręką.

Bocian spojrzał i zawołał zaraz:

— A to moi palą ogień. Ha! smyki... dam ja im.

— A! a! a! ozwie się Bożywój — głupi są, strasznie głupi i nieostrożni. Kiedyś szedł od nich, powinni byli się domyśleć, że na zwiady i siedzieć cicho...

— Nakazałem im to! dam ja im!

No, niebezpieczeństwa niema, moi parobcy nad Notecią daliby znać, gdyby co było, ale trzeba twoim, Bocianie, uszów natrzeć, bo kpy są i głupi!... Dym w puszczy! to tak jakby kto wołał: tu jestem, chodźcie mnie brać!

Bocian motał wąsy i ruszył szybko odgrażając się. I miał czego się gniewać, gdyż dym dzięki cichej i ciepłej pogodzie jesiennej bił w gó-

rę wysoko, ponad najwyższe drzewa, jak olbrzymi słup czarny i musiał być z daleka widziany. Parobcy nałowiwszy ryb, których mnóstwo było, szczupaków, karpi, okoni, linów, węgorzów i płotek, rozpalili ognisko i piekli na węglach i jedli, bo byli wygłodzeni, nie myśląc nawet o tem, że bytność swoją w puszczy mogą tym sposobem zdradzić. Wielce więc byli zdziwieni, gdy nagle na nich wpadł z krzykiem Bocian:

— Ha psie syny! pasibrzuchy, obwiesie, hultaje! Kto wam pozwolił ogień rozpalić? Osły! osły ostatnie jesteście? Czy na to rozpaliliście ogień, żeby was dym zdradził i pokazał Myszom, gdzie siedzicie? Zaraz mi zgasić!

I sam skoczył i począł kijem i nogami rozrzucać ognisko i deptać je, nie przestając wymyślać.

— I oni na zwiady poszli! Sieczkę mają we łbach a nie mózg. Pokładać by was po kolei i rózgami siec. Barany jesteście, barany, a nie junaki. Dalej, zbierać się i w drogę!

W milczeniu, zawstydzeni mocno, parobcy pozbierali ryby, kobiałki swoje, kije, sajdaki i w jednej chwili byli gotowi do drogi. Bocian gniewnym wzrokiem rzucił na nich, choć zadowolony był, że milczeli i sforni byli, rzekł:

— Idziemy do gródka kmiecia Bożywoja. Zapowiadam wam, że to jest człek srogi i nic płazem nie przepuści. U niego obwiesić kogo na gałęzi, to jak orzech zgryzł. Teraz jest sroższy jeszcze, bo mieszka na skraju puszczy, niedaleko

Noteci, którą płyną Myszy. Jesteśmy więc jak na wojnie. Posłuch być musi, i biada temu, kto na gniew Bożywoja lub mój zasłuży! Pamiętajcie to sobie.

Wygłosiwszy taką przemowę zawrócił i poszedł przodem, a za nim junacy. Szli w milczeniu, rozmyślając nad słowami swego przewodnika gdy nagle, gdy się już wydostali z wikliny i weszli w las rzadki, dębami jeno i brzozami białemi porosły, zając wypadł z krzaków i przebiegł im drogę. Spostrzegł go Przemko, i jak był chłopak zręczny, w jednej chwili nasadził na łuk strzałę i cięciwę puścił. Strzała świsnęła i utkwiła we łbie zająca.

Biedny zwierz podskoczył parę razy i padł nieżywy. Przemko pobiegł po zdobycz, a Bogusz stojący najbliżej Bociana rzekł:

— Będzie nieszczęście!

— Hm! mruknął Bocian zatrzymując się i patrząc jak Przemko wziął za skoki zająca i wyciągał mu ostrożnie strzałę ze łba — hm! zkąd u biesa wziął się tu zając? Przez trzy dni brodzimy po puszczy i ani jednegośmy nie widzieli, a teraz nam drogę przebiegł! Tfu, na psa urok!

— Będzie nieszczęście Bocianie, powtórzył markotnie Bogusz — lepiej nie chodźmy do gródka Bożywoja, bo będzie bieda!

— Milczałbyś lepiej smyku! obuknął się Bocian — ciebie o radę się nikt nie pyta! i po-

szedł naprzód nie patrząc już na Przemka, który potrząsał zającem i cieszył się, że będzie pieczeń, i że skórki ciepłe postoły na zimę.

Już też wyszli na rżysko, zkąd widać było doskonale gródek Bożywoja. Sam gospodarz stał w otwartej bramie w kapeluszu słomianym i rękę przykładał do oczów od słońca i przypatrywał się Bocianowi i jego towarzyszom.

W gródku przyjęto ich gościnnie. Bożywój obejrzał wszystkich, gadał trochę o głupocie palenia ognia w puszczy w taki czas nieniebezpieczny i kazał odpocząć i rozgościć się, ile że obiad Ofka zaraz da. Dziewki wzięły od parobków ryby i zajęły się ich oprawieniem.

Wkrótce na podwórzu, bo w świetlicy byłoby zaciasno zastawiono na murawie misy z jedzeniem. Był tedy barszcz dobry na udzie dzika, gęsi pieczone, ryby smażone i piwo. Chleba też dano do syta. Najadłszy się dobrze, parobcy poszli spać na stóg siana, bo Bożywój im powiadał.

— Wywczasujcie się dziś dobrze, boście odbyli podróż daleką, a nie wiecie co was jutro czeka i czy spać będziecie mogli. Ja was w gródku długo trzymać nie mogę, bo byście mnie objedli do żywego, i nie na to was Popiel wysłał, żebyście u Bożywoja się wylegali. Jutro świtaniem pójdziecie sobie dalej, na Noteć.

Z Bocianem także gadał i radził mu, co ma czynić.

— Ty musisz przepłynąć za Noteć i z tamtej strony zwiady czynić. Myszy jak się dostaną na rzekę, to jeno patrzeć będą na tę stronę, a z tamtej bezpiecznie będzie można widzieć wszystko. No! no! pogadamy jeszcze o tem, a teraz idź spać Bocianie.

Ofka nasłała mu świeżego siana w komorze, i Bocian zmęczony trzechdniowem tłuczeniem się po puszczy zasnął twardo.

Obudziło go czyjeś gwałtowne szarpanie. Otworzył oczy i ujrzał stojącego nad sobą Bożywoja, z ogarkiem w ręku, bo ciemno już było w komorze i zapewne na dworze:

— Wstawaj Bocianie! wołał Bożywoj — wieści są, ale nie dobre. Wstawaj, wstawaj!

Bocian zerwał się na równe nogi, przetarł oczy i rzekł:

— Wieści są? jakie?

— Złe, zupełnie złe. Myszy już są na Noteci. Jeden z moich parobków przypadł dopiero co — drugi został na miejscu i szpieguje zbójów.

— Cóż teraz czynić?

— Trzeba żebyś zaraz ruszył nad Noteć i przypatrzył się dobrze Myszom i obliczył, wielu ich jest.

— Dobrze! zaraz idę. Jeno muszę pogadać z parobkiem.

— Chodź! wypytamy go się o wszystko. Chłopak jest przestraszony trochę więc trzeba z nim wolno.

Wyszli obaj z komory.

X.

Myszy.

Parobek, chłopak wysoki z włosami białemi jak konopie, ubrany jak wszyscy w kożuch, w niedźwiedzią wścieklicę, z łukiem i toporem, stał na dziedzińcu i opowiadał swym towarzyszom i niektórym z drużyny Bociana o Myszach. Bożywój, wyszedłszy na próg sieni, krzyknął na niego:

— Ziemku, sam tu do mnie!

Przyszedł Ziemko do świetlicy a Bocian zaraz go pyta:

— Widziałeś Myszy?

— Widziałem.

— Daleko ztąd?

— Będzie dobre trzy mile, w górę rzeki.

— Więc od Wisły idą?

— Tak, kmieciu. Widno przenoszą swe okręty, bo dotąd zaledwie dwa się ukazały.

— A dużo ich na okrętach?

— Po sześciu.

— Czy płyną ciągle?

— Nie; przybili przed nocą do brzegu i stanęli.

— Czy uzbrojeni?

— Ho! ho! i jak jeszcze! Jak żyję, takich rycerzy nie widziałem. Mają żelazne hełmy, pancerze na piersiach, wielkie łuki, tarcze co się świecą jak słońce nieprzymierzając, miecze, oszczepy, topory... Mężowie ogromni, zarośli, czerwonowłosi, a silni jak niedźwiedzie...

— Czyś ty piechotą tu przybył?

— Nie, na łodzi.

— A nie spostrzegli cię?

— Ej! zaśmiał się, albom to ja głupi, czy co?

— Dużą masz łódź?

— Trzech, czterech ludzi się zmieści.

— Dobrze, gotuj się do drogi.

— A! jam gotów... łódź czeka.

Gdy Ziemko wyszedł, a Bocian przypasywał miecz i kładł łuk na plecy, Bożywój go się spytał:

— Cóż myślisz czynić, Bocianie?

— Wezmę dwóch z pomiędzy moich junaków, popłyniemy jak najbliżej kumingi i przypatrzymy się dobrze zbójom, a jutro z powrotem do Kruszwicy.

— Aha! mruknął Bożywój, i nic już nie gadał, tylko zamyślony chodził po dziedzińcu.

Bocian tymczasem zawołał Bogusza i Przemka, którzy z włosami pełnemi siana, stali na podwórzu.

— Zabierajcie się! rzekł im — płyniemy!

Nic nie rzekli, tylko ścisnęli pasy na kożuchach, nadziali czapki i w milczeniu pociągnęli za swym przewodnikiem. Ziemko już na nich czekał, stojąc na łodzi, oparty na wiośle, nieruchomy, jakby posąg z kamienia wykuty. Łódź chwiała się na fali uderzającej z pluskiem o piaszczysty brzeg jeziora i ukryta była w trzcinie, w tem zagłębieniu, które jezioro tworzyło pod gródkiem Bożywoja. Była wązka, lekka i dostatecznie mogła pomieścić pięciu do sześciu ludzi. Bocian i jego towarzysze siedli do niej w milczeniu, a Ziemko splunął w dłonie i żwawo wziął się do wioseł. Noc już była zupełna, gdy wypłynęli na jezioro, noc ciemna, jesienna, chmurna, bez gwiazd, z czego Bocian cieszył się w duchu, bo nic nie mówił, jak zwykle. Pod wieczór zerwał się wiatr zachodni, co także było pożądanem, bo przez Noteć trzeba było płynąć pod wodę; wiatr więc, wiejąc w tył łodzi dodopomagał żegludze. Przytem gęsta mgła spadła na wody i miotana wiatrem rozwłóczyła się wielkiemi, mętnemi płachtami bardzo nizko, zasłaniając zupełnie nawet najbliższy widok. Wiatr między trzcinami świszczał i potrącając je o siebie wydawał głuchy łoskot i trzask; puszcza okalająca jezioro szumiała smutnie, głusząc odgłos, jaki wydawały wiosła silną ręką Ziemka poruszane. Jezioro bardzo szybko przepłynęli, gdyż wody tu miały nader powolny ruch, ale gdy się dostali na Noteć, Ziemko zażądał, żeby który z towarzyszy

Bociana dopomógł mu w wiosłowaniu. Bogusz wziął więc jedno wiosło i łódź jak strzała pruła wody Noteci. Rzeka nie była zbyt szeroka, i gęste trzciny rosnące po obu jej brzegach, wielkie olchy i wierzby zwieszające się nad nią, rzucały czarne, mocne cienie, które jeszcze bardziej przyczyniały się do tego, że łódź przemykała się niepostrzeżenie. Poza szumem wichru, trzaskiem sitowia, z puszczy dochodziły krzyki puszczyków i ponure ryczenie żubrów, które pod wieczór zbierały się w gromady, by podążyć do wody i ugasić w niej pragnienie. Kiedy, niekiedy spłoszony nagłem pojawieniem się łodzi, zrywał się z pośrodka trzciny jaki ptak i z krzykiem przenikliwym wzbijał się w górę. Wrony siadając na gałęziach olch i wierzb nadwodnych krakały rozgłośnie. Czasami znowu coś zaszeleściało w trzcinach, jakiś zwierz, wydra lub bóbr uciekał i drogę jego ucieczki znać było po gwałtownem chwianiu się kiści pierzastych sitowia. A noc była ciągle czarna, niebo chmurne i poza temi odgłosami, które brzmiały w przyrodzie, leżała w niej ponura, głucha cisza. Gdy Ziemko się zmęczył wiosłowaniem, siadł Przemko i tak się zmieniali ciągle, nawet Bocian nie wymówił się od tej ciężkiej i trudnej pracy. Koło północy wiatr rozegnał nieco chmury i ukazało się na ciemnym szafirze nieba kilka gwiazd samotnych. Mgły szare i mętne ciągle się włóczyły po rzece. Dotąd ciągle płynęli środkiem Noteci, gdy

nagle Ziemko rzekł do Bociana, który z nim razem wiosłował:

— Już niedaleko! Oddajcie mi wiosło a sami siądźcie do steru. Trzeba nam płynąć bardzo cicho i prawym brzegiem. Zaraz znajdziemy parobka co został na czatach, zwie się Borsuk. Kuminga Myszy stoi na przeciwnym brzegu, może z pięć stajani ztąd. Nakażcie parobkom, by pary z gęby nie puszczali, bo Myszy mają dobry słuch, a przy takiej mgle i na wodzie, głos idzie daleko.

— A jakże my w takiej ciemnicy odszukamy tego Borsuka?

— Ja zaraz krzyknę jak żóraw, a on ozwie się jak wilk.

— Jeno się nie zdradź!

— Ee! zaśmiał się Ziemko, a bo mi to pierwszyzna! Idźcie, kmieciu, do steru.

Bocian poszedł i po drodze nakazał swym dwom towarzyszom zachować się jak najciszej. Zaraz też łódź skierowała się w bok, pod same trzciny, rozległ się przeraźliwy, żałosny krzyk żórawia, który porwany przez wiatr, odbity przez mgłę i przez wodę poszedł daleko i kilkakrotnie powtórzony został przez olchy i wierzby nadbrzeżne, a potem przez puszczę.

Zrazu po tym krzyku była cisza i Bocian począł już być niespokojny, gdy oto, gdzieś niedaleko z nad brzegu, jednak z głębi puszczy zawyło wilczysko, a zawyło tak dobrze i tak głośno, że ponim inne wilki, już teraz prawdziwe wyć poczę-

ły i cała puszcza rozbrzmiała tem wcale nie pięknem i nie bardzo przyjemnem graniem.

Teraz Ziemko obrócił się i przykładając ręce w trąbkę złożone do ust, syknął:

— Ster na prawo!

Łódź skręciła i wolniutko wpłynęła między trzcinę, w jakąś drożynę utworzoną widać dawniej i wijącą się jak wąż. Bocian wiedział już czego się trzymać i kierował sterem tak, że bez najmniejszego zahaczenia się o łodygi trzciny dopłynięto do brzegu, przy którym dobrze ukryta w gąszczu i przywiązana łykiem do palika wbitego w ziemię, kołysała się druga, taka prawie sama, jak ta na której przypłynęli, łódka. Ziemko żwawo wyskoczył na ląd, łódź łykiem do tegoż palika przytwierdził, wdrapał się na czworakach na dość wysoki w tem miejscu i stromy brzeg, i zniknął gdzieś w gęstwinie i w ciemności.

Przez chwilę nic słychać nie było, jeno plusk fali liżącej brzeg, świst wiatru między trzciną, szum puszczy i ustające już wycie wilków, gdy nagle bystre oko Bociana dostrzegło na stromym brzegu dwa cienie, z których jeden z sunął się na dół. Był to Ziemko. Stanąwszy przy łodzi, z największą ostrożnością szepnął do ucha siedzącego najbliżej Bogusza.

— Szepnij tak samo do ucha Bocianowi i Przemkowi, by wyleźli jak najostrożniej z łodzi i poszli za mną. W puszczy pogadamy.

Wszyscy trzej więc wyszli z łodzi i na czwo-

rakach wdrapali się na stromy brzeg, gdzie siedział na ziemi i czekał już na nich Borsuk, otulony w kożuch, wielką niedźwiedzią czapę i dzwoniący mimo to zębami, bo noc była wietrzna i zimna. Uzbrojony był jak wszyscy w łuk i topór; u pasa wisiał mu pęk sznurów i rzemieni. Wstał i kładąc palce na ustach, poprowadził wszystkich o kilkanaście kroków od brzegu, w głąb puszczy i stając, rzekł:

— Tu możemy pogadać bezpiecznie, choć wilcy na nas ostrzą zęby.

Jakoż w czarnych, nieprzejrzanych ciemnościach puszczy błyszczały liczne świetlne punkciki, ruchliwe bardzo i ciągle się zbliżające. Bogusz, który nie mógł zapomnieć zająca, co mu dziś rano przebiegł drogę, na widok tych błyszczących wilczych oczów, czuł jak mu skóra na grzbiecie cierpnie. Stal jednak mężnie, trzymając ręką za toporzysko; gotów drogo sprzedać swe życie.

Tymczasem Bocian, nie zważając na wilków, zapytał się cicho Borsuka:

— Cóż Myszy?

— Jest ich już trzy okręty, bo ciągle przybywają nowe. Do świtu będzie ich ze sześć.

— Jakże się zachowują?

— Bardzo cicho i straż na każdym okręcie stoi.

— Czy światła palą?

— Nie.

— Ilu ludzi na każdej kumindze?

— Dotąd niewielu, po pięciu, sześciu. Na trzeciej, co najpóźniej przypłynęła, widzi mi się, że jest dziesięciu.

— Czy możesz nas podprowadzić tak blizko, byśmy owe okręty zobaczyli?

— Czemu nie? jeno zachowujcie się cicho i czyńcie to, co ja będę czynił.

— Dobrze, prowadź nas!

Borsuk ruszył naprzód, w kierunku ukośnym ku rzece, starając się stąpać jak najciszej. Wszyscy inni postępowali za nim gęsiego; Bogusz ostatni trwożliwie się oglądając na wilków, które w miarę oddalania się ludzi, także powoli naprzód się posuwały. Gdy się zbliżono do gęstwiny rosnącej na brzegu nad samą wodą, Borsuk położył się na ziemi i na czworakach, ostrożnie odsuwając gałęzie rękami, pełzać począł. Wszyscy to samo uczynili. Gdy wypadkiem raz, jakaś sucha gałęź trzasła pod naciskiem czyjejś ręki, Borsuk natychmiast zakrakał jak wrona. W ten sposób, wszyscy pięciu powoli i z niezmiernym trudem, podrapani przez gałęzie do krwi, wydostali się nad sam brzeg. Tu Borsuk się zatrzymał, ukląkł na obu kolanach, odgarnął rękami gałęzie, jakiegoś rozrosłego krzaka olszyny i wyjrzał, a po chwili skinął głową na Bociana by się zbliżył. Oto co ten ostatni ujrzał:

Wprost nich u przeciwnego brzegu Noteci, na rzut strzały, wznosił się ciemny kadłub kuningi, wyraźnie się rysujący na płowem tle wody.

Dwa wysokie maszty sterczały do góry, a na nich wisiały zwinięte białe żagle. W oddali nieco czerniała druga kuminga, trzecia zaś ginęła gdzieś w ciemnościach. Zresztą nie widać było, ani słychać na nich najmniejszego ruchu. Stały one czarne, nieme, ze swemi wysokiemi, krzywo zagiętemi dziobami u przodu, z masztami, które czasem szarpnięte mocno wiatrem, skrzypiały przeraźliwie. Przypłynęły one tak blizko brzegu, że stratowały i połamały trzcinę, tak, że z przodu ich i z tyłu przytykał tuż do nich gęsty las sitowia, które chwiało swe kiści i tłukło się o siebie głośno.

Bocian, przypatrzywszy się temu wszystkiemu dokładnie, położył się na brzuchu i począł równie ostrożnie i równie cicho jak przedtem, pełzać z powrotem. Za nim ruszyli i inni. Gdy dochodzili do ostatnich krzaków gęstwiny, nagle spostrzegli gromadę błyszczących ślepi wilczych, które aż dotąd pociągnęły za ludźmi. Bocian na ten widok zatrzymał się, ale Borsuk powstał nagle i zaryczał jak żubr.

Na ten straszny głos, wilki pierzchły na wszystkie strony, a rozgniewany Bogusz w jednej chwili nasadził strzałę na łuk i puścił ją za wilkami. Musiał widać trafić któregoś, bo rozległo się bolesne wycie.

Oswobodzeni od wilków, Bocian z towarzyszami poszedł w głąb puszczy i gdy się już tu znaleźli, rzekł:

— Chodźmy do łodzi i słuchajcie co wam po-

wiem. Ty Bogusz zostaniesz na jednej łodzi i wypłyniesz z nią na środek rzeki i będziesz tam na nas czekał. Wy zaś popłyniecie ze mną. Przemku masz twój stryczek?

— Mam.

— Przygotuj go sobie. Borsuku, powiedz mi, gdzie straż stoi na okręcie?

— Ona nie stoi, jeno ciągle chodzi po pokładzie.

— Dobrze, chodźmy!

Przez drogę, którą odbywano jak przedtem w największej cichości i z zachowywaniem wszelkich ostrożności, Bocian mówił do Przemka:

— Podpłyniemy brzegiem trzciny, ukryci w jej cieniu aż pod samą kumingę. Gdy się zbliżymy, zatrzymamy się, dopóki czatownik nie zjawi się u dzioba kumingi. Wtedy ty rzucisz twój stryczek, a mierz dobrze, byś schwycił strażnika za gardło. Zduś go silnie, żeby nie krzyczał, ściągnij ostrożnie na łódź, żeby nie wpadł w wodę, bo plusk by nas mógł zdradzić. Zrobisz to?

— Czemu nie, bylem go jeno dobrze widział, bo noc ciemna, choć oko wykol.

— Nie tak jednak ciemna, żebyś czatownika nie miał dojrzeć. Zresztą trudno, ognia ci rozpalać nie możemy. Tym lepiej, że ciemno, łacniej ujdziemy pogoni. Pilnuj się dobrze, przecież ci to nie nowina, chwytać ludzi na stryczki.

— Oczywiście, że nie nowina.

Przyszli już do łodzi i siedli do nich. Bogusz został sam, Ziemko wziął wiosła a Borsuk za ster, i cicho, jak widma jakieś tajemnicze wypłynęli na rzekę, i zaraz skierowali się ku przeciwnemu brzegowi, zkąd już zawrócili wprost do okrętu zamorskich najeźdźców.

XI.

Polowanie na ludzi.

Po północy, gdy mgły opadły zupełnie, a chmury na niebie się przerzedziły, wiatr ustał, i powoli nawet począł zmieniać swój kierunek. Z tem wszystkiem na rzece, zwłaszcza w pobliżu trzciny, która rzucała na wodę wielkie cienie, było bardzo ciemno, a do świtu, jak to mówił Bocian patrząc na gwiazdy, było jeszcze dość daleko. Ukryci więc w tej ciemności wysłańcy Popielowi płynęli wolno i cicho. Ziemek wiosłował a Borsuk za ster dzierżył. Przemko przyklęknął na przodzie łodzi, odwiązał od pasa swój długi i z konopnego sznura zrobiony i w liczne rzemienie zaopatrzony, stryczek. Jeden koniec owinął sobie kilkakrotnie około swej wielkiej, żalaznej rzec można ręki, i tak klęczał z okiem wytężonem. Za nim przysiadł na dnie łodzi Bocian mając łuk w ręku i strzałę na cięciwie, gotów w razie, gdyby Przem-

ko chybił, posłać czatownikowi normandzkiemu śmierć. Ziemko i Borsuk uwiadomieni o wszystkiem, wiedzieli co mają czynić.

W ten sposób przygotowani wszyscy czterej, z łatwo dającem się wytłomaczyć biciem serca, oczekiwali chwili stanowczej. A łódź posuwała się ciągle jak duch jaki i kadłub kumingi coraz wyraźniej się rysował. Wyłaniał się on z wody powoli, jak wielka, czarna góra, a maszty na nim skrzypiały żałośnie.

Nareszcie łódź stanęła. Ziemko wstrzymał ją tak gwałtownie i tak silnie, że drgnęła cała, a fala z głuchym pluskiem uderzyła o jej boki. Właśnie czatownik z włócznią na ramieniu zbliżył się do dzioba kumingi, i snać bystry jego słuch uchwycił ów niezwykły plusk wody, bo zatrzymał się, pochylił nad dziobem okrętu i patrzał w rzekę. W tejże chwili Przemko podniósł się na nogi, rozwinął swój stryczek i ze świstem spuścił go na głowę czatownika. Ten szarpnął się mocno i wyprostował, ale już stryczek ściągnięty potężną dłonią Przemka, ścisnął go tak silnie za gardło, że głosu żadnego wydać nie módł. Przemko pociągnął za sznur gwałtownie ku sobie; czatownik kilka razy rzucił rękami, jakby się chciał czego uchwycić, przyczem upuścił włócznię, która z głośnym brzękiem upadła na pokład. Teraz Bocian dopomógł Przemkowi. Pociągnęli obaj za sznur i czatownik z głuchem łoskotem runął mu pod nogi na dno

łodzi. Pancerz, jaki miał na sobie, zadźwięczał głośno, a Bocian już rozkazywał Ziemkowi:

— Zawracaj i uciekajmy!

Ziemko oparł się całem ciałem na wiosłach i pchnął łódź gwałtownie, która teraz z prądem rzeki popłynęła jak strzała. Czatowik, mąż olbrzymiego wzrostu i zapewne nie mniejszej siły, rzucał się w łodzi jak odyniec, tak, że ta parokrotnie się przechyliła i nabrało się w nią wody.

— Dalej, Przemku, związać tego zbója!

Nie mało się we dwóch z Bocianem napracowali nim ostatecznie jeńca związali. Zwolnili mu też nieco stryczek, bo się dusił i język mu wylazł na wierzch; żeby zaś nie krzyczał zakneblowali mu usta jak mogli najlepiej. Łódź tymczasem gnała jak szalona; przerznęła rzekę w poprzek i zaszyła się w trzcinę u przeciwnego brzegu, gdzie na nią oczekiwał mocno niespokojny Bogusz. Tu Bocian kazał Przemkowi przejść do łodzi Bogusza i płynąć za niem i mieć baczność na to, co się w tyle dzieje, czy Myszy czego nie przedsiębiorą. Dotąd, jak się zdawało, nie dawali żadnego znaku życia.

Tak się urządziwszy puścili się w drogę. Bocian mówił do Ziemka, żeby nie żałował rąk, to też przy pomocy prądu, który ich popychał, lecieli jak strzała. Z trzciny wypłynęli nieco na środek, aby łatwiej płynąć, gdyż trzcina bądź co bądź stawiała opór i wstrzymywała bieg łodzi. Bocian usiadł przy ciężko oddychającym zbóju, twarzą do kumingi i pilnie patrzał, czy na czarnym jej kad-

łubie jaki ruch się nie okaże. Lecz było cicho i spokojnie i cieszył się już w duszy, że mu się zuchwałe przedsięwzięcie tak dobrze udało, i że dostawi do Kruszwicy żywego Myszę, który będzie najlepszym dowodem, iż najezdnicy są już w kraju.

Nagle, zdało mu się, że na kumindze, od której coraz bardziej się oddalali i zacierały się już jej rysy w czarnościach nocy, zabłysło kilka maleńkich i niezmiernie ruchliwych światełek, które biegały tu i tam, kręciły się, podnosiły i opadały na dół:

— Oho! mruknął — spostrzegli się. Ziemku, nie żałuj rąk.

Ledwie to wyrzekł, gdy światełka owe zajaśniały żywiej i na wielkie zdziwienie Bociana, który nigdy nic podobnego nie widział, poczęły biedz ku nim z niezmierną szybkością. Nim się opatrzył i oprzytomniał, światełka te poczęły padać z sykiem w wodę przed łodziami, lub też zabłysły nad ich głowami jak ogoniaste gwiazdy, rozjaśniając sobą całą rzekę niby błyskawice, i powpadały za łodziami w wodę. Były to strzały, u końca których uwiązano pakuły smołą napojone, zapalono je i puszczono, dla rozjaśnienia ciemności i zobaczenia, w którą stronę rzeki łodzie uciekają.

— Do stu biesów! syknął Borsuk, zobaczyli nas, ani chybi. Uciekajmy co jeno sił starczy.

— Hej, Borsuk, rzekł Bocian — idź do wiosła, pomóż Ziemkowi, ja chwycę za ster.

Łódź pomknęła z taką szybkością, że wkrótce Bocian, oglądający się co jakiś czas na łódkę wiozącą Przemka i Bogusza, już jej nie dostrzegł.

— Ha! niech sobie radzą jak mogą! — pomyślał i nadsłuchiwał tylko, czy wiatr nie przyniesie mu od kuningi Myszów jakiego podejrzanego głosu. Ale wciąż panowała w naturze niczem niezamącona cisza. Jak dawniej woda pluskała o boki łodzi, puszcza szumiała, zwierz dziki porykał, i żórawie budzące się ze snu przed świtem, smutnym krzykiem swoim napełniały nadbrzeżne sitowia. Wietrzyk się zerwał i popychał łódź, gwiazdy na czystem teraz niebie coraz bardziej bladły, wróble i szpaki poczęły świergotać na przybrzeżnych olchach i świt się szybko robił. Na wschodzie, gdzieś za trzciną, za rozłożystemi konarami wielkich olch i pokrzywionych dziwacznie wierzb, za puszczą, niebo zajaśniało zrazu białym pasem, potem zarumieniło się jak dziewczyna, potem błyszczało złotem i purpurą. Słońce wschodziło. Cała puszcza zabrzmiała teraz tysiącem odgłosów budzącego się ze snu życia. Świergot ptastwa grał po boru jak chór jakiś wielki, nieskończony; żórawie i czaple zrywały się za zbliżeniem się łodzi i z krzykiem wzbijały się pod błękitniejący coraz bardziej błękit niebieski. Dzień się szybko bardzo robił; a choć zimno było, jak zwykle w jesieni o świcie, przecież obaj wiosłujący parobcy zdjęli aż kożuchy, tak byli zmęczeni i takie im było gorąco. Niemniej przeto nie przestawali szybko

i miarowo pracować i łódź ciągle mknęła jak strzała.

Gdy już dzień był zupełny, Bocian, który bacznie spoglądał za siebie, rzekł:

— Upłynęliśmy od kuningi ze trzy dobre mile; gródek Bożywoja, widzi mi się, musi być niedaleko. Przybijcie do brzegu i odpocznijcie sobie trochę. Ja wlezę oto na tę wielką olchę i zobaczę, czy łodzi z Przemkiem i Boguszem nie widać.

Jak rzekł, tak się stało. Dobili do brzegu i Bocian wdrapał się na wielką, rozłożystą olchę, której szczyt panował nad wszystkiemi drzewami w około. Chociaż stary już był, Bocian jednak z lekkością i zwinnością wiewiórki wdrapał się na szczyt drzewa i bacznie począł przeglądać okolicę. Ale nic podejrzanego nie dostrzegł. Na całej blisko milowej przestrzeni rzeki, nie widać było wcale kuningi, ale też nie widać było i łodzi z Boguszem i Przemkiem.

— Hm! mruczał Bocian schodząc z drzewa, czyby ich Myszy złapały? Szkodaby było chłopaków, zwłaszcza Przemka. Stryczek zarzucał jak nikt.

Wsiadł do łodzi i popłynięto dalej, chociaż już wolniej, bo śpieszyć się nie było czego, ile że jezioro i gródek Bożywoja był blizki. Teraz Bocian przy dniu przypatrzył się lepiej jeńcowi normandzkiemu. Był to mąż olbrzymiego wzrostu, rudowłosy, zarośnięty cały jak niedźwiedź. Dużemi, niebieskiemi oczami, poglądał dziko na Bocia-

na i mruczał coś niechętnie. Hełm, który mu zdjęto w nocy, był z bronzu i miał wyrzeźbione na sobie różne potworne zwierzęta, a wierzch jego zdobił łeb rysi z wyszczerzonemi zębami. Pancerz też był przedniej roboty, ze stali świecacej się jak ogień, i Bocian mówił sobie: będę się miał w co ubrać w Kruszwicy. Całą zbroję jeńca, złożoną z wielkiego łuku, kołczanu pełnego strzał, zaopatrzonych w pióra nieznanych ptaków, krótkiego, obosiecznego miecza, zabrał Bocian i przy blasku dziennym teraz starannie oglądał.

Tak płynąc dostano się wkrótce na jezioro i przybito przed gródek Bożywoja, który na powitanie sam wyszedł do bramy. Wielkie było podziwienie, gdy ujrzano jeńca, strasznego Myszę; nawet niewiasty wyszły na pódwórze i oglądały owego rycerza, obchodziły go dokoła i dotykały się rękami jego skórzanego kaftana, i dziwiono się i chwalono odwagę Bociana. Jeden tylko Bożywój chodził markotny i siwą brodę na palce motał, poczem wezwał Bociana, by mu opowiedział przygody tej nocy. Gdy ten ostatni uczynił zadość temu żądaniu, Beżywój pomyślał trochę i rzekł:

— Bardzo to junacki czyn, ani słowa, ale nieopatrzny i głupi.

— Głupi? oburzył się Bocian, a to czemu? W Kruszwicy nie bardzo chcą wierzyć, by Myszy nas napadały, otóż przywiozę im żywą Mysz.

— Ba, powiedział co wiedział! Co mi tam Kruszwica! tam król mieszka i ma dużo zbrojnego

ludu, to sobie krzywdy zrobić nie da. I wiele jeszcze wody upłynie, nim Myszy dojdą do Kruszwicy, a tymczasem mnie tu zjedzą. Sprowadziłeś mi ich, Bocianie na kark i jeno ich patrzeć...

— Hm! zastanowił się Bocian—może i wasza prawda, Bożywoju, a może i nie. Myszy płyną Notecią i zawsze by tu przypłynęli...

— Tak, ale byłbym gotów na danie im odporu, a teraz co? Jeść mam na kilka dni i głodem mnie wezmą, jeśli nie mocą. Dwóch moich synaczków niema w gródku, bo poszli z trzema parobkami w puszczę na dzikiego zwierza, i nie spodziewam się ich powrotu, aż chyba jutro. Jak mię dziś napadną, to będę miał do obrony jeno czterech parobków i starego Sochę, który jest już do niczego, jeno do pasania świń.

— No, nie jest to tak źle — odparł Bocian — najprzód wątpię ja bardzo, by dziś napadli albo jutro. Dopiero trzy kumingi są na Noteci, nie rychło więc inne z Wisły przeniosą, i upłynie kilka dni, nim to nastąpi. Trzema zaś kumingami, na których jest, jak gadał Borsuk, jakichś dwudziestu ludzi, na gródek się nie rzucą.

— Ale?... a gdzież twoi parobcy?

— Płyną za nami, bośmy ich zostawili w tyle.

— Prędko tu będą?

— Czy ja wiem? w nocy nam zginęli z oczów.

— I nic o nich nie wiesz?

— A nie wiem.

— Hm! zamyślił się Bożywój i dodał — widzi mi się, że ich więcej nie obaczymy. No, a ty co ze sobą i z owym Myszą myślisz czynić?

— Ano... podrapał się po głowie Bocian — odpoczniemy sobie przez dzień u was, Bożywoju, a nocką z jeńcem ruszymy do Kruszwicy.

— Ha! odpoczywajcie sobie z Bogiem. Pójdę ja teraz do onego jeńca i wypytam go się, boć ja to znam ich mowę. Nauczyłem się trochę, kiedym by u nich w niewoli.

— Prawda! zawołał Bocian—zabaczyłem, że wy, Bożywoju znacie mowę Myszy. A wypytajcież go się, wypytajcie. Najlepiej on was o wszystkiem zawiadomi.

— Tak, jeżeli będzie chciał gadać.

To rzekłszy Bożywój, a za nim Bocian, wyszli na podwórze, kędy jeniec siedział na kamieniu, rozkneblowany już i wolne mając ręce, jeno nogi związane, i jadł chleb z serem, który mu dała Ofka. Otaczali go do koła parobcy i przypatrywali mu się ciekawie, a on jadł i łyskał na nich ślepiami z podełba. Bożywój, przyszedłszy, usiadł przy nim i milczał jakiś czas, a potem przemówił zamorską mową. Jeniec, usłyszawszy to, zdziwił się wielce i począł coś gadać i tak już gadali długo. Gdy Bożywój wstał i poszedł do świetlicy, pociągnął za nim i Bocian.

— No cóż? zapytał, cóż Mysza gada?

— Hm! co gada? źle gada! mruknął niechętnie Bożywój.

— Ale przecie cóż?

— To, że się nie ostoimy teraz przed Myszami. Jest ich czterdzieści kuming, a na każdej po dziesięciu a czasem i więcej rycerzy. Wojewodą ich jest wielki król, co się zwie Hengist, a co znaczy po naszemu źrebiec. W ich kraju były wielkie wojny, i mnóstwo ich musiało uciekać. Jedni poszli do innych, dalekich krajów. jeszcze inni hen, gdzieś tam na Ruś, a ci do nas... Bieda będzie, ot i wszystko. Powiada ten zbój, że jego bracia pomszczą się srodze za niego. Myślę już, czyby nie lepiej było, póki czas, zabrać wszystko i ruszyć w puszczę, ale cóż? kiedy i to się teraz na nic nie zda. To lisy a nie Myszy. Oni po śladach mię znajdą i zjedzą. Bieda i koniec!

— Mnie się widzi, siedźcie Bożywoju w gródku, dopóki można. Poczekajcie jeszcze przez dziś. Ja zostanę tu z moimi do wieczora, a potem zobaczymy.

— Ha! zobaczymy!

Bocian poszedł na stóg siana, ułożył się tam wygodnie i zmęczony całonocną bezsennością i trudami, zasnął wkrótce snem kamiennym.

XII.

Napad na gródek.

Bocian obudził się, gdy już padał szary mrok. Słońce zaszło, tylko na zachodzie czerwieniło się niebo, a z jeziora wznosiły się białe mgły. Wstał, przeciągnął się i zsunął się ze stogu na ziemię. Pierwszą osobą, jaką spotkał zajętą ostrzeniem toporu na osełce, był Ziemko.

— O! wyspaliście się dobrze Bocianie? zapytał wesoło Ziemko.

— A wyspałem się, co słychać?

— Nic, choć Bożywój jest bardzo niespokojny.

— Czego?

— Czy ja tam wiem, boi się by Myszy nie napadły na gródek.

— A cóż? Bogusz i Przemek wrócili?

— Nie.

— Nie?... patrzajże! coś im się musiało stać!

— A może...

— Hm! szkoda by ich było. Przemek to dzielny chłop i junak nie lada.

Stał przez chwilę zamyślony, potem zawołał:

— Komu w drogę to i czas. Do Kruszwicy trzeba ruszać z powrotem.

— Jakże to? nie będziecie czekali na swych parobków? spytał zdziwiony nieco Ziemek.

— Oczywiście, że nie. Ja mam nakaz króla Popiela i śpieszyć się muszę. Zresztą choćbym i czekał, to cóż ja im pomogę?

— Hm! widzi mi się, że was Bożywój nie puści. Boi on się napadu Myszy a w gródku oprócz waszych jest jeno czterech junaków.

— To i synowie Bożywoja nie wrócili jeszcze?

— A nie!

Mruknął coś pod nosem Bocian i poszedł dalej. Napotkawszy swoich czterech parobków, kazał im się mieć do drogi i wziąć ze sobą jeńca, bo go muszą żywcem dostawić do Kruszwicy. Wydawszy takie rozkazy skierował się ku chacie, gdzie w świetlicy zastał Bożywoja jak w kołczan wkładał strzały.

— Przyszedłem was pożegnać Bożywoju! rzekł Bocian—muszę wracać do Kruszwicy.

— Już?

— A już. Jeńca też wezmę ze sobą, żeby król Popiel wiedział, iż naprawdę Myszy idą.

— Hm! król Popiel!... mruknął Bożywój. Co mię tam król Popiel obchodzi!

— No! bądźcie zdrowi Bożywoju!

— Czekajno, czekaj! Sprowadziłeś mi biedę na kark i idziesz sobie precz. Z kimże ja tu zostanę w gródku, jak mię Myszy napadną?

— A cóż ja na to poradzę? odparł niechętnie Bocian, nie przyszedłem tu przecież z moimi junakami bronić waszego gródka.

— Ale mi Myszy na kark sprowadziłeś!

— Tfu! do licha! splunął z gniewem Bocian — gadacie tak Bożywoju, jakbyście byli dzieckiem. Jakże ja wam to sprowadziłem Myszy? Najprzód ich nie ma jeszcze i nie będą tak prędko, boć wprzódy moi dwaj junacy Bogusz i Przemko by wrócili...

— A jak nie wrócą?

— Dla czego by nie mieli wrócić? Kumingi Myszów to nie łodzie i dognać ich tak łatwo nie mogli. Ja jestem pewny, że obaj się gdzie ukryli w puszczy i mają na oku zbójów, żeby w razie potrzeby dać znać. To są łebskie chłopaki, osobliwie Przemek.

— Wszystko mi tam jedno, jacy oni są, czy wrócą czy nie wrócą. To tylko wiem, że sam jestem w wielkiem niebezpieczeństwie przez ciebie. Myszy dla wyratowania swego wszystko uczynią. Po prostu zwaliłeś mi ich na kark.

— Wiecznie jedno i to samo gadacie Bożywoju, jakbyście nie wiedzieli, że Myszy koniecznie koło waszego gródka płynąć muszą...

— Tak, ale miałbym jeszcze kilka dni swobodnych i przygotowałbym się na ich przyjęcie, jak się patrzy. A teraz co uczynię, jeśli mię zaraz napadną, a że napadną, to głowę gotówem dać. Znam ja ich! I czemże się obronię? Synaczków nie ma, czterech junaków nie ma... widzisz, coś mi narobił!

— Cóż więc chcecie Bożywoju?

— Chcę byś ostał z twoimi, choć do jutra rana. Noc jest najgorsza. Jeżeli przejdzie spokojnie, to świtaniem możecie sobie odejść do Kruszwicy, ale nie teraz, bo byście mię na jatki wystawili.

— Dobrze, niech i tak będzie! Żebyście nie gadali, żem was wystawił na niebezpieczeństwo, ostanę, ale jeno do rana.

— Ja też nic więcej nie chcę. No!... napij się czego Bocianie, bo głodny być musisz. Spałeś jeno cały dzień a nic nie jadłeś.

— A zjadłbym co.

Zawołał więc Bożywój Ofki, a ta przyniosła misę zsiadłego mleka i krajankę chleba. Zabrał się Bocian do jedzenia, a Bożywój gadał, jak się bronić myśli, gdyby go Myszy nocą napadły. Na kominie gorzał wielki ogień i w świetlicy było ciepło. Gdy tak sobie siedzą i gadają, a na dworze już zrobiło się zupełnie prawie ciemno, nagle wchodzi stary Socha i powiada:

— Bożywoju, jakieś osobliwsze stworzenie wylazło z trzciny w jeziorze, i idzie ku gródkowi.

— Co za stworzenie?

— Czy ja wiem, bies czy pies!... a może upiór, czy ja wiem!

— Oszalałeś stary!

— A nie, nie oszalałem. Wszyscy parobcy widzieli, jak wyłaziło z szuwarów i jak szło pod górę. Teraz już musi być pod samym częstokołem.

Bożywój już nic nie rzekł, jeno porwał za oszczep i tak wybiegł z świetlicy, a za nim Bocian. Od strony jeziora przy częstokole słychać było gwar jakiś. Gdy podbiegli bliżej z poza częstokołu rozległ się donośny, gniewny głos:

— Puśćcież mię do stu czartów, bom głodny i zziębnięty, i wieści też niosę!

— To głos Przemka! zawołał Bocian i skoczył na częstokół.

Tu, o ile można było widzieć przy niepewnych blaskach mroku stał jakiś człowiek czarny, owalany błotem, ciekący wodą, skulony.

— Czy to ty Przemku?

— A oczywiście że ja. Mówię tym osłom, żem Przemek, a oni nie chcą uwierzyć. Każcie mnie puścić Bocianie, bo już ledwie żyję i ważne mam dla was wieści.

Puszczono go tedy do środka i dopiero obaczono, jak strasznie wyglądał. Był bez czapki, a wielka jego, kędzierzawa czupryna cała była mokra i pełno miał we włosach błota, liści trzcinowych i zielsk jakichś. Kożuch był podarty,

mokry, unurzany w błocie, pobryzgany krwią. Łuku i kołczanu wcale nie miał, jeno topór zasadzony za rzemienny pas. Nogi były gołe, bez postołów, poranione i pokrwawione szkaradnie. Cały dygotał od zimna.

— Zaprowadźcie mnie do ognia, gadał, i dajcie co ciepłego zjeść, bo inaczej to pomrę.

Gdy się dopiero znalazł przy sutym ogniu, gorejącem na kominie w świetlicy, gdy mu Ofka dała ciepłego barszczu, chleba i kawałek wieprzowego mięsa, gdy to zjadł, napił się miodu i zrzucił ze siebie przemokły kożuch a natomiast wdział suchą świtkę Bożywoja, dopiero odżył.

— No, teraz gadaj, co się z tobą działo! zawołał Bocian—a najprzód powiedz, gdzie jest Bogusz?

— Oho! machnął ręką Przemko. Bogusza boginki już wzięły, a ryby i raki nadjadły.

— Jakto, nie żyje?

— A nie żyje!

— Patrzajcież! załamał ręce Bocian — zając mu przeszedł przez drogę i gadał on ciągle, że go nieszczęście spotka i spotkało... Biedny junak! Ale gadaj no, gdzie i jak go zabili?

— Zabili go na łodzi. Jak zaczęli puszczać owe strzały zapalone, wtedy właśnie Bogusz popchnął trochę łódkę na środek i Myszy go widać spostrzegli, gdyż obsypali nas strzałami, jak gradem. Mnie jeno czapkę zerwali, rękę skaleczyli, na ramieniu skórę zdarli, ale Bogusza uśmiercili.

Jedna strzała przeszła mu przez gardło na wylot i zaraz padł na dno łodzi a krew mu z ust buchała, jak ze studni. Wiosło jedno wpadło w wodę i poszło z prądem, a łódź szła, jak ją woda niosła. Bogusz żył jeszcze trochę, chrapał, chrapał i skonał. Kiedy ja siedzę koło niego i myślę, jak mu tu dopomódz, słyszę szum, coś czarnego nad głową mi mignęło, łódka zadrżała, przewróciła się i wpadłem w wodę...

— I cóż to było? zapytał Bocian.

— Kuminga Myszów, co nas goniła. Dopadła łodzi, a że ciemno było, więc jej nie widzieli, dopiero, jak usłyszeli trzask i plusk, zatrzymali się i dalejże szukać. Ale ja już byłem w trzcinie i zanurzyłem się pod wodę. Szukali, szukali długo, aż łódź znaleźli i moją czapkę. Ja wylazłem z wody i lądem już szedłem. Alem był przemoczony, rany mi dolegały, bo krew szła ciągle, i głodny. Ledwiem się dziś nad wieczorem dobił do jeziora.

Napił się nieco miodu i mówił dalej:

— Kiedy stoję na tamtym brzegu i przemyśliwam, jakby przedostać się na tę stronę, ile że prąd w tem miejscu jest silny, a jam już ledwie żył, coś mi się na rzece między krzakami mignęło białego. Patrzę, patrzę, a to żagiel kumingi Myszów...

Na te słowa porwał się na równo nogi Bożywój:

— Więc Myszy są już tutaj?...

— A, są.

— I dopiero teraz gadasz o tem? bodajże cię bies porwał, trutniu jakiś!

I nie słuchając tłomaczenia się zdziwionego tem wszystkiem nieco Przemka, począł gorączkowo przypasywać oszczep do boku.

W tejże chwili, wśród ciszy, jaką między zebranymi w świetlicy wywołał gniew Bożywoja, rozległy się szybkie kroki kogoś biegnącego przez podwórze, potem przez sień, nakoniec drzwi się z trzaskiem rozwarły na oścież i w nich ukazał się przerażony, chwytając silnie piersiami powietrze, jeden z junaków:

— Bożywoju! wołał — Bożywoju! jeden... dwa... trzy... okręty Myszów!

— Gdzie? — krzyknął gromkim głosem Bożywój.

— Na... na... jeziorze!

Gdyby piorun trzasł między zebranych, nie zrobiłby większego wrażenia. Wszyscy porwali się na równe nogi i chwytali za broń. Przemko w jednym skoku zerwał łuk i kołczan ze strzałami ze ściany, i nie czekając na nic wypadł tak gwałtownie do sieni, że przewrócił stojącego tam ciągle parobka. Bocian skręcił do świetlicy, krzycząc:

— Gdzie mój miecz? gdzie mój miecz?

Bożywój nadziawszy na głowę żelazny hełm, porwał wielką tarczę, wybiegł na podwórze, wołając:

— Do broni! do broni! na częstokół, wszyscy na częstokół!

Na podwórzu nie mniejsze panowało zamięszanie. Parobcy zbroili się na gwałt i biegli ku częstokołowi od strony jeziora. Kobiety i dzieci powypadały z chaty na dziedziniec i płacząc a zawodząc pytały każdego, co się stało? gdzie są Myszy? co one mają czynić? gdzie się schronić?

Bożywój dopadł częstokołu i spojrzał z poza niego na jezioro. Noc była chłodna i wiatr szedł od wschodu, jasna, księżycowa. Niebo czyste, bezchmurne i wygwiażdżone. Przy blasku miesiąca, którego promienia padając na lekko pomarszczone fale jeziora, tworzyły pas światła, niby drogę srebrnemi nabijaną ćwiekami, widać było trzy czarne kadłuby okrętów normandzkich jak wolno. z wydętemi przez wiatr żaglami, płynęły ku brzegowi w kierunku gródka Bożywojowego. Na kumingach nie widać było żadnego światła i nie słychać było żadnego głosu. Posuwały się one wolno, jak widma, i jedynie przy pomocy żagli. Cisza była wielka, tylko między trzciną wiatr szeleściał, puszcza szumiała lub brzmiała porykiem dzikiego zwierza, a czasem jakaś fala pluснęła o boki kumingi.

Bożywój stał jak skamieniały patrząc na to. nic nie mówiąc, a w jego wielkim hełmie, światło smiesiąca odbijało się jak w zwierciadle. Koło niego kupili się wszyscy parobcy i w milczeniu, z pewnem przerażeniem w oczach, spoglądali na posuwające się kumingi. Przemko tylko przykląkł na ziemi i obwiązywał strzały pakułami maczanemi

w smole. Ofka i dziewki służebne zbiegły się także do palisady i zawodziły rozpaczliwie. Nakoniec zjawił się Bocian. Na głowie miał swą bobrową czapkę, wielki łuk i tarczę skórzaną na plecach, a przy boku miecz. Przyszedł, popatrzył na kumingi i rzekł głosem spokojnym i pewnym:

— Mamy jeszcze trochę czasu. Nim opłyną szuwary i podejdą tak, by mogli wylądować, możemy się przygotować. Trzy jeno są kumingi, na nich nie może być więcej Myszów jak trzydziestu, nas jest dwunastu... nie damy się! Dalej, Bożywoju, każ niewiastom powłazić na strzechy z konewkami z wodą, i Socha niech z niemi tam idzie... Ci zbóje, zaraz będą słać zapalone strzały, nie trzeba dopuścić, żeby się chaty zapaliły. Ty Przemku i ty Bolku idźcie na wieżę i mierzcie ztamtąd dobrze. Jeden z parobków do bramy niech idzie i ma oko na wszystko, a my zostaniemy tutaj i jak się zbliżą do lądu i poczną wysiadać, poślijmy im kilkanaście strzał. Nie damy się! o nie!

Słowa Bociana ożywiły wszystkich. Kobiety pobiegły po konewki ze starym Sochą i wkrótce siedziały już na dachach, gotowe do zalewania ognia, gdyby się gdzie pokazał. Przemko z drugim junakiem wlazł na wieżę, a reszta ustawiła się za ostrokołem...

Wkrótce cisza zaległa gródek, taka cisza, że słychać było nieomal bicie serca obrońców. Jak przedtem tak i teraz wiatr szeleścial między trzci-

nami, bór szumiał, księżyc oblewał srebrnym, spokojnym blaskiem wszystko, a kumingi wolno, poważnie zbliżały się, ze swymi wydętymi żaglami, jak olbrzymie jakieś potwory...

XIII.

Walka.

Przemko z drugim jeszcze parobkiem, zwanym Sobek, weszli na wieżę, która, jak już wiemy była właściwie śpichrzem, zbudowanym z wielkich bali dębowych i wejść do niej można było tylko po drabinie. Na dole mieściło się ziarno, na górze zaś urządzone były strzelnice. W razie gdyby gródek był wzięty przez nieprzyjaciela, ta wieża dla obrońców stanowiła ostatnie schronisko, tem ważniejsze, że prowadził z niej podziemny loszek w głąb puszczy, którym w ostatecznym razie, można było uciec przed wrogiem.

Przemko usadowił się przy jednej ze strzelnic, zkąd widok roztwierał się na jezioro i pilnie śledził ruch okrętów normandzkich. Zbliżały się one ciągle do lądu wolno i spokojnie. Na ich pokładach nie można było dostrzedz najmniejszego ruchu i najmniejszego światła. Okrążywszy pas trzciny wpłynęły w przystań i nagle na dziesięć

może kroków od lądu stanęły. Od gródka oddalone teraz były na dobry rzut strzały.

Przemko, który wciąż siedział przy strzelnicy, odwrócił się do Sobka i rzekł:

— Skrzesz-no ognia, Sobek!

W tej chwili do ciemnej izby wpadł błyskawiczny, czerwony blask i Przemko żwawo spojrzał w strzelnicę. Z okrętów wylatuje jak wąż ognisty jedna za drugą zapalona strzała, z sykiem przebiega po niebie i albo gaśnie w locie, albo pada w środek gródka. Jedna nawet uderzyła o wieżę, zgasła i spadła na murawę. W odzew na to z gródka rozległ się donośny głos Bociana:

— Do proc! kamieniami ich poczęstować! Naciągnąć kuszę!

Bożywój miał istotnie wielką kuszę do rzucania dużych kamieni. Przyciągnięto ją pod częstokół, nabito kilkunastu wielkiemi głazami, i na rozk z Bociana sypnął się grad kamieni na kumingi. Słychać było jak padały na pokład z głuchym trzaskiem, jak z pluskiem topiły się w wodzie jeziora. Przy blasku miesiąca widać było, jak pod tymi ciosami kumingi się zakołysały, jak poręcze koło pokładu łamały się.

— Jeszcze! jeszcze! powtarzał swym gromkim, grubym głosem Bocian.

Kamienie wciąż się sypały. Tymczasem w wieży Sobek skrzesał ognia i zapalił na kominie naręcze chrustu. Przemko jednę ze swoich strzał owiniętych pakułami i nasyconych smołą

zapalił, nasadził na cięciwę, wymierzył i puścił na kumingę. Strzała z sykiem, jak ognista gwiazda przeleciała powietrze i uwięzgła w jednym z żagli najbliższego okrętu. W jednej chwili żagiel się zajął i buchnął wielkim płomieniem. Płomień ten darł się coraz wyżej, lizał maszt swemi czerwonemi językami i oświecił jak w dzień, cały pokład kumingi, dwa sąsiednie okręty i jezioro.

— Dawaj ognia! wołał Przemko, nasadzając na cięciwę drugą strzałę.

Sobek śmiejąc się z radości, że taki skutek miał pocisk Przemka, porwał gorejącą gałęź chrustu i przytknął ogień do strzały. Przemko naciągnął silnie cięciwę i puścił. Strzała z sykiem padła na drugą kumingę, na pokład, gdzie Myszy w swych żelaznych hełmach i pancerzach kręcili się jak w ukropie — i zgasła. Na kumingach rozlegały się krzyki, szybko one zawracały, a na tej, na której żagiel gorzał, rąbano siekierami maszt, który się już od żagla zajął. Z gródka tymczasem sypały się strzały i kamienie, dzwoniąc po hełmach i pancerzach Myszy. Przy blasku ognia widziano, jak paru padło na pokład ciężko ranieni, jak jednemu wielki kamień z kuszy rzucony spłaszczył na głowie hełm i samego rycerza powalił, niby podcięte drzewo, na pokład. Z poza częstokołu rozlegały się radosne okrzyki zwycięztwa.

Tymczasem grzmiały potężne uderzenia toporów w gorejący maszt, który chwiał się, chwiał,

aż nakoniec runął w wodę i zgasł. Po oślepiającym blasku zrobiło się ciemno jak w grobie.

— Ciskać kamienie i strzały nieustannie! — wołał Bocian. Więc dudniły głazy po kumingach i pluskały po wodzie. Od czasu do czasu wielka kusza ze zgrzytem i hukiem wyrzucała rój kamieni, pod uderzeniami których trzeszczały wiązania okrętów. Przemko też nie przestawał słać swych gorejących strzał. Ale już teraz nic zrobić nie mógł. Kumingi przywitane tak groźnie zawróciły szybko, zwinęły swe żagle i przy pomocy wioseł uciekały na środek jeziora. Wkrótce żaden pocisk dosięgnąć ich nie mógł. Wypłynąwszy daleko zatrzymały się i stanęły nieruchomie.

Po wrzawie, jaka panowała przed chwilą grzmiąc tysiącznem echem po puszczy, zaległo teraz poważne milczenie, jasnej, księżycowej nocy jesiennej. Wiatr tylko jak dawniej szeleściał wśród trzciny nadbrzeżnej i z puszczy dochodziło dalekie ryczenie zwierza.

Przemko nie mając co robić na wieży, zostawił tam Sobka, by pilne dawał baczenie na czerniejące na środku jeziora kumingi, a sam zeszedł na dół, żeby dowiedzieć się co starszyzna myśli teraz czynić. Powitano go okrzykami i jemu przypisywano i słusznie, zwycięztwo, jakie odniesiono nad Myszami.

Bocian gadał:

— Nie cieszcie się jeszcze, nie cieszcie! To dopiero początek. Prawda, że Przemko dzielnie

się spisał, zapaliwszy żagiel na kumindze i przez to Myszy zmusił do ucieczki, ale to nie koniec. Nie uciekli oni zresztą. Stanęli na środku jeziora i czekają na resztę okrętów. Obaczycie ich tu jutro nie trzy, ani też nie cztery, ale z dziesięć i wtedy dopiero będzie gorąco.

— To też ja radzę, ozwał się na to Bożywój, by siadłszy wszyscy jak tu jesteśmy na łodzie, wstępnym bojem, z oszczepami i toporami w rękach uderzyć na te trzy komingi. Jeżeli Myszy pobijemy i okręta ich weźmiemy mocą, to taki popłoch rzucimy na wszystkich tych zbójów, że nie ośmielą się z nami zadzierać. Znam ja ich dobrze i wiem co o nich trzymać.

— Hm! odrzekł na to Bocian, rada by była dobra, gdyby nas było trochę więcej, a nie dwunastu tylko. Jakkolwiek kilku zbójów padło, przecież są jeszcze od nas dwa razy silniejsi. A przytem, maszże Bożywoju tyle łodzi?

— Mam cztery.

— To nawet za dużo, najwyżej w trzech łodziach moglibyśmy uderzyć. Ale to jest niemożliwe i stanowczo odradzam taki krok.

— Cóż więc czynić? zapytał Bożywój. Jeno patrzeć, jak więcej okrętów przybędzie. Damyż im wtedy radę?

— Może i damy, jak Bóg pozwoli. Ich będzie jutro rano więcej, ale i nas także. Wasi synowie, Bożywoju, powrócą może z puszczy z parobkami,

i będzie nas wtedy ośmnastu. W osiemnastu gródek ten można obronić. Napad na kumingi jest bardzo niebezpieczny. Myszy są waleczni i dobrze uzbrojeni, lepiej jak my i gdy przyjdzie do boju ręcznego łacno nas pokonają i wtedy wszystko przepadło.

Bożywój uznał słuszność tego twierdzenia i zamiar swój porzucił. Rozstawiono straże na częstokole, Sobkowi nakazano wielką czujność na wieży i starsi pociągnęli do świetlicy, by sobie odpocząć nieco i przygotować się do jutrzejszego boju, który sobie obiecywano gorącym. Bocian nakazał poustawiać do okoła ogrodzenia stosy kamieni, by je mieć pod ręką nazajutrz.

Tak upłynęła noc. O świcie samym, ledwie niebo zaróżowiło się na wschodzie, gdy u wejścia do jeziora ukazał się cały szereg białych żagli, które majestatycznie i wolno wpływały na jezioro. Wszystko, co żyło w gródku, ruszyło do częstokołu patrzeć na to widowisko, które w Bożywoju wzbudzało prawdziwy przestrach. Poczęto liczyć kumingi i naliczono ich dwadzieścia, czyli, gdyby w każdej było tylko po dziesięciu rycerzy, toby ich było dwustu. Na jednym z okrętów, pomalowanym na czerwono i zielono, z dziobem w kształcie łabędzia, wiatr miotał wielką czarną chorągwią. na której wyszyty, czy też wymalowany był jakiś zwierz straszny ze skrzydłami.

— Tam jest wojewoda Myszy! rzekł Bożywój

i dodał: nie ostaniemy przed ich mocą. Straszna ich liczba, a jakie zbroje!

Jakoż pod wschodzące słońce, które z pośrodka mętnej mgły wyłaniało się krwawo, błyszczały wielkie hełmy normandzkich rycerzy, ustrojone w pióra pawie lub też w pióropusze z różnobarwnych paciorków, pancerze lśkniące jak roztopione srebro, ogromne tarcze z bronzu, na których pomalowane były orły, lwy, smoki, jaszczurki i Bóg wie jakie potwory. Ich wysokie włócznie zapalały na swych ostrzach błyskawiczne blaski, krótkie oszczepy świeciły zdala. Na ramionach mieli pozarzucane albo białe płaszcze, lub skóry niedźwiedzie i rysie, na których zawieszone były kołczany i olbrzymie łuki, które przy strzelaniu opierali jednym końcem o ziemię. Straszny to był widok i duch w załodze gródka upadł. Jeden tylko Bocian był jak zawsze spokojny i wydawał rozkazy do obrony.

— Nasypać w kuszę kamieni! wołał—Przemko na wieżę! Niewiasty i Socha na strzechy! Mokremi płótnami okryć wszystkie dachy, jeżeli macie tyle płótna. Gródek jest mocny i nie damy się. Dalej, Bożywoju, każ wytoczyć beczkę miodu, byśmy mieli się czem krzepić w czasie boju.

Tymczasem kumingi normandzkie powoli wszystkie wypłynęły na środek jeziora i rozwinęły żagle. Kilka łodzi maleńkich, na których siedziało po dwóch ludzi, przebiegało od jednej do drugiej ,

zapewne roznosząc rozkazy. Na przodach, przy dziobach okrętów stało po kilku rycerzy i przypatrywało się pilnie gródkowi, w którym poważna. niczem niezamącona panowała cisza. Gromady mew i innego ptastwa z krzykiem unosiły się nad okrętami, siadały na ich masztach i napełniły wrzawą budzący się poranek dnia. Na lądzie za to, koło gródka, biegały wrony, kracząc szkaradnie, co w przesądnych obrońcach wzbudziło smutne przeczucia. Ranek był chłodny i wietrzny. Słońce leniwie się wznosiło i powoli rozpędzało mgły szare, jesienne. Psy w gródku wyły jak najęte.

Nagle z kumingi wojewodzińskiej rozległ się chrapliwy odgłos rogu raz, drugi i trzeci, i wszystkie okręty skręciły w bok, nadstawiając swe żagle północno-wschodniemu wiatrowi, i niezmiernie szybko, popychane przez tenże wiatr, poczęły płynąć w głąb jeziora, ku jego połączeniu z innemi wodami, wiodącemi do Gopła, i omijając gródek Bożywoja.

— A to co znaczy? zawołał Bocian, patrząc jak jeden okręt za drugim mija ich spokojnie. Czyby się namyślili i dali nam pokój?

— Nie widzi mi się, rzekł na to głucho Bożywój — Myszy tak łacno nie opuszczają zdobyczy, zwłaszcza, jeżeli czują, że mogą się obłowić. W żywność przytem nie obfitują. Widziałem, że jeno chleb suchy i czarny jedli, a domyślają się, że u mnie w gródku dość musi być zapasów. Boję

się, czy oni czego niebezpiecznego dla nas nie knują.

— Cóżby zaś knuć mieli? i gdzież tu co knuć można? Postępowanie jest proste, jeżeli chcą na nas napaść. Zbliżyć się do gródka, wysiąść na ląd i wziąć nas mocą. Co tu knuć?

— Powiedział, co wiedział! oburknął się na to Bożywój, nie spuszczając ani na chwilę z oka płynących kuming. Zbliżyć się do gródka! Najprzód taka ilość kuming, nie może odrazu zbliżyć się do nas, bo przystań jest wązka, ledwie trzy okręty się w niej zmieszczą. I wiedzą oni dobrze, że z tej strony nie łacno się zbliżyć, i można się narazić na takie powitanie jak wczoraj... Oto co jest.

— Hm! może i macie słuszność, Bożywoju, odrzekł Bocian. To też mnie się widzi, że poczuwszy naszą rękę nie chcą się poraz drugi na coś podobnego narażać. Cóż, że nas wezmą? Stracą więcej ludzi, niż cały gródek wart. I czem się obłowią? kilkunastu baranami, kilku wołami, garścią zboża i kilkudziesięciu beczkami miodu! Cóż to dla nich znaczy? Ja myślę, że oni całkiem ominą nas i popłyną dalej do Kruszwicy. W powrocie z pewnością was, Bożywoju, zaczepią i sprobują wziąć, ale nie teraz.

— Oby Światowid dał, żeby tak było, ale wątpię ja bardzo. Znam ja Myszy. Zbójecki to naród, ale mądry. Sam słyszałem od jednego starego Myszynga, że u nich jest takie prawidło,

żeby nigdy za sobą nie zostawiać choćby najmniejszego nieprzyjaciela. Nie zostawią oni nas tak, nie!

Tymczasem okręty normandzkie przepłynęły szybko koło gródka, w takiej jednak odległości, że ich strzały i pociski dosięgnąć nie mogły. Przez jakiś czas posuwały się ciągle naprzód, gdy nagle wśród ciszy poranku rozległ się znowu chrapliwy odgłos rogu po trzykroć, powtarzany przez puszczę tysiąckrotnie. Na dźwięk tego głosu wszystkie kumingi skręciły w bok i wprost ku lądowi popłynęły wązką szyją, jaka była w tem miejscu, w odległości sześciu dobrych stajani od gródka. W szyi tej Bożywój zwykle ryby łowił, dla tego całkiem była wolna od trzciny, a że woda daleko w głąb lądu zachodziła i w końcu była bardzo płytką, więc bydło tu pojono i konie. W tę szyję kumingi po dwie w rzędzie wpłynęły i zatrzymały się. Potem, na odgłos rogu, Myszy poczęli wsiadać do łódek, wielu w bród szło i wylądowywać. Odbywało się to wolno, ale ciągle.

— Widzisz! zawołał do Bociana Bożywój, spoglądając na swego towarzysza wzrokiem, w którym straszna obawa się malowała. Widzisz! nie omyliłem się, wylądowują. Nie chcieli nas ztąd brać, bo tu niebezpiecznie, więc zdala wyjdą na ląd i od lądu na nas uderzą.

— Ha! powitamy ich, jak należy! odparł na to Bocian i rozkazał, by wszyscy obrońcy sku-

pili się na częstokole od tej strony, od której Myszy przyjdą, gdzieindziej jeno rozstawiwszy straże.

W milczeniu wypełniono ten rozkaz i z rękami na cięciwach łuków oczekiwano na wroga.

XIV.

Obrona Bożywojowego grodu.

Tymczasem rycerze normandzcy powoli wyładowywali i kilkunastu z nich, zaopatrzonych w swe ogromne łuki, w pancerzach i tarczach na lewej ręce, posunęło się ku gródkowi i kryjąc się za drzewa, krzaki poczęło ciskać strzały. Strzały te jednak zasłoniętym częstokołem obrońcom nie przynosiły żadnej szkody. Przebiegały one ze świstem albo górą i padały na środek podwórka, lub też więzły w słupach częstokoła. Bocian, który w obec przestraszonego mocno i na pół nieprzytomnego Bożywoja, objął dowództwo nad gródkiem, nie kazał wcale odpowiadać na te zaczepki napastników.

— Szkoda strzał, mówił—zachowajmy je na ważniejszą chwilę.

Gdy jednak Myszy coraz więcej przybywało i pociski ich poczęły iść gęściej, tak że w końcu zranili ciężko starego Sochę, który wlazł na dach poprawiając na nim mokre szmaty,

Bocian rozkazał strzelać i rzucać kamieniami z proc. Rozpoczęła się więc wzajemna strzelanina, a tak celna, że biada temu, kto się choć na chwilę odsłonił. Bocianowi, który dla lepszego przypatrzenia się wychylił trochę głowę nad częstokół, strzała normandzka zerwała czapkę z głowy, a kilku zbójów cofnęło się już wstecz i opatrywało sobie w krzakach rany.

Gdy nakoniec Myszy już wszyscy wylądowali, wtedy dopiero pokazało się, jaka jest ich wielka siła. Na zżętem polu podle gródka roiło się aż od nich a wszyscy byli w wielkich hełmach, w pancerzach i z tarczami. Zjawił się też ich wojewoda w złocistym hełmie, na szczycie którego chwiało się pióropusze z różnobarwnych paciorków, w pancerzu w karpią łuskę, z tarczą na lewem ramieniu, ze skórą rysią i z toporem w ręku. Był on olbrzymiego wzrostu, a jego jasna, ryża broda połyskiwała pod słońce jak ogień. Głos miał tak silny i donośny, że gdy wydawał rozkazy, pomimo wrzawy boju, świstu strzał, słychać go było aż w gródku. Przez ramię przewieszony miał wielki róg bawoli, na którym czasem grał i dawał przez to znaki, które rycerze jego zaraz rozumieli i wykonywali. Wojewoda ów był tak odważny, że pomimo mnóstwa pocisków przerzynających pole, on w wielkich czerwonych butach biegał na wszystkie strony, połyskując swym toporem. Napróżno junacy z gródka brali go na cel, napróżno sam Bo-

cian po dwakroć naciągnął łuk, strzały go chybiały zupełnie.

— Czary czy co?—mruczał Bocian—tfu! na psa urok. Przemko, który aż wargi gryzł z gniewu. także kilkakrotnie mierzył do wojewody normandzkiego i zawsze chybił. Raz tylko strzała uwięzgła w pstrym pióropuszu z paciorków na hełmie i tak została, na co wojewoda zresztą wcale nie zważał, jeno biegał dalej z tą strzałą u hełma. Obok niego skakał naszczekując głośno olbrzymi pies czarny, którego, przesądni obrońcy gródka, w obec tego, że wojewody strzały się nie imały, brali za samego biesa.

Tymczasem wojewoda podzielił swe wojsko na trzy hufy, z których każdy liczył po kilkudziesięciu ludzi i ustawił je z trzech stron gródka, tak, że ten był do koła otoczony, oprócz jednej strony od jeziora. Ale tam stały kumingi normandzkie i baczną na wszystko zwracały uwagę. Słońce weszło już zupełnie i złocistym swym blaskiem oświecało to groźne i straszne widowisko. Z boru, dochodził niczem niezamącony, poważny, zawsze jednostajny szum puszczy, i od czasu do czasu, we wrzawę bojową wpadał głos kukułki...

Gdy już wszystkie hufy zajęły swoje miejsca, wojewoda normandzki stanął pod wielką gruszą. która wznosiła się samotnie na polu, ubrana cała w jesienną purpurę swych liści, i zadął w róg. Na to hasło, które zabrzmiało złowieszczo po polu i odbiło się tysiącznym odgłosem w puszczy. hufy

poruszyły się, ukazało się wśród nich mnóstwo ogni i rój strzał zapalonych, jak osy sypnęły się na gródek. Leciały one niby potok ognia, iskrząc się i pryskając ogniem do koła. Wiele z nich zgasło w locie, wiele padło na środek podwórza i tu zdeptane przez kobiety zostały, ale też bardzo wiele utkwiło w częstokole, w drewnianej wieży i w płótnach pokrywających strzechy. Wprawdzie częstokół i drewniana wieża, mokre od mgły jesiennej nie zapaliły się, strzecha pokryta mokremi szmatami, dzielnie wytrzymała ten napad ognia, ale stóg siana niczem nieosłoniony zapalił się i wkrótce buchnęły z niego kłęby czarnego, duszącego dymu. O ratunku nie było czasu myśleć i nie było kim ratować. Bocian zmuszony był całą załogę gródka, za przykładem napastników podzielić na trzy części, żeby wszędzie stawić czoło, a w każdej z tych części było zaledwie po pięciu lub sześciu ludzi. Czemże tu ratować gorejący stóg siana? Jednakże nie tracił odwagi. Krzyknął na kobiety gromkim głosem, by rozrzuciły palący się bróg i ugasiły ogień. Zadanie to jednak było bardzo trudne, choćby dla tego, że Myszy nie przestawali zasypywać gródka palącemi się strzałami. Bróg ugaszono, choć parę dziewek przytem poparzonych zostało, a jedna nawet padła z przeszytą piersią, ale natomiast zapaliła się główna brama i strzecha na stodole. W jednej chwili wysuszona słoma buchnęła płomieniem

mieniem, a kłęby czarnego dymu wzbiły się w górę słupem.

— Zginęliśmy! szepnął Bocian, i wołał na kobiety, by ratowały strzechę.

Ofka rzuciła się na czele dwóch jeszcze zdrowych dziewek z kubłami wody i rozpoczęła straszny, nierówny bój z wszystko niszczącym żywiołem. Tymczasem na polu rozległ się znowu donośny głos rogu i na to hasło, z dzikim okrzykiem, z oszczepami, mieczami i toporami w rękach, wszystkie trzy hufy rzuciły się biegiem ku gródkowi. Od ich okrzyku zagrzmiała cała puszcza, mnóstwo żórawi i gęsi dzikich z przeraźliwym wrzaskiem zerwało się z szuwarów jeziora, a tumany pyłu z pod nóg kilkudziesięciu ludzi wzbiły się w górę i mętną, brudną płachtą przesłoniły słońce. Biegli oni w swych hełmach błyszczących jak roztopione srebro, zasłonięci tarczami, na których świeciły gwiazdy, orły i potwory jakieś skrzydlate, potrząsając mieczami i toporami o wężowych, migotliwych błyskach. Straszno było patrzeć na ten potok ludzi, rwący naprzód z niepowstrzymaną siłą.

Ale Bocian nie stracił przytomności. Skoczył na częstokół, dzierżąc w ręku topór i krzyknął głosem, który zapanował po nad wrzawą Myszy:

— Do łuków i do proc. Naciągnąć kuszę!

Z poza częstokołu zaświstało kilkadziesiąt strzał, które więzgły w tej kupie biegnących naprzód Myszy. Tu i owdzie który z napastników

padł, wielu jednak przyjmowało strzały na tarcze, a po ich pancerzach strzały tylko dzwoniły i po większej części odbijały się. Kamienie rzucane z proc lepiej skutkowały. Kilku Myszów padło uderzonych w hełmy lub w piersi; a gdy nakoniec z wielkiej kuszy umieszczonej w pobliżu bramy sypnął się rój ogromnych głazów i runął w tę gromadę ludzi, rozpryśli się oni jak stado spłoszonych owiec i zostawiając kilku zabitych lub ranionych, pierzchli. Zabiegł im wprawdzie drogę ich wojewoda w towarzystwie swego nieodstępnego psa i krzycząc a potrząsając toporem zatrzymał, ale bądź co bądź jeden huf Myszów, od strony bramy został odparty.

Bocian teraz krzyknął:

— Niech dwóch tu zostanie i bacznie patrzy, reszta za mną!

To rzekłszy pobiegł na pomoc swym towarzyszom, którzy z dwoma pozostałemi hufami Myszy mieli do czynienia. Pomimo, że junacy wyrzucili ile tylko mogli strzał i kamieni, Myszy dobiegły do częstokołu i rąbiąc go siekierami wdzierać się nań poczęli. Walka teraz zmieniła się w ręczną. Załoga mężne stawiła czoło, zwłaszcza gdy nadbiegł ze swymi Bocian. Przemko z maczugą nabijaną ostremi krzemieniami, stanął na częstokole i walił nią po hełmach normandzkich — a gdzie uderzył tam hełm pryskał, a z nim czasem mózg. Ziemek wyrwał skądś wielki młot kowalski, i bia-

da temu, kogo on dosięgnął. Hełm i głowa zmiażdżone padały na ziemię, jak snopy podcięte. Bociana topór jeno migał się na słońcu i wiązgł zawsze w ciele ludzkiem. Słychać było tylko krótkie okrzyki, ciężkie oddechy, przekleństwa, jęki, głuche uderzenia, brzęk toporów i mieczy...

Ale i Myszy walczyli mężnie. Już trzech obrońców gródka padło z rozpłatanemi głowami, bardzo wiele było ranionych, zwłaszcza, nie mieli oni na głowach ani żelaznych hełmów, ani pancerzy na piersiach, jeno białe świtki słowiańskie... Częstokół tu i owdzie został wyrąbany, a wielu Myszy wdrapało się już na jego wierzch i siadłszy jak na koniu, oszczepami sobie rum czyniło. Na jednego z takich rycerzy ktoś rzucił wielki kamień, i strącił go na dół, ale inni jak pszczoły leźli naprzód i drapali się jak koty. Ręce omdlewały i obrońców było coraz mniej. Bożywoj, który w ostatniej chwili odzyskał dawne swe męztwo, w swym żelaznym hełmie na głowie, z toporem w ręku, rzucał się na wszystkie strony, rąbał jak drwa Myszy, ale w końcu uderzony oszczepem przez ramię, padł zlany krwią. Na dobitkę, huf normandzki od strony głównej bramy poprawił się i znowu rzucił się naprzód. Nadbiegł tu wprawdzie Bocian, naciągnął wielką kuszę, wyrzucił mnóstwo kamieni, ale te w większej części przeleciały nad głowami napastników, rażąc nie wielu. Dopadli oni do bramy z wojewodą swym na czele i poczęli ją rąbać. A stodoła i chata gorzała już zupełnie, obję-

te wielkim płomieniem. Owce, bydło i kury powybiegały na podwórze i rykiem swym a beczeniem jeszcze większe zamięszanie powodowały. Napróżno Ofka przypadła do bramy i wylała cały kubeł wrzącej wody na oblegających, parząc ich ciężko, napróżno czyniono nadludzkie wysilenia, Myszy wdarli się ze wszystkich stron do gródka, mordując obrońców. Widząc to Bocian, cały zlany krwią, zebrał jeszcze pięciu zdrowych junaków. a między nimi Przemka, i osłaniając się długim mieczem i tarczą, zdobytą na jakimś napastniku, cofał się wolno, krzycząc:

— Do wieży! do wieży!

Ledwo jednak dwóm junakom, oraz Bocianowi i Przemkowi udało się schronić do wieży. Podnieśli szybko drabinę, na którą już w pogoni za nimi Myszy włazili, i zamknęli się tam na chwilę bezpieczni. Wieża, jakeśmy to już rzekli, zbudowana była z ogromnych bali dębowych i nie łatwą była do wzięcia, a nawet do spalenia. Miał więc nadzieję Bocian, że we czterech potrafią się w niej długo bronić, byle mieli czem i zarazem co jeść.

Wszedłszy do środka górnej izby, Bocian zmęczony usiadł na ziemi, oparł się plecami o ścianę i odetchnął ciężko. Przemko przyczaił sie koło okna i nakładał strzałę na łuk, który on sam jeden potrafił zachować.

— Przemku, spytał Bocian, dużo masz jeszcze strzał?

Przemko spojrzał w kołczan i pobladł. Tylko trzy strzały w nim jeszcze tkwiły.

— Przepadliśmy! mruknął Bocian—nie mamy się czem bronić.

Tymczasem dwaj junacy szperając po wieży znaleźli w niej trochę kamieni i te poczęli rzucać na oblegających, którzy przystawili drabinę do wieży i wdzierać się po niej poczęli. Przemko wystrzelał swe trzy strzały i blady, okryty potem. oparł się o ścianę i patrzał martwym, szklistym okiem na podwórze, gdzie Myszy gospodarowali, dobijali ranionych, mordowali bydło i niszczyli wszystko. Bocian wciąż siedział na ziemi i myślał. Dwaj junacy bronili uparcie wieży i nakoniec udało im się zepchnąć drabinę, która padła na ziemię, ze wszystkimi na niej będącymi napastnikami. Przemko odzyskawszy powoli siły, wlazł jeszcze wyżej na górę i znalazł tam pęk strzał, którymi począł znowu szpikować Myszy. Musiał widać dobrze mierzyć, bo za każdym jego pociskiem rozlegały się okrzyki wściekłości, i napastnicy w odwet poczęli taki rój strzał rzucać w okienka, że niepodobna było do nich się zbliżyć. Jednemu nawet junakowi strzała zdarła skórę z głowy i zalała mu oczy krwią.

Tymczasem Bocian po długim namyśle powstał i poszedł do Przemka:

— Słuchaj, Przemku, rzekł, my tu się nie obronimy. Choćby nas mocą nie wzięli, to głodem wezmą. W wieży, okrom zboża na dnie, niema nic więcej. Trzeba się ztąd koniecznie wydostać.

— Ba! dobrze to powiedzieć, ale jak się wydostać? Powietrzem przecież jak ptaki nie ulecimy?

— Tak, ale widzisz, z takich wież zawsze loszki prowadzą za gród. I tu musi być taki loch. Nawet Bożywój mówił mi coś o tem. Chodźmy na dół.

— Ale, mój Bocianie, jak my będziemy szukali loszku, to tymczasem któż będzie bronił wieży? Weź sobie rannego junaka i szukaj, a ja będę miał baczenie na zbójów...

Bocian zgodził się na to i poszedł na dół. Nie długo potrzebował szukać. Ledwie z junakiem odgarnęli nieco zboża, gdy ujrzeli wielki kamień, a gdy ten odsunęli, ukazał im się czarny otwór, prowadzący w głąb. Dali zaraz znać pozostałym na górze i wszyscy czterej spuścili się do lochu, który napowrót zamknęli owym kamieniem. Zrobiło się ciemno. Skrzesali więc ognia i zapalili kilka łuczyw, które znaleźli na górze i przy ich migotliwym świetle puścili się w drogę. Ogarnęła ich tutaj po niedawnej wrzawie zupełna cisza. Najmniejszy odgłos tu nie dochodził. Loch był wilgotny i woda kapała w nim kroplami, zimny, ale na tyle obszerny, że po dwóch rzędem iść mogli. Szli dość długo, gdy nakoniec ujrzeli w dali

małe światełko. Było to wyjście do puszczy, zarosłe krzakami cierni i zawalone wielkimi głazami. Wydostawszy się z lochu, znaleźli się w puszczy, wolni, ocaleni, ale za to zmęczeni straszliwie.

XV.

Złowróżbne wieści.

Podczas gdy się to wszystko działo w gródku Bożywojowym, w Kruszwicy, we dworcu króla Popiela panował ponury smutek. Wieść o potruciu i potopieniu stryjów rozeszła się po całej Kruszwicy, a ztąd dalej i wszędzie wywołała oburzenie i grozę. Ale Hilderyka umiała i temu zapobiedz. Kilku kmieci, którzy głośno wypowiadali swe oburzenie kazała powiesić na środku Kruszwicy, co taki postrach rzuciło, że wszyscy siedzieli cicho i nikt pisnąć nie śmiał. Ale chociaż teraz już żadne niebezpieczeństwo nie groziło panowaniu Popiela, to przecież wewnątrz dworca miasto uczt dawniejszych był tylko smutek posępny. Sam Popiel chodził po świetlicy ponury i dziki i na żonę był taki gniewny, że kiedy raz coś mu ostro odpowiedziała porwał za oszczep i rzucił nim

na nią. Chybił, i to jej ocaliło życie. Po nocach król nie sypiał, a jeżeli zasnął to zrywał się przerażony, zimnym potem oblany i gadał, że stryjowie do niego przychodzą i męczą go. Sam w świetlicy nawet w dzień nie chciał zostawać, bo mu się zdawało, że z kątów wysuwają się ku niemu straszne widma. Wieczorem kazał zapalać masę świateł, stawiać po kątach kagańce, bo najmniejszego cienia się lękał i włosy mu na głowie wstawały. Schudł okropnie, opuścił się, włosy i broda poczęły mu siwieć, oczy dziko patrzały i nieraz całemi godzinami siedział pogrążony w ponurych dumaniach. Do dworca teraz nikt nie zaglądał, bo wszyscy się bali strasznego Popiela i straszniejszej Hilderyki.

Zając oszalał zupełnie. Nic nie gadał, tylko całemi godzinami błądził nad brzegiem jeziora, grzebał w piasku kawałki drew i nucił nad niemi pieśni pogrzebowe. Nikogo nie poznawał, czasem tylko napotkawszy kogo, nachylał mu się do ucha i szeptał oglądając się dokoła tworżliwie.

— Pogrzebałem go.

— Kogo?

— Sobiesława... ale cyt! nie mów o tem Popielowi, bo by mię otruł i w Gopło wrzucił...

Chodził obszarpany, w białej świtce, z gołą głową, rozczochraną i pełną zielska. Był jednak zawsze spokojny i gdy się znalazł na ulicach Kruszwicy, to dzieci za nim biegały i szydziły z niego, a on na to nie zważał. Do dworca królew-

skiego, od owej strasznej nocy i straszniejszego jeszcze pogrzebu nie zajrzał ani razu. Żył tem, co mu kto z litości dał, a przesypiał się lada gdzie, na brogu siana, w stodole, czasem w izbie, gdy go kto na noc wziął do siebie. Wiecznie nosił ze sobą kawałki drew i te nieustannie grzebał pokryjomu, z widoczną trwogą.

Taki był stan rzeczy i taki smutek w Kruszwicy. Na dworcu Popielowym o niczem nie myślano, jeno o owej okropnej nocy, gdy trupy stryjów ciągnięto do Gopła. O Myszach, o wysyłce Bociana zupełnie zapomniano, choć Bóg wie zkąd przybyłe i jakim sposobem, obiegały pogłoski, że Myszy coraz bardziej się zbliżają i że ich jeno patrzeć. Piast z chaty swojej zrobił gród zupełny, z częstokołem, wałem, rowem pełnym wody. Wielu kmieci gotowych było na pierwszy znak uciec z całym dobytkiem do puszczy, gdzie wcześniej wyszukali sobie schroniska, w gąszczach odwiecznych, wśród nieprzebytych błot i moczarów. Ogólny panował postrach i nie liczono już nic na króla, który jeno chodził jak błędny po swym dworcu i o niczem nie myślał. Piast tylko jeden nie stracił otuchy. Trzymał stale poza Kruszwicą na kopcu straż i beczkę ze smołą, żeby w razie pojawienia się na Gople okrętów normandzkich dała zaraz znać. W gródku u niego było kilkunastu junaków ciągle, a drugich kilkunastu polowało po puszczy, żeby porobić zapasy żywności na czas oblężenia. Wszystkie strze-

chy w gródku pokryto darnią, żeby nie można ich było zapalić, a nawet budowano tam wielką kuszę do rzucania na napastników kamieni. Gródek był ciągle zamknięty i nikogo obcego do środka nie puszczano, dla tego, że Hilderyka się odgrażała, iż każe schwycić Piasta i obwiesić na lipie podle jego chaty. Dla czego? nie umiałaby sama odpowiedzieć, ale gniewało ją to zbrojenie się Piasta, i podejrzywała, że myśli nie o Myszach, o których wieści poczęła uważać za bajkę, ale o koronie... Raz nawet posłała do niego, by się stawił u króla, ale Piast udał chorego. Wtedy wpadła w wielki gniew i poczęła podburzać Popiela, by mocą wziął gródek Piastowy i by jego samego srodze ukarał na postrach dla wszystkich innych. Ale Popiel spojrzał na żonę strasznym, dzikim wzrokiem i rzekł:

— Nie chcę!

— Dla czego? pozwoliszże, by twój poddany, niewolnik, tobie pod bokiem się zbroił?

— Piast jest kmieć i nie niewolnik. Nie chcę!

— Popielu!

— Nie chcę, powiadam. Dość tej krwi! dość!... o! gdzie mój sen, niewinny sen dawniejszy!

Poczem nagle patrząc szeroko rozwartemi oczyma, z wyrazem niewypowiedzianego przestrachu i grozy i wyciągając rękę przed siebie, ryczał:

— Widzisz, widzisz! Sobiesław idzie z pianą w ustach, Bolko, Władybój... wszyscy, wszyscy idą! Zabiją mnie, otrują, pomszczą się!

Zakrył twarz rękami i z rykiem jakimś nieludzkim uciekł na podwórze.

Nie było z nim rady i Hilderyka musiała dać pokój, tym więcej, że dworzec był pusty i jeno pięciu junaków w nim było. Wszyscy inni uciekli, a gdyby chcieć zwołać pospolite ruszenie wszystkich zbrojnych w kraju, kto wie, czyby się stawili. Od czasu do czasu przyniósł ktoś wieść, że w Poznaniu, Gnieźnie, Gniewkowie, Inowrocławiu i innych grodach kmiecie i władyki schodzą się na wiece, zbroją i odgrażają na Popiela. Niesłychana zbrodnia oburzyła wszystkich. Hilderyka wiedziała, że z tego nic nie będzie, ale nie chciała sama rzucać iskry na suchy mech, żeby pożar nie wybuchł. Liczyła, że czas wszystko uspokoi, byle jeno Popiel sam przyszedł do siebie i odzyskał dawne męztwo.

Pewnego dnia, gdy od świtu deszcz szkaradny począł padać, deszcz jesienny, z wichrem i zimnem, przed dworzec Popielowy przybyło dwóch podróżnych. Obaj byli ubrani w stare, podarte i poszarpane kożuchy, w postoły zniszczone, w czapki strzępkami świecące, zmoczeni, zziębnięci, bladzi i — wycieńczeni. Jeden z nich miał tylko łuk i parę strzał w kołczanie, drugi ledwie oszczep u boku i prostu, gruby kij w ręku. Był to Bocian i Przemko. Hilderyka nie mogła ich poznać, gdy przed nią stanęli domagając się, by ich jak najprędzej do króla puszczono. Do króla ich nie puszczono, bo po nocy spędzonej bezsen-

nie w obawie przed widmami pomordowanych stryjów, spał teraz w świetlicy, a przy nim siedziały dwie służebne, i gdy się budził, przygrywały mu na gęślach dla uspokojenia go. Hilderyka więc dowiedziawszy się o przybyciu Bociana i Przemka, sama ich przyjęła:

— Jak wy wyglądacie! zawołała, patrząc na obu.

— Gdybyście wy, królowo, to przeszli, cośmy przeszli, nie lepiej byście wyglądali — odrzekł na to Bocian.

— Co się z wami działo? gdzieście tak długo byli?

— Od czterech dni tłuczemy się we dwóch po puszczy, żyjąc jeno jagodami, głogiem, korzonkami. Głodni jesteśmy jak psy. Gdyby nie zając i wrona, którą wczoraj ubił Przemko, nie doszlibyśmy żywi do Kruszwicy.

— Ale cóż się stało? gdzie dwóch junaków, Bocianie?

— Reszta moich junaków śpi już snem nieprzespanym. Padli od miecza i strzał Myszów...

— Myszów? więc są Myszy? — porwała się królowa z wyrazem trwogi na twarzy.

— Jakto, nie wiecie o tem, królowo? więc prawdę mi mówił strażnik, co stoi koło beczki ze smołą na kurchanie, że we dworcu Popielowym nie wierzą w Myszy.

Uśmiechnął się i smutnie dodał:

— Tak, tak, królowo, Myszy są, płyną i jeno patrzeć, jak ich okręty wejdą na Gopło. Jest ich dużo. Podle gródka Bożywojowego naliczyliśmy dwadzieścia kuming, a to podobno nie wszystkie.

— Na Perkuna! załamała ręce królowa.

— Tak, tak, królowo, gadał Bocian. — Każcie junakom stanąć pod broń, wsiąść na łodzie, ile ich tylko jest i ruszyć przeciwko kumingom Myszy, nie dla tego, by z nimi wojować, bo by się to na nic nie zdało, ale by je spalić. To jedyny środek ratunku. Prawda, Przemku?

— Prawda wasza, Bocianie.

— Tu niema czasu do stracenia. Żywo, królowo, każcie junakom stawać.

— Jakim junakom? zapytała Hilderyka.

— Jakto?... alboż nie zwołaliście do Kruszwicy na wieść o Myszach wszystkich zbrojnych z kraju całego?

— Nie!

— I niema nikogo we dworcu?

— Jest tylko pięciu — odrzekła słabym głosem Hilderyka.

— Pięciu! ha! ha! ha! — zaśmiał się Bocian — no, to Hilderyko, zabierzcie wasz dobytek i uciekajcie w puszczę, jeżeli i ta was ocali przed Myszami. Ja tu nie widzę żadnego ratunku. Pięciu junaków ma król Popiel do obrony przeciw Myszom. To jakby kto kpił!...

Hilderyka nie zważała na te szyderskie sło-

wa Bociana, jeno stała głęboko zamyślona, poczem nagle wyprostowała się i rzekła:

— Idźcie Bocianie do starej Dobrochny, da wam ona jeść i przyodziewek jaki, bo widzę, że wasze kożuchy jeno w strzępkach są... a co do reszty, już ja sobie poradzę.

— Cóż myślicie czynić, Hilderyko? spytał Bocian.

— Idź do Dobrochny, Bocianie! rozkazywała królowa, nie odpowiadając na pytanie starca.

Ten już nic nie rzekł, skłonił się do kolan i zwracając się do swego towarzysza, mruknął:

— Choć, Przemku, zjedzmy prędko, co nam dadzą i uciekajmy ztąd, jeżeli nam życie miłe.

Gdy Bocian wyszedł, Hilderyka zawołała jednego z junaków i kazała mu biedz na wzgórze za Kruszwicę, do gontyny i zapalić stojącą tam wiechę, napojoną smołą na znak, że nieprzyjaciel blizko, żeby wszyscy zbrojni zbiegali się do dworca królewskiego. Takie wiechy rozstawione były po całym kraju i wszędzie je zapalano, gdy ujrzano, że jedna goreje.

— A bo to, królowo, na taki deszcz zapali się wiecha? pyta junak.

— Czyń co chcesz, jeno ją zapal! rozkazywała Hilderyka.

Junak pobiegł, a lecąc przez Kruszwicę, krzyczał, że Myszy idą! Zrobił się wielki ruch po wszystkich chatach. Wielu wypędzało swe bydło w pola, inni zaprzęgali woły i konie do wóz-

ków i wsadzali na nie żony, dzieci, dobytek, by uciekać w puszczę. Płacz, lament począł się rozlegać po Kruszwicy. Bydło ryczało, owce beczały psy ujadały jak wściekłe. Do tego wszystkiego deszcz lał ciągle jak z cebra, i nad jeziorem unosiły się szare, mętne mgły deszczowe.

— Myszy mogą podpłynąć pod samą Kruszwicę i nikt ich nie dojrzy przez taką mgłę! gadali niektórzy, co jeszcze większy przestrach wzbudzało, gdyż rozeszła się pogłoska, że Myszy już wylądowali lub też lądują. Rozlegały się przekleństwa i narzekania na Popiela, który nic nie przedsięwziął dla obrony miasta.

— Co nam po takim królu! — wołano — za cóż my mu daniny znosimy i dziesięciny z naszych zbiorów i z naszego przychowku? Bodaj go upiór pochłonął tego pijaka, mordercę!

W jednym tylko gródku Piastowym było cicho i spokojnie, choć i tu wieści dobiegły, że Myszy już przybijają do brzegu Kruszwickiego.

— To być nie może, mówił Piast, spoglądając w kierunku, gdzie jego strażnik stał — to być nie może. Gdyby okręty Myszów były już na Gople, Lasota by ich dostrzegł i beczkę ze smołą by zapalił.

— Ale może nie widzi — gadano mu — taka mgła, deszcz...

— Zawsze widać ztąd jezioro, a cóż dopiero z kopca od Lasoty? to być nie może. Zapewne Myszy są niedaleko, kiedy we dworcu Popielowym

uwierzono w nich nakoniec, ale jeszcze nie na Gople. Bądź co bądź trzeba posłać po moich junaków do puszczy.

I zaraz tak uczynił. Tymczasem do gródka jego przybiegło dużo kmieci z żonami, dziećmi i dobytkiem, prosząc, by ich przyjął, co Piast chętnie czynił, mówiąc:

— Byleśmy się tylko pomieścili.

Jakoż mieszczono się, jak można było. Białogłowy i dzieci szły do chaty, a mężowie do stodół i obór.

— Im więcej rąk do obrony, tym łacniej gródek ostoi — prawił Piast i patrzał ciągle w kierunku kopca i swojej straży.

Ale ciągle nic nie było widać, prócz deszczu, czarnych chmur, bałwaniących się na niebie i szarej mgły. Na wzgórzu, gdzie stała gontyna bożka Światowida, udało się nakoniec, widać po długich usiłowaniach i próbach, posłańcowi Hilderyki, zapalić wiechę. Ogień powoli począł piąć się po wysokiej wiesze, przygasał, dymił szkaradnie, aż nareszcie dostawszy się do suchych paździerzy i napojonych smołą, buchnął wielkim i krwawym płomieniem. To w Kruszwicy jeszcze większy popłoch wywołało. Powstała taka wrzawa, że jedni drugich nie rozumieli. Wszyscy uciekali w puszczę lub do gródka Piastowego, nikt zaś, jak powinien był do dworca królewskiego. Przestrach jeszcze się więcej wzmógł, gdy ujrzano gorejący ogień na szczycie wieży murowanej na wyspie na Gople.

Wszyscy byli przekonani, że strażnik na tej wieży zapalił ogień dla tego, że ujrzał okręty Myszów na jeziorze. Tymczasem tak nie było; zapalił on z tego powodu, że wiecha na gontynie gorzała, dla dania znaku innym, stojącym dalej.

Tyczasem na kopcu, gdzie stał strażnik Piastowy, wciąż było spokojnie i Piast ciągle gadał:

— Nie może być, by Myszy już byli na jeziorze. Lasota by beczkę zapalił.

Deszcz ciągle lał i wicher wył jak potępieniec. Zimno było przenikliwe; ludzie i zwierzęta pomieszczeni w gródku Piastowym chronili się, gdzie mogli pod dach i ciasno tu było ogromnie.

Koło południa dopiero z kopca buchnął wielki płomień.

— Otóż i Myszy! zawołał Piast — do broni, zamykać bramę! ściągnąć most!

W jakiś czas potem przypadł do gródka sam Lasota zadyszany, wołając:

— Myszy są na Gople!

XVI.

Ucieczka Popiela i Hilderyki.

W dworcu Popielowym był straszny popłoch. Pomimo zapalonych wici, pomimo, że król kazał dać na trwogę w rogi, nikt ze zbrojnych mężów przed dworem nie stawał, tylko wszyscy albo biegli do grodziska Piastowego, albo uciekali do puszczy. Hilderyka aż zzieleniała ze złości i wygrażając pięścią chacie kołodzieja, tupała nogami i krzyczała:

— Czekaj! czekaj! pomszczę się ja na tobie; pasy z ciebie drzeć będę, na pal wbiję, na gałęzi obwieszę, ty psie ostatni!

Gdy jednak nikt nie przybywał i nagle rozległy się głosy, że „Myszy na Gople“, gniew ją zupełnie opuścił a natomiast wielkooki strach ogarnął. Z razu nie chciała wierzyć, by normandzcy napastnicy byli tak blizko, ale nagle spo-

strzegła, że z murowanej wieży stojącej na wyspie na jeziorze buchnął płomień, a potem głownia zapalona rzucona przez strażnika Wojsława w górę i niby ognisty wąż padająca na wodę, przekonała ją, że niebezpieczeństwo jest blizkie i straszne.

Objęta ogromną trwogą usiadła na ławie i głośno zawodzić poczęła. Ale teraz w obec wiszącej mu nad głową klęski, Popiel ocknął się ze swej zadumy. Gdy go doszły krzyki, że Myszy już na Gopło wpłynęły, porwał się na równe nogi, przetarł oczy, jak ten, co się ze snu budzi i gromko wołać począł, by mu hełm i miecz podawano. W jednej chwili miał na głowie pyszny hełm żelazny, złocistą koroną dokoła otoczony, z białym orłem u szczytu ze srebra ulanym misternie, i zrywającym się do lotu. Na siebie wdział pancerz świecący jak słońce, tarczę żelazną, z takimże białym orłem zarzucił na lewą rękę, a w prawą chwycił topór. U boku wisiał mu długi, prosty, niemiecki miecz. W tym hełmie z orłem, z tą tarczą i toporem w ręku wyglądał jak rycerz prawdziwy, a wielkie jego, czarne, nieco dzikie oczy ciskały dokoła błyskawice.

— Niewiasty, wołał, — do wieży! Wszystką broń i sprzęty znosić do wieży! Wszyscy do wieży! — a obracając się do żony, dodał:

— Hilderyko, nie lękaj się niczego! Jeszcze jam tu jest, ja, Popiel, pogromca Duńczyków, Wilków i tychże samych Myszy! Jeszcze mi

ramię nie osłabło, wzrok nie zaćmił się i dusza nie zniewieściała!

Podniósł topór w górę i tak silnie nim świsnął, że biada temu, ktoby pod ten cios się dostał.

Na rozkaz królewski ruch wielki się zrobił we dworze. Hilderyka i jej dziewki służebne, biegły do wieży, niosąc ze sobą suknie, futra, skrzynki z klejnotami. Junacy znieśli swoją broń i także co kosztowniejsze sprzęty. Popiel zaś poszedł przez sad ku jezioru i patrzał na okręty Myszów, płynące w dali niby mewy ze swymi białemi żaglami, i świecące tą białością poprzez mgłę i deszcz. Jezioro falowało mocno i woda z pluskiem uderzała o piasczysty brzeg, chwiejąc trzema łodziami ukrytemi w sitowiu, tuż pod wieżą.

Wieża ta wznosiła się nad samem jeziorem, na sztucznym usypisku, zbudowana z wielkich dębowych bali. Jak wszystkie tego rodzaju budynki w onych czasach miała wejście na wysokości pierwszego piętra, i dostać się do niej można było tylko po drabinie, po której właśnie teraz wdrapywały się z płaczem i jękiem kobiety. Popiel stał w pobliżu chmurny i groźny, wsparty na mieczu, patrzał ponuro na zbliżające się okręty Myszów, i szeptał do siebie:

— Czyby nie lepiej było, póki czas jeszcze siąść na łodzie i popłynąć do murowanej wieży na Gople? Tam mogę sobie drwić z Myszy!

Hm! hm! nie dopłynę... mogą mi zabiedz drogę... wiatr dmie im w żagle... a zresztą tu pilnuję i kmieci moich. Gdybym się zamknął na wyspie, bies wie, coby oni tu nie zrobili! Nie, pozostać trzeba i bronić się do ostatka!

Kiedy tak stał i patrzał na okręty, nagle przypomniał sobie, że właśnie w tem miejscu potopieni zostali stryjowie. Pobladł śmiertelnie, pot zimny począł mu spływać po czole, i czuł, jak włosy mu pod hełmem się jeżą. Zdawało mu się bowiem, że z pośrodka deszczowych strug i mgły mętnej unoszącej się nad wodami, występują ponure jakieś cienie, widma pomordowanych stryjów z okropnie wykrzywionemi twarzami, z pianą z ust, ze strasznie połamanemi członkami. Twarze ich wychylają się z topieli, patrzą szklistemi, groźnemi oczyma na Popiela, i głuche, grobowe jęki wydają. Olbrzymia postać Sobiesława kołysze się z twarzą trupio bladą na falach jeziora i płynie, płynie coraz bliżej do Popiela...

Strach go tak wielki ogarnął, że z nieludzkim krzykiem począł uciekać, zrywając hełm z głowy i ciskając topór. Blady jak chusta przypadł do drabiny i tutaj dopiero, ujrzawszy się pośrodku junaków, opamiętał się i przyszedł do siebie. Przetarł ręką czoło, obejrzał się i rzekł:

— To nic... nic... głupstwo... umarli przecież nie wstają... taka mgła szkaradna... nic, nic... podnieście mój hełm i topór... pójdę na wieżę!

I chwiejąc się na nogach jak pijany wszedł na wieżę, do dużej izby, gdzie siedziały niewiasty na podłodze, wśród mnóstwa rozrzuconych sprzętów, naczyń, oszczepów, łuków, włóczni itp. Nie patrząc na to wszystko, potrąciwszy po drodze nogą jakiś hełm, który z brzękiem się potoczył, poszedł wyżej, na szczyt wieży.

Tu stał strażnik wsparły na włóczni i patrzał na płynące okręty. Zwał on się Racibor i stary był już bardzo, siwiuteńki jak gołąb, choć oczy miał jeszcze dobre a rękę pewną. Że był to dawniej dobry wojak, dano mu więc na starość straż nad ową wieżą, i siedział tam sobie spokojnie. Teraz w kożuchu wywróconym włosem do góry, w wielkim kołpaku z rysiej skóry, stał i patrzał z pod krzaczastych, białych brwi, małemi, bystremi oczkami na płynące kumingi. Woda deszczowa ciurkiem mu ciekła po zawiędłej, ogorzałej, zbrużdżonej mocno twarzy. Gdy Popiel wszedł na szczyt wieży, Racibor obejrzał się, pokłonił królowi do kolan.

— Dużo ich jest, Raciborze? spytał Popiel.

— Przeszło dwadzieścia kuming. Jak żyję nie widziałem jeszcze tyle okrętów. Cała ziemia Myszy się wyroiła, czy co?

— Ba! mruknął Popiel—będziemy się bronili

— Ano... bronić się trzeba, ale czy się obronimy w tej wieży, nie wiem. Lepiej pono uciekać trzeba było na wyspę.

— Tak, ale już teraz późno.

— A, późno!... dwa okręty stanęły między nami i wyspą.

W istocie, z całej gromady kuming, odłączyły się dwie i stanęły tak, że zagrodziły drogę do wyspy. Reszta zaś wyraźnie płynęła ku brzegowi, między gontyną i dworcem królewskim.

— Zaraz wylądują — prawił dalej swym grubym, drżącym głosem Racibor — i pójdą na nas. Znam ja ich, nigdy nie tracą darmo czasu. Ho! ho! zbóje to sławni. Kiedym był jeszcze małym pacholęciem i chodziliśmy z królem Wyszymirem na morze, na Duńczyków... he! he! he! bo to wtedy Polanie jeszcze pływali po morzu, ale teraz wszystko na psy zeszło. Ledwie na ziemi obrócić się mogą, a i to nie zawżdy...

Popiel nie słuchał tej gawędy starego Racibora, usiadł tylko na ławie, co stała koło poręczy, sparł brodę na ręku i dzikim, smutnym wzrokiem, zamyślony głęboko patrzał na kumingi Myszów. Wiatr, tutaj na szczycie wieży silniejszy niż na dole, miotał czarnemi włosami Popiela, a deszcz dzwonił po pancerzu i tarczy, i po białym na niej orle w krwawem polu.

Tymczasem Racibor stał ciągle wsparty na swej włóczni i gwarzył:

— O! widzę okręt wojewody!...

— Gdzie? ocknął się Popiel.

— Ot, tam! wyciągnął rękę strażnik i wskazywał palcem.

Płynął on, ten okręt na przedzie, z chorągwią u masztu czarną, którą wiatr miotał i ukazywał na niej od czasu namalowane jakieś potworne zwierzę ze skrzydłami. Okręty płynęły ku brzegowi, potem wyciągnęły się szeregiem i stanęły. Słychać było plusk fali uderzającej o ich boki i dźwięk rogu rozlegający się głośno z kuningi wojewody normandzkiego.

Tak samo jak przed gródkiem Bożywoja, tak i tutaj na rozkaz wydany za pomocą rogu, mnóstwo łodzi spuszczono z kuning i na nie wchodzili rycerze. Aż czarno się od nich zrobiło na białych wodach gopłańskich. Racibor liczył te łodzie, liczył, ale i liczby mu i czasu na to nie stało. Zabrzmiał bowiem znowu róg, wiosła podniosły i łodzie ruszyły ku lądowi.

— He, królu! ozwie się Racibor, każcie ściągnąć drabinę i zamknąć wieżę! Zaraz tu będziemy mieli Myszy!

Popiel powstał, przetarł czoło, popatrzał błędnym przed siebie zwrokiem, zatrząsł się i rzekł:

— Brrr! zimno!

— He! he! he! zaśmiał się sucho Racibor, nie bójcie się panie, zaraz tu będzie gorąco, ale jak gorąco! Te zbóje umieją grzać... o! umieją!...

Popiel nic na to nie odrzegł, tylko obejrzał się do koła i mimowoli zatrzymał wzrok na tem samem miejscu, gdzie przed chwilą, wśród mgły,

na mętnej fali gopłańskiej, zdało mu się, że ujrzał widma pomordowanych stryjów. Na samym brzegu, na mokrym piasku stał tam teraz jakiś człowiek schylony i rękami grzebał w piasku dołek, oglądając się do koła trwożliwie. Gdy głowę odwrócił, Popiel poznał w nim Zająca. Kopał on rów w swej świtce białej, przemokłej do nitki i szeptał takim jakimś dziwnym głosem syczącym, że szept ten słychać było daleko, słychać było i na wieży:

— Wrzucili twego trupa mój Sobiesławie do wody, żeby cię ryby i żaby zjadły... o wrzucili... ale ja cię pochowam w świętą ziemię, pochowam,.. tutaj... zaraz cię pochowam. kiedy na stosie jak należy spalić nie mogę... Czekaj, czekaj Bolku... zaraz! zaraz! i ciebie pochowam... otruli cię, otruli... Popiel i Hilderyka... suka przeklęta... ale tst! tst!...

Podniósł się, wyprostował, spojrzał ku górze i nagle swój błędny zwrok wlepił z wyrazem niewypowiedzianego przestrachu w dzikie, żarzące się płomieniami oczy Popiela.

Ten stał przez chwilę pochylony naprzód, oparty na poręczy, potem ryknął jak zwierz, skoczył, wyrwał z rąk zdziwionego Racibora włócznię i cisnął nią w Zająca. Grot silną i wprawną ręką wyrzucony, ze świstem poleciał i przeszył na wylot pierś biednego Zająca. Zachwiał się, uderzył rękami w powietrzu, jakby się chciał czego chwycić i padł na wznak, wyrzucając ustami

potoki krwi. Jęknął żałośnie, drgnął jeszcze parę razy i skonał brocząc krwią obficie mokry piasek dokoła. I leżał tak w białej świtce swojej a fale gopłańskie lizały mu biedne jego, kmiece stopy...

Popiel tymczasem rycząc ciągle zbiegł na dół i krzyczał strasznym głosem:

— Do broni! do broni, Myszy w Kruszwicy! Myszy w Kruszwicy. Podnoście drabinę psy przeklęte! Bodaj was mór dotknął, bodaj ziemia pochłonęła, bodaj piorun spalił!

Wpadł do izby na dole między niewiasty, i biegał po niej jak szalony z włosem wzburzonym co chwila chwytając się za głowę i krzycząc:

— Zdrada! zdrada! do broni! do broni! wszędzie mię zdradzają, dokoła mam szpiegów i zdrajców.

Potrącał sprzęty, tłukł się o ściany. rwał włosy na głowie i szatę zwieszoną na pancerzu. Przerażone niewiasty uciekały przed nim to biegnąc na górę do Racibora, to na dół, gdzie był skład żywności, a niektóre, nakrywszy głowę chustką przypadły do kąta izby i tak siedziały drżąc ze strachu. Tylko Hilderyka jedna powstała, zbliżyła się do męża, położyła mu swą białą rękę na ramieniu i swe duże, jak błękit niebieskie oczy wpoiła w oczy Popiela.

— Popielu, szeptała, uspokój się, co tobie?

Zatrzymał się, wstrząsł cały, popatrzył błęd-

nym dzikim wzrokiem na żonę, przetarł rękami czoło, uśmiechnął boleśnie i syknął:

— To nic, Hilderyko, to nic... ja jestem spokojny, bardzo spokojny. Tam na górze wiatr jest zimny, brrr!... bardzo zimny. Ale ja tu się rozgrzeję. Czemu nie napalą ognia? Niech napalą! Dzień jest pochmurny i po kątach w tej izbie jest ciemno.

Obejrzał się trwożliwie, przytulił do żony i patrząc strasznym wzrokiem w jeden z kątów, szeptał:

— Zdaje mi się, że to on... Bolko... i tu mnie znalazł... Ha! ha! ha! począł się śmiać dziko, widm nie ma na świecie, prawda? kto raz umarł, już więcej nie wstaje. A kamienie były takie ciężkie i Gopło tam jest głębokie. Oni tam leżą spokojnie i wstać nie mogą... I ryby ich już zjadły! Tfu! zgiń maro, przepadnij!...

W tem Racibor zeszedł z góry, wytknął swą białą jak śniej głowę i rzekł:

— Popielu, Myszy idą na nas. Każ junakom zająć wszystkie otwory w wieży!

Na te słowa Popiel jakby oprzytomniał. Chwycił pierwszy lepszy łuk, zbliżył się do okienka, odsunął zasuwę i wyjrzał na zewnątrz. W tejże chwili doszedł tak jego jak i wszystkich zamkniętych w wieży, potężny okrzyk wojenny Myszów, idących naprzód do napaści na wieżę i dworzec Popielowy.

XVII.

Obrona wieży.

Myszy szli wielkim i zwartym tłumem, uderzając rękojeściami swych oszczepów i mieczy w tarcze, co czyniło taką wrzawę, że napełniała ona sobą nie tylko całą Kruszwicę, ale szła na jezioro, na puszcze i odbita od puszczy grzmiała daleko. Rozdzielili się na dwa hufce i jeden ruszył ku okopom gontyny Światowida na górze za Kruszwicą, a drugi ku dworcowi Popielowemu. Po drodze hufce te wpadały od chat i po większej części nie znalazłszy w nich nic, gdyż wszyscy mieszkańcy uciekli albo do puszczy z całym dobytkiem, albo też schronili się do grodziska gontyny, lub gródka Piastowego. W gniewie napastnicy zapalili te chaty, a że strzechy od padającego deszczu były mokre, zajmowały się więc powoli i dym cuchnący rozłaził się leniwie po całej okolicy.

Hufiec przeznaczony do dworca Popielowego, przypadł tam z krzykiem i wrzawą i zastawszy dwór opuszczony przez mieszkańców, ale pełny jeszcze rozmaitych sprzętów, których unieść nie zdołano, począł je rabować. Wielu wypadało z dworca do sadu i podsuwało się pod wieżę, ale ztąd, z okienek i otworów powitano ich strzałami i kamieniami wyrzuconemi z procy, tak, że szybko się cofnęli zostawiwszy jednego zabitego, któremu ogromny głaz strzaskał hełm i pod hełmem głowę.

Gdy już dworzec doszczętnie zrabowano i w końcu zwyczajem Myszy zapalono, wtedy wystąpili oni tłumnie do sadu i ztąd poczęli przypatrywać się wieży obchodząc ją dokoła zdaleka i ostrożnie. Wódz ich, chłop ogromny z kołtunowatą głową, ze łbem rysia na hełmie, z ogromną tarczą na lewem ramieniu, toporem w prawej ręce i rogiem bawolim przewieszonym przez plecy, cały w zbroi żelaznej, na której miał zawieszone białe niedźwiedzie futro, zbliżył się do wieży na rzut strzały i bardzo pilnie jej się przypatrywał. Popiel, ujrzawszy go, krzyknął:

— Dawaj mi tu mój łuk niemiecki, dawaj prędzej!

Podano mu wielki, żelazny łuk, który, chcąc naciągnąć trzeba było nie małej siły, oparł go jednym końcem o podłogę, nasadził na cięciwę ogromną strzałę, zaopatrzoną w żeleziec w kształcie ości, wymierzył i puścił. Cięciwa prysła głośno i strzała ze świstem wybiegła.

Wódz normandzki czy spostrzegł coś podejrzanego w okienku wieży, czy też instynktownie, dość że się zasłonił tarczą i strzała uderzyła w tę tarczę z taką siłą, że zagłębiła się w nią na parę cali.

Odsłonił się nagle i potrząsając toporem i grożąc nim, krzyczał coś gniewnie, czego oczywiście w wieży nie zrozumiano. Potem ściągnął swój wielki róg bawoli i zadął weń całą mocą piersi. Rozległy się donośnie chrapliwe jego tony i w tejże chwili wszyscy napastnicy wydali straszny okrzyk wojenny i potrząsając toporem i oszczepami rzucili się ku wieży ze wszech stron.

Popiel tymczasem nasadził drugą strzałę na swój łuk niemiecki i znowu puścił ją na wojewodę normandzkiego. Tymczasem utkwiła mu w łbie rysim na hełmie i drżała tam od siły wielkiej rzutu. Wojewoda potrząsł znowu swym toporem i rzucił się naprzód z krzykiem ku wieży. A Popiel rzuciwszy łuk z gniewem zawołał:

— Tfu! na psa urok! Jaskółki w locie zbijam strzałą, a tego zbója trafić nie mogę! Hej! kto żyw do broni!

Rzuciło się więc wszystko do okienek i otworów w wieży, nawet niewiasty, które napaliły wielki ogień i gotowały przy nim wodę i smołę. Hilderyka porwała garnek wrzącej wody i stanęli z nim przy jednym z okienek i trzymała go, choć kipiący płyn parzył jej białe ręce. Na biegnących napastników posypały się z wieży niby grad,

niby rój pszczół, strzały, kamienie, pociski wszelkiego rodzaju. Dzwoniły one po hełmach napastników, po ich tarczach i pancerzach, a choć ten i ów z jękiem runął na ziemię, przecież dobiegli tłumnie do wieży i toporami rąbać ją poczęli. Od potężnych sił uderzeń, drżała cała wieża, a ogłuszający huk i krzyk tak napadających jak i broniących się, rozchodził się daleko. Niektórzy poczęli przystawiać drabiny do wieży i drapać się po nich na górę, ale za każdem razem spychano ich z drabinami razem, lub te ostatnie trzaskano kamieniami. Niewiasty wylewały ciągle na napastników gorącą wodę i smołę, i za każdym razem z jękiem i krzykiem odskakiwali od wieży zbóje, miotając się jak szaleni z bólu i wściekłości. Ze szczytu wieży stary Racibor staczał ciągle ogromne głazy, których miał tam potężny zapas i gniótł nimi ludzi i drabiny. Napastnicy padali jak muchy; mimo to ogarnęła ich jakaś wściekłość i ciągle się darli do góry i rąbali potężnymi swymi toporami grube, dębowe belki wieży u dołu. Jednakże, gdy wszystkie ich wysiłki były nadaremne, odstąpili od wieży, zostawiając na placu dziesięciu trupów i mając pomiędzy sobą mnóstwo ranionych i poparzonych szkaradnie. Oblężeni stracili tylko jednego junaka, który nachyliwszy się zbyt nieostrożnie z okienka, został uderzony w głowę ciśniętym toporem i padł na miejscu.

Teraz nastąpił chwilowy spoczynek. Myszy

cofnęli się aż pod dworzec i zmęczeni pokładli się na piasku, a starszyzna zebrana w gromadę coś radziła. Widać ich było wszystkich doskonale. Po niedawnej wrzawie, zaległa koło wieży grobowa, ciężarna niestety! burzą, cisza. Popiel usiadł sobie pod ścianą na ławie, zacierał ręce i był niezwykle wesoły:

— Ha! mówił, daliśmy im krwawą nauczkę, krwawą! Dzielnie lałaś war Hilderyko i wy dziewki! Poparzyłyście zbójów mnóstwo. No! no! nie prędko oni powtórzą napad; muszą się wylizać i odpocząć. A nam też idzie o to, byle wieczora doczekać.

W tę ciszę dochodziła ciągle daleka wrzawa i krzyki:

— Do gontyny się dobijają! mówił dalej Popiel, no, i tam się mają czem bronić. Pójdę na szczyt wieży i zobaczę, co się tam dzieje.

— Tylko ostrożnie, mój Popielu—prosiła Hilderyka ocierając chustą pot z białego czoła—mógł się podkraść jaki zbójca i ukryty gdzieś za krzakiem czyha. Nuż by cię postrzelił?

— E! machnął ręką Popiel — mego pancerza strzały nie biorą.

Podniósł się leniwie z ławy i szedł ku schodkom, prowadzącym na górę, gdy nagle ukazał się na nich stary Racibor.

— Popielu! rzekł swym drżącym, spokojnym gardłowym głosem — Myszy wzięli nocą gontynę!

— Do stu biesów! wrzasnął Popiel z gniewem — łżesz, stary, to być nie może.

— Ha! chodźcie obaczyć!

I usunąwszy się nieco w bok, puścił Popiela przodem, który biegł prędko, przeskakując po parę schodów, mrucząc jakoś dziko. Gdy się dostał na wierzch, przedewszystkiem spojrzał w kierunku gontyny. Paliła się ona cała i czarne kłęby dymu z niej buchały. Częstokół był wywrócony, brama wywalona i Myszy, jak robactwo obsiadły całe obejście. Widać ich było z wieży, jak latali z nagiemi mieczami i oszczepami, i mordowali każdego kogo napotkali z obrońców. Inni wyprowadzali bydło i owce i zabijali je na usypisku, na którem palił się wielki ogień.

Widząc to wszystko zmarszczył groźnie brwi Popiel i mruknął:

— Świątynię Światowida zbezcześcili. I ja na to nic poradzić nie mogę. Jak trędowaty opuszczony jestem przez wszystkich i własnego życia bronić muszę.

I stał tak ze spuszczoną głową, zadumany głęboko, ponury i smutny, szepcząc:

— Chram Światowida! chram Światowida!

— Ostrożnie, Popielu! krzyknął nagle Racibor.

Nim Popiel mógł podnieść głowę, strzała świsnęła i zerwała mu pióropusze u hełmu. Odwrócił się z okiem pełnem iskier, spuścił na twarz przyłbicę i patrzał zkąd pocisk wyleciał. Bystre

jego oko dostrzegło rycerza normandzkiego, jak podpełzł pod wielki krzak głogu w sadzie, nie daleko wieży rosnący i ukryty poza nim nakładał już drugą strzałę na cięciwę.

— Masz łuk? spytał Racibora Popiel.

— Mam.

— Czy widzisz tego zbója?

— Nie! dobrze nie widzę. Stare mam oczy.

— Daj mi łuk, a sam połóż się na ziemi, bo cię zaraz ten zbój naszpikuje.

Dobrze poradził Popiel Raciborowi, bo druga strzała swisnęła tuż nad głową starego strażnika.

— No! mruknął dziko Popiel, mierząc z łuku, niech cię wiedźmy porwą i umęczą, żmijo przeklęta!

To rzekłszy wypuścił strzałę i ta uwięzgła w hełmie normandzkiego rycerza. Z gniewem cisnął Popiel łuk na ziemię, wszedł na schody i rzekł do Racibora:

— Pilnuj dobrze i donoś jak będzie co nowego.

— A cóż tu będzie nowego? Nowy napad i koniec, tylko ten napad będzie straszniejszy, bo jeno patrzeć jak ci z gontyny tu przyjdą i wtedy obsiądą nas jak muchy. Obyśmy im jeno dali radę!

— Milcz, puszczyku przeklęty! Dopóki ja żyję, Myszy tu nie wejdą, chyba po mym trupie. Byle do nocy dotrwać, to już potem damy sobie radę.

To rzekłszy zeszedł na dół. Cisza wciąż trwała. Normandowie odpoczywali jeszcze ciągle, deszcz nieustannie padał, dworzec królewski gorzał leniwie, od gontyny wrzawa nieustanna do-

chodziła, a w wieży junacy pokładli się na ziemi i drzemali. Dziewki, siedząc koło ognia szeptały coś między sobą, a Hilderyka oparłszy głowę na ręce dumała nad czemś głęboko.

Popiel wszedłszy, rzucił okiem na wszystkich, podszedł do okienka, spojrzał na niebo i rzekł:

— Do wieczoru już niedaleko.

Usiadł także i patrząc w ogień dumał. Tak upłynęło kawał czasu, gdy znowu na schodach ukazał się Racibor:

— Popielu, tamci z gontyny już przyszli — gotują się do nowego napadu.

Zerwał się Popiel i krzyknął:

— Do broni!

Sam skoczył do okienka. Normandowie już stali w wielkiej gromadzie, a wodzowie przed nimi przebiegali i wskazując na wieżę, wydawali zapewne rozkazy. Widać było między Myszami mnóstwo drabin i płonących żagwi. Oczywista rzecz była, że chcą w najgorszym razie podpalić wieżę. Z tych przygotowań Popiel nabył tego przekonania, że napaść będzie straszna i rozpaczliwa.

— Chcą podpalić wieżę! syknął jeden z junaków z wyrazem przestrachu na twarzy.

— Głupiś! oburknął się Popiel — na taki deszcz i takich bali jak w wieży podpalić nie można.

Tymczasem między Myszami zrobił się ruch, słychać było rozkazy, potem rozległ się dźwięk rogu, zagrzmiał potężny okrzyk wojenny, i jak potok, który wyrwie się z łożyska i pędzi i łamie

wszystko, co napotka przed sobą, tak i Myszy rzucili się do wieży. Z tamtąd runęły pociski, strzały, kamienie, oszczepy i padały z głuchym trzaskiem w tę zbitą masę napastników. Gdy ci dobiegli do samej wieży, znów polała się na nich gorąca woda i smoła, znów rozległy się wściekłe okrzyki bólu. Mimo to nie ustępowali. Gdy jedni toporami nie przestawali rąbać wieży, drudzy poprzystawiali ze wszystkich stron drabiny i poczęli na nie włazić. Zrzucano ich, trzaskano im kamieniami szczeble, oblewano warem, ale gdy jedni ustąpili, drudzy wdzierać się poczęli. — Walka taka trwała bardzo długo, z zaciętym uporem prowadzona przez obie strony. Obrońcom już ręce ustawały od wysiłku, zwłaszcza gdy znów dwóch junaków zostało zabitych, a sam Popiel ciężko raniony w rękę kamieniem rzuconym z procy. Jednakże broniono się ciągle, gdy nagle rozległ się swąd i trzeszczenie ognia. To Myszy podpalili wieżę. Ogień chwytał się powoli, ale ostatecznie chwycił się. Napróżno dziewki lały wodę, ogień widocznie zatlony w wyrąbanych przez napastników otworach tlił się ciągle. I to jednak nie przeraziło Popiela! Bronił się zacięcie, a gdy nakoniec udało się Raciborowi strzaskać najwyższą drabinę napastników, zwłaszcza gdy zaczął się robić wieczór—z krzykiem i odgrożkami, odstąpili od wieży, zostawiając tam znowu kilkunastu trupów.



Ucieczka Popiela.

XVIII.

Ucieczka na jezioro.

Noc zapadała szybko, noc czarna, wietrzna, jesienna, z poświstem wichru i nieustannem pluskaniem deszczu. Myszy odsunęli się od wieży na dwa rzuty strzały, pozapalali wielkie ogniska i grzali się przy nich i piekli barany, woły, ptactwo, które porabowali tak w osadzie, jak i we dworze królewskim. Na wieżę atoli baczną zwracali uwagę. Dokoła niej, w niewielkiej odległości, rozstawili gęste straże poukrywane za drzewami lub krzakami sadu. Od strony jeziora dwie stojące na czatach kuningi przysunęły się bliżej do lądu, i pilnowały tak, że zdawało się, iż żywa dusza nie może wymknąć się z wieży.

W wieży tymczasem zapanowała ponura cisza i zwątpienie. Trzech junaków padło, tak że do obrony pozostał tylko raniony Popiel, dwóch parobków także pokaleczonych i stary Racibor, oraz niewiasty. Gdyby Myszy przypuścili nocny

szturm obrona byłaby wprost niemożliwą. Dziewki siedziały przy ogniu zasępione i gotowały wieczerzę; Hilderyka opatrywała rany Popiela, który mroczny, ponury, z głową spartą o ścianę, milczał. Stary Racibor został na szczycie wieży, a junacy zbierali broń i liczyli kamienie, jakie jeszcze były. Pokazało się, że po odparciu dwóch napadów Myszy, strzał było zaledwie kilkadziesiąt, kamieni tyleż! Wody i smoły całkiem prawie nie było. Przekonawszy się o tem, obaj junacy przyszli do Popiela i powiedzieli mu, jaki jest stan rzeczy. Spojrzał na nich dziko i mruknął:

— To co jest wystarczy. Zjedzcie wieczerzę i bądźcie gotowi.

Noc tymczasem upływała, a deszcz lał ciągle. Popiel szeptał coś długo z żoną, potem wstał i poszedł na szczyt wieży. Stary Racibor siedział tu otulony w kożuch, na ławie w pobliżu poręczy i baczną zwracał na wszystko uwagę.

— Co słychać Raciborze? spytał Popiel.

— Nic, cicho wszędzie. Myszy kładą się spać.

Popiel spojrzał na obozowisko napastników i przekonał się o prawdzie słów starego strażnika. Przy ogniskach nie wielu już czuwało Normanów, reszta pootulawszy się w kożuchy legła na mokrej ziemi, pod gołem niebem i spała mocnym snem.

— Czas już wielki! szepnął Popiel i odwra-

cając się do strażnika, dodał: zabieraj się Raciborze.

— Dokąd królu?

— Wymkniemy się cichaczem z wieży i popłyniemy na wyspę...

— Ba! mruknął Racibor, dobrze to mówić wymkniemy się, ale jak i którędy?

— Już niech cię o to głowa nie boli. Chodź!

— Ej! podrapał się Racibor po na pół łysej głowie, ja tu wolę zostać.

— A dla czego?

— Bo ja ta nie wierzę w wymknienie się z wieży. Straże są naokoło, dostrzegą nas. A choćby nawet nie dostrzegli, choćbyśmy dostali się na jezioro, to tam są dwie kumingi, które nam drogę zagradzają...

— To trudno! w wieży ostać się nie możemy. Czterech nas jest jeno mocno pokaleczonych, nie ma ani strzał ani kamieni, niema się kim i czem bronić. Trzeba uciekać. Zabieraj się!

— Nie, Popielu, ja tu ostanę. Ja mej wieży nie opuszczę. Sam będę się bronił... i niech mię zabiją Myszy, a bom to nie stary, i nie nażyłem się dosyć na świecie? Umrę po junacku, z bronią w ręku. Niech się co chce dzieje, ostanę!

— Ha! to ostań! mruknął Popiel i zeszedł na dół.

Tu nakazał niewiastom, by pozabierały swe szaty i kosztowności królowej, jako to: koronę złotą i piękne pierścienie i manele, dwom zaś ju-

nakom, by zabrali wszystkie strzały, trzy włócznie i trzy miecze, oraz dwa topory. Gdy to uczyniono, uchylił okienka i wyjrzał na obozowisko Myszy. Nic się tam nie zmieniło; ogniska tlały jak dawniej, koło nich kręciło się kilku ludzi, reszta spała. Deszcz nie przestawał padać.

Przekonawszy się, że wszystko jest dobrze, Popiel ruszył naprzód, za nim niewiasty, a w końcu dwaj junacy. Zeszli na sam dół wieży i tu Popiel kazał wszystkim cicho się zachowywać. Czuć tu było swąd i dym od tlejących gdzieś belek. W największej cichości i ciemności Popiel odsunął parę belek w ścianie od strony jeziora, umyślnie w ten sposób urządzonych, i stojące za nim niewiasty ujrzały szary blask wody Gopłanej. Popiel wychylił głowę ostrożnie i przekonawszy się, że niema nikogo między wieżą i brzegiem jeziora, śmiało wyszedł z wieży, co zaraz wszyscy za nim uczynili.

Gdy się niewiasty i junacy wydobywali z wieży, Popiel stał i pilnie nadsłuchiwał. Ale cisza była, tylko fale jeziora z pluskiem o brzeg uderzały. Potem postąpił parę kroków, potknął się, upadł i nagle zerwał się ze strasznym krzykiem. Krzyk ten porwany przez wicher rozległ się daleko. Zerwawszy się, jak szalony pobiegł ku jeziorowi i zanurzył się w trzcinie gdzie stały ukryte łodzie, wołając:

— Za mną! za mną! żywo!

Pierwsza Hilderyka przybiegła do miejsca,

gdzie mąż jej upadł i spojrzała na ziemię. Coś czarnego na niej leżało. Nachyliła się i przy słabym blasku nocy deszczowej postrzegła ciało Zająca...

I jej czoło okryło się na ten widok kroplistym potem: ominęła żywo biedne zwłoki ofiary Popielowej, płukane deszczem jesiennym, i złączyła się ze swym mężem, który stał już na łodzi, oparty na wiośle i drżał tak silnie, że mu zęby szczękały jak w gorączce,

— Kto to? spytał Popiel.

— Ja, Hilderyka.

— Dalej, siadaj!

Skoczyła do łodzi. Czas już był wielki, gdyż krzyk okropny Popiela zwrócił uwagę Myszy. Słychać było ich nawoływania, świsty i kilka cieni ludzkich ukazało się zdala od wieży na brzegu jeziora. Popiel nie czekając na pozostałe towarzyszki i towarzyszy, odbił od brzegu i wypłynął na jezioro.

— Zatrzymaj się Popielu! wołała Hilderyka.

— Po co?

— Moje dziewki tam zostały!

— Mają drugą łódź! niech się ratują jak chcą! my musimy uciekać... Brrr! jakie zimno.

I pchał łódź gwałtownie na przód, smagany deszczem i wiatrem. Fale jeziora podnosiły się wysoko i ciskały łodzią jak łupiną. Na brzegu tymczasem ruch się zrobił znaczny. Słychać by-

ło krzyk i nawoływania, i na koniec rozległ się dźwięk rogu.

— Spostrzegli nas! zgrzytał zębami Popiel — o! żeby do wieży się dostać!

Nagle wiatr przyniósł z brzegu szczęk oręża, krzyki niewieście, trzask jakiś ogromny, i liczne głosy ludzkie.

— Myszy napadli na nasze dziewki i junaków! zawołała Hilderyka.

Popiel nic nie odrzekł tylko ciężko pracował wiosłem. Wiatr łódź popychał i biegła jak szalona. Dzwięk rogu ciągle się rozlegał, mięszając się z pluskien fali i ze świstem wichru. Płynęli tak już dość długo, gdy Popiel nagle się odwrócił i szepnął do żony:

— Hilderyko, zrzuć ten biały kołpak z głowy i połóż się na dnie łodzi.

— Czemu?

— Czyń, co ci każę! syknął z gniewem Popiel—jeżeli ci życie miłe. Kumingi już muszą być nie daleko. Chceszże by nas spostrzegli i jak psów potopili w jeziorze?

Hilderyka nic już nie odrzekła, tylko zdjęła z głowy piękny kołpak sobolowy i schowała go pod futro, jakiem była okryta; potem położyła się na dnie łodzi i leżała tam nieruchoma. Popiel silnie i rzadko robił wiosłem, starając się unikać plusku fali i pochylony naprzód bacznie upatrywał, czy nie dojrzy przed sobą kadłuba kumingi. Obejrzawszy się raz na żonę ujrzał za sobą od lądu

duży blask. To jego wieża drewniana gorzała i krwawe płomienie ciskały ponure blaski na ciemne fale jeziora. Widać było czarnych, podobnych do biesów, Normanów, jak biegali koło tej gorejącej wieży, i wyraźnie się na tle jej czerwonem rysowali. Od czasu do czasu gorejącą strzałę puszczali na jezioro, co zapewne znaczyło, że wiedzą o ucieczce Popiela i chcą go dostrzedz. Z tych usiłowań Popiel zaśmiał się cicho. Silny wiatr porywał gorejące strzały i niósł je w bok, lub przy pomocy deszczu gasił zaraz. Rzucały one chwilowy, błyskawiczny blask, przy którym nie wiele zresztą dostrzedz można było. Nagle zdało się Popielowi, że coś olbrzymiego przed nim czernieje. Zatrzymał swą łódź, pochylił się na jej przód i usiłował przebić wzrokiem otaczające go ciemności, niepewny co ma czynić, gdy w tem w odległości może pół stajania wyleciała w górę jedna, druga, trzecia ognista strzała i sypiąc iskry, oblała purpurą nieruchomą łódź Popiela. W tym czerwonym blasku odbijającym się ponuro na tle czarnych, deszczowych chmur, i przeglądających się w falach jeziora, zdawało się Popielowi, że widzi w ołowianych obłokach bladą, śmiejącą się twarz Zająca, który patrzał nań wytrzeszczonemi, szklistemi oczami, uśmiechał się dziwnie i mrugal... Włosy podniosły się na głowie Popielowi, szarpnął się mocno i przejęty nieopisanym strachem wydał ten sam okropny, przeraźliwy, donośny krzyk, jaki

już raz go zdradził na lądzie. Na krzyk ten Hilderyka zerwała się:

— Co to jest? co ci jest Popielu?...

— Nic! nic!

I skręciwszy gwałtownie w bok łodzią pchnął ją z niezwykłą, nieludzką prawie siłą. Łódź z szumem przerznęła bałwany, i pędziła dalej jak strzała. Krzyk Popiela usłyszano zapewne na kumingach, gdyż znowu zajaśniały liczne ogniste pociski, przy blasku których Popiel na wielką swą radość spostrzegł, że kumingi zostały na boku, a nawet wkrótce w tyle. Ztąd do wyspy było niedaleko. Widać było nawet maleńkie światełko, jakie gorzało zapewne na kominie w izbie.

Hilderyka zbliżyła się do Popiela i znowu spytała:

— Czegoś ty krzyknął tak strasznie, Popielu, czyś znowu natknął się na...

— Milcz! milcz, do pioruna! syknął z uniesieniem niezwykłem u niego Popiel—idź i leż w łodzi, a mnie zostaw w spokoju.

I ciężko, z ogromnym wysileniem pracując wiosłami, coraz bardziej zbliżał się do lądu i do wieży, której cień już zarysowywał się na tle mętnych blasków nocy jesiennej, a światełko było coraz większe i coraz jaśniejsze. Nakoniec łódź uderzyła o brzeg i Popiel zawołał z pewnem uczuciem ulgi:

— Przecie! już myślałem, że nas te Myszy

zjedzą. Dalej, Hilderyko, wstawaj i śpieszmy się; trzeba zbudzić starego Wojsława.

— Czyż mógłby spać, gdy nieprzyjaciel pod bokiem?

— Ba! w takiej wieży można spać spokojnie.

I nic już nie mówili, jeno szli ścieżką śród gęstych krzaków, ku owemu światełku, które jak czerwone oko błyszczało w ciemnościach. Pod zasłoną wielkich krzewów głogu i cierni, było tu ciszej i spokojniej. Spłoszone wrony zrywały się z krzykiem i puszczyk gdzieś ponuro hukał. Popiel szedł w milczeniu, a za nim posuwała się Hilderyka.

Nakoniec zbliżyli się do wieży, której czarną, ciężką masę widać było nawet w nocy. Gdzieś w niej, w jakiejś dziurze zapewne siedział puszczyk, ten sam, którego posępne hukanie słyszeli przez całą drogę Popiel i Hilderyka.

— Byle Wojsław nie spał! — szeptał Popiel, dochodząc do wieży i oglądając się na jezioro trwożliwie, gdyż dochodził go ztamtąd szum i plusk, co mu przypuszczać kazało, że Myszy w pogoń się za nim puścili, i mogą wylądować, a wtedy jeżeli nie ukryje się w wieży śmierć go niechybna czeka. A na myśl śmierci włosy Popielowi na głowie się podnosiły.

Szczęściem Wojsław nie spał. Gdy dochodzili do wieży, gdzieś w ciemności rozległ się donośny, grobowy prawie głos:

— Kto idzie?

— To ja, Wojsławie! odrzekł Popiel.

— Co za ja? nie ruszaj się, bo ci strzałę poślę. Ktoś ty jest?

Popiel na tę groźbę Wojsława zatrzymał się i rzekł:

— To ja, król Popiel. Żywo, podaj drabinę!

— Król?... aha!... dobrze, dobrze... zaraz zobaczę...

— Nie zwlócz, Wojsławie, zawołała na to Hilderyka, zdaje mi się, że Myszy przybijają do brzegu, ścigają nas. Znasz mój głos przecie?

— Tak! teraz poznaję, to wy Hilderyko?

— Ja!

— Żywo dawaj drabinę! wołał niespokojny Popiel, bo istotnie plusk zbliżał się do wyspy.

Nakoniec spuścił Wojsływ drabinę, na którą weszła najprzód Hilderyka, a potem Popiel.

Czas już był wielki, bo właśnie Myszy lądowały na wyspę i słychać było ich rozmowę i nawoływania.

XIX.

Myszy Popiela zjadły.

Wieża, w której się teraz Popiel z Hilderyką schronił, była zbudowana z wielkich głazów wapnem spojonych, i miał wejście, jak wszystkie tego rodzaju budynki w owych czasach, wysoko, tak, że po drabinie tylko można się było do niej dostać. Była to twierdza prawie niezdobyta, której ani ogień jąć się nie mógł, ani strzały i pociski nie chwytały. Drzewa w niej prawie wcale nie było, tylko same kamienie. To też Popiel gdy znalazł się z żoną w wielkiej izbie wieży na pierwszem piętrze, gdy drabinę Wojsław wciągnął napowrót na górę, odetchnął ciężko i szepnął:

— Przecie!

W izbie na kominie, zbudowanym z głazów gorzało ognisko i rzucało krwawe migotliwe światło na przybyłych i na Wojsława, ubranego w kożuch, do góry włosem wywrócony, w kołpak bo-

browy i postoły lipowe. Stał on przed Popielem i patrzał nań ponuro maleńkiemi, głęboko osodzonemi oczami, które ledwie dostrzedz można było z pod krzaczastych brwi.

Duża, siwa broda spadała mu na piersi. Stojąc, nadsłuchiwał pilnie głosów różnych, szczęku broni i wrzawy, jaką wiatr przyniósł od jeziora.

— Hm! mruknął—sprowadziłeś za sobą Myszy, Popielu.

Popiel, który podszedł do ogniska i grzał przy nim zziębnięte ręce i suszył swój płaszcz, obrócił się na te słowa Wojsława i rzekł:

— Zwołaj junaków i miej się do obrony.

— Junaków? jakich junaków?... zapytał Wojsław. Nie mam nikogo w wieży, prócz jednego, co śpi tam zapewne niecnota na wierzchu...

— Jakto, nie masz nikogo? a gdzież są? zawołał Popiel z wyraźnym przestrachem na twarzy i gniewem.

— A nie mam! nie mam... wszyscy uciekli, co do jednego do gródka Piastowego... tak, tak, uciekli, zostałem sam jeno jak palec z tym głupim śpiochem, bo i Białkę moją wysłałem w puszczę;— prawił Wojsław starannie zasuwając wejście wielką zasuwą z dębowych bali.

— Do gródka Piastowego poszli! — krzyknął Popiel — oszalałeś, stary! na biesa, nie żartuj ze mną!

— He? obrócił się Wojsław i wpatrzył swemi maleńkiemi oczkami w Popiela — a czegóż wy się

sierdzicie, Popielu? azali to moja wina, że twoi junacy uciekli?

— Ale czemuż uciekli? czemu nie dałeś mi znać o tem?

— Kiedy i przez kogo? Jak oni uciekli, to kumingi już widać było na Gople. Musieli skręcić i bokiem, zdala opłynąć Kruszwicę. Patrzałem na to własnemi oczami i widziałem dobrze chociem stary, ale ślepie mam jeszcze jak u sokoła. Hm!— dać znać! a przez kogóż miałem wam dać znać, królu? Sam miałem jechać i wieżę ostawić na łasce Włodka i Myszy? I cóżbyście wy zresztą na to poradzili, kiedy i od was z Kruszwickiego dworca wszyscy zbiegli. Siedziałem więc cicho i myślałem sobie, że Myszy nie pokuszą się o wieżę. Mało ich to tu padło pod nią za waszego rodzica, Popielu? He! he! piękne to były czasy, nie takie jak dziś.

Mówił tak i kręcił się po izbie, znosząc pod okno kamienie, strzały, włócznie i topory, których pełno było w izbie.

— Mój Wojsławie, spytała się Hilderyka, która dotąd milcząca siedziała na ławie przy ognisku, mój Wojsławie, ale dla czegóż oni uciekli? Przecież wieża ta bezpieczniejsza jest od stu nawet gródków Piastowych!

— Hm! podniósł nagle głowę Wojsław—czemu uciekli? Dużoby to o tem gadać. A czemuż nikt nie stanął w Kruszwicy na wasze wezwanie, na gorejące wici? Hę? hę? O! dla tego i moi ucie-

kli. Źle się tam u was działo w Kruszwicy, bardzo źle. Kiedyś, to tu pod wieżę fale przyniosły trupa Bolkowego...

— Trupa Bolkowego? syknął Popiel oglądając się dokoła trwożliwie.

— A, tak... tak... trupa Bolkowego. Ano! co tu gadać długo, junacy uciekli i koniec. Hej! Włodek! Włodek! jesteś tam?

Stał przy schodach wiodących na górę i wołał na swego towarzysza.

— Jestem, ozwał się głos z góry — co chcecie, Wojsławie?

— Co tam widzisz z góry?

— Nie wiele, bo ciemno i deszcz leje jak z cebra i wichrzysko wyje, jakby się kto obwiesił.

— Gadaj jednak co widzisz?

— Widzieć to ja nic nie widzę, jeno słyszę?

— Cóż więc słyszysz kpie jakiś? zawołał groźnie Popiel.

— Oho! a któż to tam tak gada, Wojsławie?

— Włodek! ozwie się na to Wojsław, tu jest król Popiel, gadaj więc żywo, co słychać?

— Ano... kiedy król jest, to powiem... słychać plusk wioseł i głosy różne. Widzi mi się, że Myszy lądują wielką hurmą na wyspę, a po jeziorze światła się jeno migoczą. Kruszwica się też pali...

— Pilnujże się dobrze! odrzekł na to Wojsław — jak się Myszy zbliżą pod wieżę, spuszczaj na nich głazy i poczęstuj ich strzałami. Woda go-

rąca zaraz będzie, jeno przystawię garnki do ognia.

To rzekłszy przysunął trzy olbrzymie garnki gliniane napełnione wodą do ogniska, na które dorzucił nowych drew i rzekł zwracając się do Hilderyki.

— Miłościwa pani, może dopilnujecie wrzątku, bo nam z Popielem trzeba czuwać przy wejściu.

— Dobrze! ozwała się na to Hilderyka i przysunęła się do ognia i siedziała nieruchoma, owinięta w delię futrzaną, zapatrzona w płomienie.

Tymczasem Wojsław z Popielem podeszli do okna i siadłszy przy nim nadsłuchiwali rozlicznych odgłosów, jakie wiatr od Gopła przynosił. Wyraźnie słychać było nawoływanie Myszy, chrzęst ich zbroi, brzęk mieczy i odzywający się co chwila dźwięk rogu. Wojsław wychylił głowę na zewnątrz odsunąwszy trochę zasuwę, a Popiel z toporem w ręku siadł na kamiennej posadzce, oparł się plecami o ścianę i dzikim wzrokiem patrzał na ogień i na dumającą przy nim Hilderykę.

Nagle pochylił się do Wojsława i szepnął:

— Wojsławie!

— Co chcecie, panie?

— Słuchajno Wojsławie... powiedz mi, jeno cicho, do ucha, tak, żeby Hilderyka tego nie słyszała... powiedz mi... czyś widział... widział...

— Co?

— Trupa... trupa... Bolkowego?

Wojsław spojrzał z pod oka na Popiela i szepnął:

— Oczywiście, że widziałem.

— I cóżeście z nim zrobili?

— A cóż... pogrzebali go junacy, tam, pod starym dębem.

— Brrrr! otrząsł się Popiel, jak tu zimno!

Wstał, przeszedł się po izbie, a już teraz słychać było zbliżającą się ku wieży wrzawę i dźwięk rogu był coraz bliższy.

— Myszy idą! zawołał Wojsław klękając na jedno kolano przy oknie i nakładając strzałę na cięciwę łuku.

Popiel skoczył do okna i chwycił także za łuk, a w tejże chwili zbiegł z góry po schodach Włodek, z rozczochranym łbem, w kożuchu do góry włosem, jak niedźwiedź wyglądający i zawołał:

— Jest wrzątek?

A spostrzegłszy garnki stojące przy ogniu, porwał jeden i żwawo poskoczył na górę.

Tymczasem Myszy szli wielką gromadą. Widać było czarną ich masę wśród czarnej nocy. Ledwie że ich dostrzedz można było, gdy Wojsław naciągnął łuk i puścił strzałę. Musiała uwięzgnąć w czyjejś piersi, bo rozległ się krzyk przeraźliwy. Popiel zrobił to samo i ciągle już teraz słali strzały w tę zbitą gromadę ludzi, ale to nie wiele pomagało. Myszy szybko się zbliżali, otoczyli dokoła wieżę i przystawili drabinę do

wejścia do wieży, i po drabinie tej spinać się poczęli jeden za drugim. Napróżno Wojsław z Popielem chcieli ją zepchnąć; wszystkie ich wysiłki były daremne. Widocznie na dole trzymano ją dobrze. Przytem Myszy dostrzegli Wojsława nieostrożnie wychylonego i puścili doń kilkanaście strzał, z których dwie uwięzgły mu w prawej ręce i zrobiły go zupełnie niezdatnym do walki. Szczęściem Hilderyka porwała garnek z wrzącą wodą i wylała ją na głowy spinających się po drabinie.

Z krzykiem, wyciem nieludzkiem pospadali z tej drabiny, a ci co ją trzymali na dole pierzchnęli jak stado spłoszonych gołębi. Zaraz też Włodek z góry rzucił ogromny głaz, który strzaskał drabinę i pierwszy napad został odparty. Ale ten opór doprowadził Myszy do wściekłości. Krzycząc, nawołując się, podnieśli znów kilkanaście drabin i ze wszystkich stron poprzystawiali je do wieży. Drabiny te nie miały żadnego znaczenia, gdyż wieża miała tylko jeden otwór, a tego bronił Popiel i Wojsław. Tu też znowu Myszom się nie powiodło. Popiel i Włodek zepchnęli dwa głazy na drabinę, a Hilderyka wylała drugi garnek wrzącej wody i napad znów został odparty. U stóp wieży rozlegały się straszne, żałośliwe jęki pogniecionych i poparzonych ludzi. Niestety! wody wrzącej już nie było. To też gdy znów Myszy nową drabinę przystawili, obrona była słabsza. Włodek u góry bronił się przeciw drabinom, które do

niego sięgały; Wojsław był już do niczego, bo ręką ruszyć nie mógł i siedział pod ścianą ponury, brocząc krwią obficie. Wejścia więc do wieży bronił sam Popiel i Hilderyka. Napróżno wytężali oboje wszystkie siły, by drabinę zepchnąć, napróżno Popiel zrzucił dwa wielkie głazy, a choć znowu drabinę strzaskał, to Myszy przystawili nową i darli się do góry. Na nieszczęście Hilderyka, wychyliwszy się zbytecznie została uderzona w głowę kamieniem wyrzuconym z procy i padła na posadzkę izby. Sam Popiel już teraz się bronił. I on parę kroć został raniony i krew zeń obficie płynęła. Myszy darli się do góry i wkrótce w otworze wieży ukazała się głowa napastnika, ubrana w wielki żelazny hełm. Wsunął on się do połowy w otwór i wyciągnął rękę uzbrojoną w olbrzymi topór i chciał się dostać do środka. Ale Popiel ostatnim wysiłkiem podniósł kamień, co mu leżał u nóg i cisnął go w napastnika. Jęknął on i zwisł trupem na oknie. Lecz za nim pokazali się inni, wdarli się do środka, przycisnęli ustępującego Popiela do muru i zarąbali go toporami i mieczami...

Wieża została wzięta. Hilderyce leżącej na posadzce i na pół nieprzytomnej napastnicy odrąbali piękną głowę i wyrzucili ją swoim towarzyszom przez okno. Wojsława takiż sam los spotkał. Włodek bronił się jeszcze jakiś czas na schodach uparcie, ale w końcu okryty ranami uległ. I jego głowa padła na dół, powitana

okrzykami zebranych tam Myszy. Głowę zaś Popiela zatknięto na włócznię i wystawiono na szczycie wieży, na której rozpalono wielkie ognisko, jakby na znak, że wieża wziętą została.

Takim sposobem Myszy Popiela zjadły.

XX.

Niech żyje król Piast!

Nazajutrz nad ranem deszcz ustał, i gdy szary świt rozjaśnił niebo, to tylko wielkie, mętne mgły włóczyły się po nad Gopłem i Kruszwicą. Skoro słońce weszło i rozpędziło owe mgły, pokazało się dopiero jak strasznych spustoszeń dokonali normandzcy zbójcy. Gontyna na górze była już tylko kupą zgliszczów i ruin; wspaniały Popielowy dworzec dymił jeszcze dopalając się, podobnież, jak obronna przy nim wieża. Cała osada była spalona, lub zburzona, a z murowanej wieży na wyspie powiewał z wiatrem porannym, ozłocony od jesiennego słońca polskiego, proporzec Myszy, czarny cały z głową smoka czy potwora jakiegoś. Kto miał dobre oczy i komu dym rozwłóczący się ze zgliszczy nie zasłaniał widoku, mógł dojrzeć obok proporca najezdników, sterczącą na włóczni krwawą głowę Popiela... Z wyspy zresztą, z pośrodka jej drzew i krzaków wzbijały się w górę słupy dymu, dowo-

dzące, że Myszy ucztowali i palili wielkie ogniska. Na jeziorze, koło wyspy, stały na kotwicach kumingi najezdników, jaskrawo pomalowane i jaskrawo błyszczące pod słońce. Mnóstwo drobnych łodzi uwijało się na wszystkie strony, a na nich w zbrojach, na których słońce zapalało oślepiające blaski, stali rycerze. Po całej Kruszwicy, a raczej po ich ruinach kręcili się napastnicy, grzejąc się przy ogniach, gdyż ranek był chłodny, dzieląc łupem, lub wywożąc na łodziach do kuming obfitą zdobycz. Spławiali oni całe łodzie zboża, siana, mąki, krup; całe stada bydła i baranów, które potem zarzynali i solili. Radość też była między nimi wielka, pili stary miód polski, i głośno krzyczeli.

Wśród tego zamięszania, tej wrzawy, tych ruin i zgliszczy dokoła, sterczał nieruchomy, poważny i groźny gródek Piastowy. Z jego czarnych okopisk, częstokołu, z jego zamkniętych bram widać było, że ludzie tam się znajdujący nie ulegną tak łatwo jak cała Kruszwica i bronić się będą do ostatka. Rano, gdy słońce dobrze rozjaśniło całą okolicę, dostrzeżono z okopiska Piastowego, że wieża na wyspie jest w ręku Myszy; widziano czarny normandzki proporzec i głowę Popielową na włóczni. Wszystkim się żałośliwie koło serca zrobiło i sam Piast był markotny, a Rzepicha głośno zawodziła. Piast, wyszedłszy na okopisko, patrzał bacznie dokoła i gadał do Bociana, który stał obok niego:

— No, jeżeli już wieżę na wyspie Myszy wzięli mocą, to jakże my tu w drewnianym gródobronić się będziemy mogli?

— Hm! mruknął na to swym zwyczajem Bocian,—wieży nie wzięli mocą, bo to niepdobne, ale dla tego, że jej nikt zapewne nie bronił. Przecież junacy z wieży są w naszym okopisku?

— Prawda!

— Nikogo więc nie było w wieży prócz starego Wojsława i Popiela. Czyż we dwóch mogli obronić wieżę?

— Tak, prawda wasza, Bocianie. No, ale i nam trzeba się gotować do obrony, bo teraz cała moc Myszy na nas się zwali.

— To pewna, kmieciu Piaście, że teraz na nas się zwalą, ale my się tak łacno im nie damy.

— Bóg by to dał! - westchnął Piast i poszedł obejrzeć straże na częstokole rozstawione.

Jakoż jeszcze słońce wysoko nie weszło, gdy poczęły się rozlegać dźwięki rogu, kumingi od wyspy się ruszyły i przypłynęły do brzegu Kruszwickiego, a z nich, jak pszczoły z ula, wysypali się najezdnicy. Wódz ich cały zbroją okryty, na dwa rzuty strzały przed gródkiem Piasta, począł ich szykować... Latał przed nimi w wielkim hełmie na głowie z pióropuszem z misternych paciorków, w których słońce się przeglądało prześlicznie, z olbrzymim toporem w ręku i krzyczał coś ciągle, wskazując na okopisko Piastowe. Potem

rozdzielili się na dwa hufy i z trzech stron tego okopiska stanęli.

Dzień robił się ciepły i słoneczny. Na czysty błękit nieba wypłynęło wspaniałe, jesienne, polskie słońce i patrzało z wyżyn na straszne widowisko, jakie się na ziemi rozwijało. Obrońcy gródka, skupieni za okopem i częstokołem, z rękami na cięciwach łuków, oczekiwali z bijącem sercem na napad.

Niedługo na niego czekali. Rozległy się chrapliwe dźwięki rogu, podniósł się ogromny, przeraźliwy krzyk i wszystkie trzy hufy napastników rzuciły się jak jeden człowiek pędem ku grodzisku. Nie strzelali oni wcale z łuków, tylko z toporami, mieczami i maczugami w rękach biegli jak szaleni, wydając dzikie okrzyki. Ziemia jęknęła uderzona tylu nogami, a z gródka na napastników sypnął się grad strzał z łuków, rój kamieni z proc i wielkie głazy z kuszy, umyślnie przez Piasta zbudowanej. Pociski te wpadając w zwarte szeregi Myszy, straszne śród nich robiły spustoszenia. Pękały hełmy, miażdżyły się zbroje, trzaskały tarcze i ludzie padali jak muchy; mimo to nie zdołały powstrzymać zapału najezdników z jakim biegli. Choć mnóstwo rycerzy legło i wiło się z bólu na mokrym piasku, reszta przecież dobiegła do okopu i wdzierać się nań poczęła, rąbiąc toporami częstokół, waląc maczugami w obrońców. Teraz nastąpił ręczny bój. Piast w hełmie żelaznym na głowie, z toporem w pra-

wym, a tarczą z orłem białym na lewym ręku, wszędzie był, gdzie jego obecność była konieczna. Bocian ze swym długim mieczem niemieckim bronił na czele junaków zawzięcie bramy. Wszystko co żyło w grodzisku rzuciło się do boju. Niewiasty nawet z wrzątkiem i smołą gorącą stawały na okopach i lały na napastników. Krzyki, nieludzkie wrzaski, jęki umierających i rannych, świst strzał, rąbanie toporów, pękanie zbroi rozlegało się daleko w powietrzu.

Nakoniec napastnicy pomimo nadzwyczajnych wysiłków, zostali z ogromną stratą od grodziska odparci. Cofali oni się w nieładzie zlani krwią, zmęczeni, zostawiając kilkudziesięciu trupów na okopach i pod częstokołem. Piast, widząc Myszy w odwrocie, podniósł swój topór do góry i zawołał gromkim głosem:

— Otwierać bramy! za mną, za mną wszyscy!

Otworzono bramę i jak potok, długo przez tamy wstrzymywany, jak wicher, który otworzył sobie drogę przez zwalony las, tak obrońcy gródka wypadli za ustępującemi Myszami. Z ziemi, pod błękit niebieski, pod jasne złote słońce rozległ się olbrzymi, potężny okrzyk:

— Naprzód, kmiecie!

Na widok tej pędzącej naprzód chmury, połyskującej mieczami, pełnej błyskawic i piorunów, Myszy wpadli w straszną trwogę. Zrobiło się między nimi zamieszanie; jak stado spłoszonych owiec zbili się w jedną, niesforną gromadę i słaby

stawili napastującym opór. Moc ich już była złamana. Grzmiały też po ich hełmach i zbrojach polskie maczugi krzemieniami nabijane, polskie topory i miecze. Myszy zrazu cofali się wolno, potem coraz prędzej, aż nareszcie w nieładzie, w popłochu zupełnym, rzucając tarcze, łuki, miecze, wszystko co im zawadzać mogło w ucieczce, pędzili ku łodziom na brzegu. Ale obrońcy polscy siedzieli im tak blizko na karkach, że zaledwie kilkudziesięciu dostało się do łodzi i do swych kuming, reszta poległa lub wpadła w niewolę.

Po tej strasznej klęsce Myszy zaledwie połowę swych sił liczyły, nie chcąc zresztą utracić zdobyczy, jaką mieli, nie czekając na nowe napady, co żywo z kumingami swemi odpłynęli z pod Kruszwicy, z powrotem do swej ojczyzny i wkrótce, o południu, nie było już najezdników w dziedzinach niegdyś Popielowych

Radość z tak wielkiego zwycięztwa była ogromna. Piast wysłał zaraz kilkanaście łodzi zbrojnych w pogoń za kumingami, a raczej, żeby wiedzieć, gdzie one się udadzą, i gotował się do pochodu z resztą zbrojnych, by nieprzyjaciela całkiem z ziemi polskiej wypędzić.

A po obozowisku kmiecem tymczasem, po szeregach zbrojnych upojonych zwycięstwem, poczęły obiegać głosy:

— Popiela już niema i rodu jego niema.

Któż nam będzie królował? Kto jest najgodniejszy z pośród nas?

— Kmieć Piast! — odpowiadano na to. — kmieć Piast!

I potem po całej Kruszwicy, po zgliszczach jej dymiących jeszcze zagrzmiał jeden potężny okrzyk:

— Kmieć Piast niech nam króluje! Niech żyje król Piast!

I okrzyk ten odbiwszy się od ziemi, popłynął pod jasny błękit jesiennego nieba, pokołysał się na goplanych falach, zagrzmiał tysiącznem echem po bukowych puszczach ojczystych, i od owej chwili grzmiał już przez długie, długie wieki w polskiej ziemi...

K O N I E C.

Spis rzeczy: